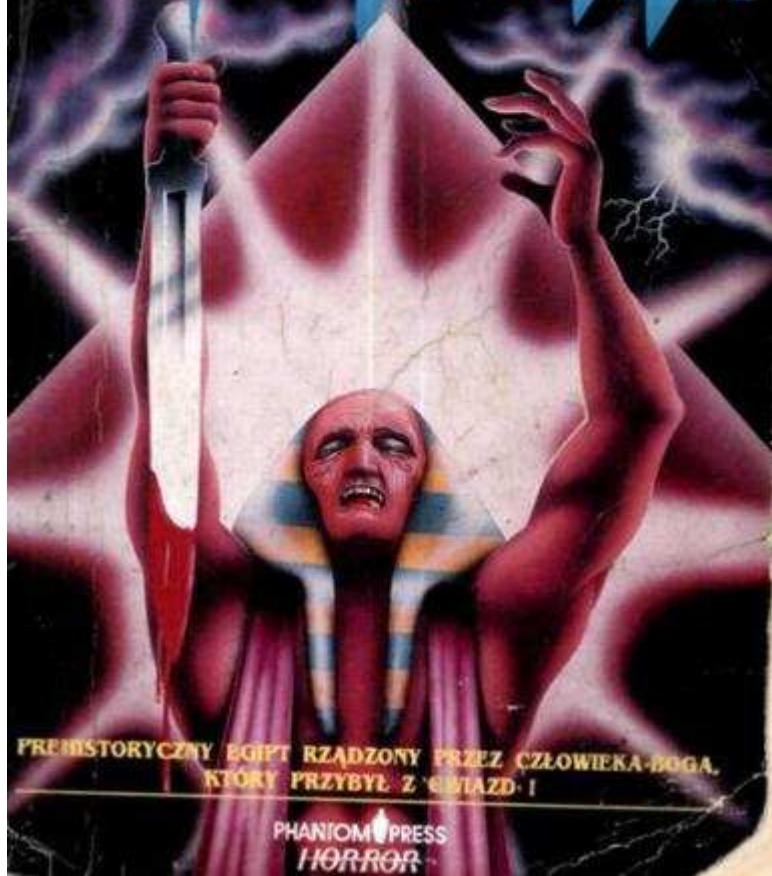


BRIAN LUMLEY

ZEMSTA KHAI



PREHISTORYCZNY EGIPT RZĄDZONY PRZEZ CZŁOWIEKA-BOGA,
KTÓRY PRZYBYŁ Z OBIĄZD. I

PHANTOM PRESS
HORROR

Cena 32 000 zł

BRIAN LUMLEY

ZEMSTA KHAI

Wszyscy chyliłi głowy przed obliczem faraona Khasathuta. Zarówno niewolnicy jak i książęta czuli strach przed jego tajemniczą i przerażającą mocą, o której szeptano, że pochodzi z gwiazd.

To on, okrutny Khasathuta, zamordował podstępnie rodzinę swego nadwornego architekta, a jego syna Khai mianował kapłanem piramidy, z zamiarem wyzyskania go dla swych nieczynych celów.

Po śmierci najbliższych Khai zaprzysięga faraonowi zemstę. Musi zwyciężyć tyrana i zniszczyć jego moc na wieki. Niestety, nie docenia jego władzy i nadprzyrodzonych możliwości. Za pomocą czarnej magii faraon zabierze mu duszę i przeniesie w przyszłość, do współczesnego Londynu. Tam wcieli jego duszę w postać znanego archeologa.

Ale moment zemsty nadejdzie. Potrzeba dla to jeszcze czasu!

Proponujemy:

STEPHEN KING FIRESTARTER



Andy McGee i jego przysięga Jima Vicky bioną puleją w eksperymencie pewnego szalonego naukowca. Andy, na skutek wstrzyknięcia mu substancji, nabiera zdolności oddziaływania silą woli na ludzi, powodując w nich rozmaite, często nadnaturalne zjawiska.

Ze zwiastka tego wyszła się znowu, czka, która oblatrzona zostanie przez rodziców, zdolnością do posłowania ludzi, zwierząt, przedmiotów.

Zemsta Khai

Pozwólcie, że was poprowadzę - odpowiedział Khai. Nubijczycy opisali mi dokładnie drogę. Nie powinniśmy zabiłdźić.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy dwóch młodszych Murzynów porwało zakrzywione miecze handlarzy i trzymając je w górze, rozpoczęli swój dziękczynny taniec wokół niego.

Potem wszyscy rzucili mu się do stóp.

- Cóż wy czynicie? - zapytał

- Oddajemy ci cześć, młody wojownik - odparł olbrzym, ich przywódca. - Będzie cię wielbić cała Nubia, nasz bohaterze. Jak cię zwą ?

- Khai.

- Odtąd zwać cię będą Khai z Khem. Khai - mściciel.

BRIAN LUMLEY

ZEMSTA KHAI

Przełożył
Dariusz Kunicki

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1992

Tytuł oryginału *Khai of Ancient Khem*

Redaktor

Jolanta Łuczowska

Ilustracja

Marcin Konczakowski

Opracowanie graficzne

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

Copyright © 1959 by Brett Halliday © Copyright for the Polish edition

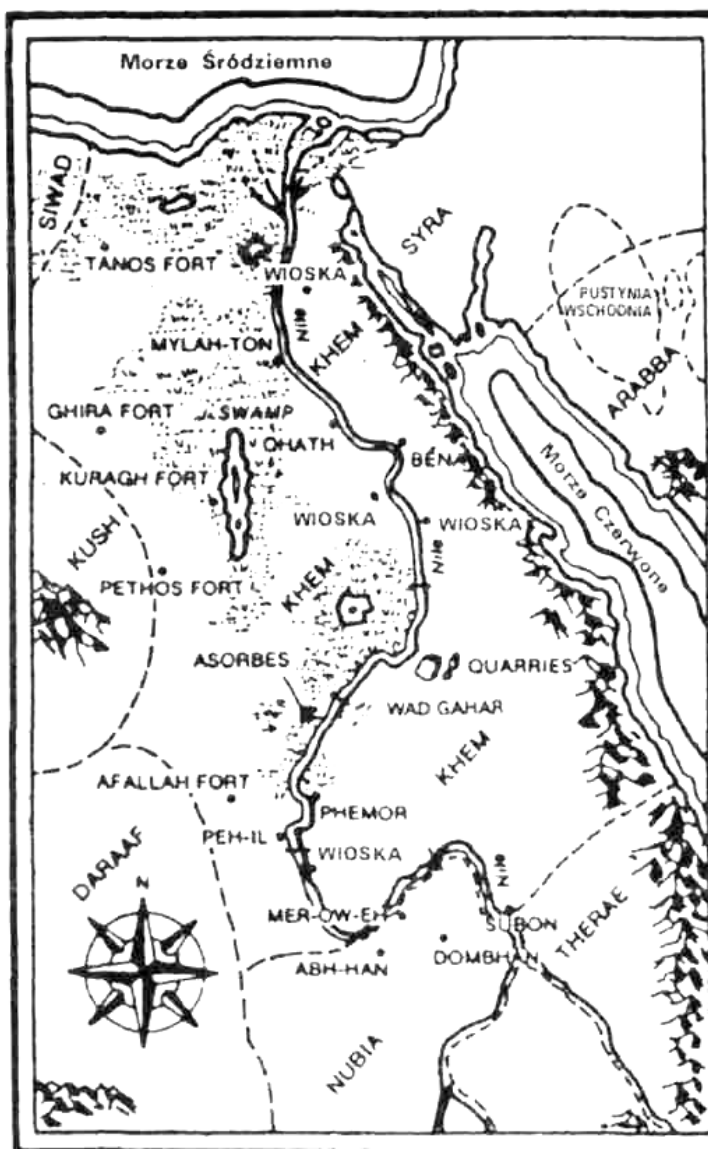
by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1992

PRINTED IN GREAT BRITAIN

Wydanie I

ISBN 83-7075-010-9

*Dla M, Ewelyn Hartley,
która w dużej mierze
przyczyniła się do napisania
tej książki*



CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Święte miejsce Yith-Shesh

Ashtarta - czarnooka, smukła niewiasta o cerze dojrzałej oliwki - uknęła przed świętym miejscem Yith-Shesh w jaskini u podnóża Gilf Kebir.

Święte miejsce przypominało sadzawkę wypełnioną czarną jak włosy kobiety, lepką mazią. Jego powierzchnia była spokojna, lecz w głębi...

Twarz królowej odbijała się w czarnej toni tego niezwyklego zwierciadła. Błyszczące źrenice zlewały się z otaczającą je tęczęwką. Lśniące włosy, rozdzielone na dwa pasma i spięte purpurową klamrą, opadały łagodnie na ramiona. Mały i prosty nos nadawał jej twarzy arystokratyczny wygląd. Podobnie rzecz się miała z podbródkiem - zaokrąglął się buńczucznie, kiedy wpadała w złość. Trzeba przyznać, że jej twarz była wyjątkowo piękna. Kiedyś przyszłe pokolenia będą ją oglądać na okładkach książek.

Ashtarta była władczynią krainy Kush, sąsiadującej ze swym odwiecznym wrogiem - królestwem Khem. Oba te kraje zwalczały się od kilkuset lat i prawdopodobnie ich walka potrwa tak długo, dopóki jedno z mocarstw nie zostanie zmiecione z powierzchni ziemi.

To właśnie z powodu trwającej wojny królowa Ashtarta klęczała przy świętej sadzawce. Jej armia pod wodzą generałów Khai Izbina i Manek Thotaka wyruszyła z Gilf Kebir do Khem, aby uderzyć w samo serce królestwa faraona Khasathuta.

W tej chwili właśnie trwało oblężenie miasta Asorbes, w którym zamieszkiwali niewolnicy faraona. Wysoki mur obronny chronił piramidę olbrzymich rozmiarów.

Po blisko czterdziestu latach jej budowa dobiegła końca i wszystko było przygotowane na przyjęcie mumii władcy. Ashtarta przeczuwała, że śmierć tyrana jest już bliska i że lada moment powinna otrzymać radosne wieści o zwycięstwie.

„Czy to możliwe - zastanawiała się - żeby czarownicy i magowie faraona skutecznie powstrzymywali ataki jej armii?” Z pewnością myliła się, lecz podczas swoich pięcioletnich rządów niejednokrotnie ucierpiała z powodu magii i wiedziała, że jeżeli chcą, potrafią być groźni.

Z niecierpliwością czekała na Imthrę - czarownika, który obiecał wywołać wizje przepowiadające przyszłość. Wydawało jej się, że czeka na niego całą wieczność. Jednak Imthra był już sędziwym starcem i wspinaczka do jaskini sprawiała mu nie lada trudność. Odetchnęła więc z ulgą, kiedy usłyszała jego świszczący oddech i charakterystyczne szuranie sandałów.

Imthra wszedł do jaskini. Długie siwe włosy i broda iskrzyły się jak srebrne nitki w południowym słońcu. Złote guziki czarnego płaszcza błyszczały nadal, choć był już w ciemnym wnętrzu. W ręku na skórzanych paskach trzymał kaganek, rozświetlony bladoczerwonym światłem. Przez moment zmrugał oczy, wyczekując, aż przyzwyczają się do panującej ciemności. Po chwili dopiero dojrzał postać klęczącej królowej i wstrzymał oddech. Ashtarta - córka jego dawno zmarłego przyjaciela - była niezwykle piękna. Jej uroda, jak sądził, mogła poruszyć nawet serce starca, dla którego miłosne uniesienia były już przeszłością.

Królowa odziana była w szkarłatny płaszcz, który składał się z dwóch sztuk materiału spiętych razem na lewym ramieniu. Płaszcz okrywał nagie ramiona.

Bardziej przypominała boginię niż królową i pewnie dałby się zwieść złudzeniom, gdyby nie fakt, że wszystkie bóstwa padły ofiarą okrucieństwa Khasathuta. Zostały odarte z boskości przez jego czarowników i magów.

Imthra padł na twarz przed władczynią. Ashtarta nie próbowała go nawet powstrzymać przed, jak mu się wydawało, należnym jej hołdem. Osiedziesiąt lat przykładnej, pełnej poświęcenia służby dziadkowi, ojcu i wreszcie jej samej zrobiły swoje.

Stary czarownik dotknął czołem posadzki u jej stóp, a ona położyła rękę na jego białych lokach.

- Wstań! - rzekła. - Pora na wywołanie wizji. Najwyższy czas, abyśmy dowiedzieli się czegoś o Khai i Maneku.

- Masz najświętszą rację, o pani - odpowiedział, klęcząc obok niej. - Niestety, muszę cię ostrzec, iż święte miejsce nie jest już tak

krystalicznie czyste jak kiedyś i obraz, który ujrzysz, może być zamazany i pełen dwuznaczności.

- No cóż - odrzekła Ashtarta - stanie się, co się stać musi. Zaczynaj proszę.

Oboje spojrzeli na czarną toń sadzawki. Po chwili Imthra wysypał na jej powierzchnię całą zawartość skórzanego woreczka, który wyjął z przepastnej kieszeni płaszcza. Potem delikatnie odsunął królową od kamiennej krawędzi sadzawki i rozpoczął swoją tajemną formułę, którą odziedziczył po przodkach. Jego głęboki i obco brzmiący głos obudził moce, które zaczęły niepostrzeżenie wypełniać mroczne wnętrza jaskini.

W pewnym momencie, kiedy monotonia jego głosu stała się nie do zniesienia, zaczął kagankiem zataczać nad głową koła. Pachnący ziołami dym wypełnił otaczającą ich przestrzeń. Nie przestając obracać kagankiem, Imthra otworzył górną część naczynia i wysypał jego zawartość na powierzchnię sadzawki.

II

Święte wizje

Czarna toń rozbłysła tysiącem drobnych, błękitnych płomyczków. Dym z palących się ziół, które czarownik rozsypał na powierzchni sadzawki, zaczynał delikatnie drażnić ich zmysły. Płomienie najpierw strzelały do góry, a po chwili zamieniały się w miliony iskier, które z minuty na minutę układały się w coraz wyraźniejsze, ruchome obrazy.

Oboje ciężko westchnęli, próbując zrozumieć ich znaczenie. Z czasem, zgodnie z przewidywaniami czarownika, zapadli w sen wypełniony niezwykłymi postaciami i bezkształtnymi zjawami.

- Królowo i ty, czarowniku, obudźcie się, proszę.

- O co chodzi? Kim jesteś? - wybełkotał starzec, gdy ktoś brutalnie potrząsnął go za ramiona.

Imthra spojrział do góry i ujrzał twarz młodego wojownika, który ukląkł obok niego. Mężczyzna nosił insygnia wielkiego woźnicy. Jego lewa ręka umocowana była na temblaku. Pewnie z tego powodu nie wyruszył z armią trzy miesiące temu, aby walczyć z oddziałami Khasathuta w dolinie Nilu.

- Obudź się Imthra. To ja, Harek Ihris. Zaraz przybędzie jeździec. Zwierciadła dają znać, że nadjeżdża.

- Kto taki? Jeździec? - Starzec usiadł przy pomocy Ihrisa. Jego głos obudził królową.

- Jaśnie pani! - wysapał starzec. - Z pola bitewnego w Asorbes jedzie posłaniec z wieściami. Zwierciadła przepowiedziały jego przybycie. Będzie tu o zmierzchu, za kilka godzin.

Wszyscy troje opuścili jaskinię, rozkoszując się chłodnym powietrzem, które zwiastowało zbliżający się wieczór. Nisko nad horyzontem unosiła się czerwona tarcza słońca.

- Widzisz, pani - odezwał się Imthra, wskazując drżącym palcem słońce. - Zwierciadła przemawiają do nas głosem samego Re.

- Re jest bogiem Khemu, starcze - odparła gniewnie Ashtarta. - My zaś jesteśmy dziećmi Kush i dla nas słońce jest tylko słońcem, podobnie jak krokodyle, które oni uważają za święte, są tylko zwykłymi zwierzętami.

- Prawdę mówisz, o pani - wybełkotał starzec, chyląc pokornie głowę. W głębi serca czuł jednak, że w potędze słońca musi być coś boskiego.

- Idź przed nami, młody człowieku - zwrócił się Imthra do Harek Ithrisa. - Muszę pomówić z królową.

Kiedy żołnierz posłusznie przyśpieszył kroku, schodząc w dół stromą górską ścieżką, Ashtarta zawołała za nim:

- Dopilnuj, aby posłańca skierowano natychmiast do mojego namiotu i żeby czekały tam na niego ciepła strawa i wino.

Mimo że zostali sami, szli przez dobrą godzinę w milczeniu, skupiając całą uwagę na zdradliwych ustępach skalnych, które co chwilę napotykali na swojej drodze. Kiedy w końcu ujrzeli obozowisko otoczone palmami i zielonymi, gęstymi krzakami, Imthra zapytał:

- I cóż widziałeś córko w czarnej toni świętego miejsca?

- Widziałam wiele rzeczy - Ashtarta spojrzała na starca i wzruszyła ramionami - ale żadnego z tych obrazów nie rozumiem. Ty powinieneś mi wszystko wytłumaczyć, przecież jesteś moim nadwornym mędrcem.

- Królowo... - starzec zawahał się przez moment - uprzedzałem cię już, że święta toń nie jest już tak krystaliczna i obrazy, które ukazują, są zagmatwane.

- Dojrzałeś coś, co było uosobieniem zła, nieprawdaż?

Imthra spojrzał na stopy obute w sandały i po dłuższej chwili odpowiedział:

- Widziałem coś, moja córko, co trudno wyjaśnić kilkoma słowami. Poza tym ty masz lepsze oczy i zapewne więcej dostrzegłaś. Lepiej ty opowiedz, co widziałeś.

Mimo młodego wieku królowa była mądra kobietą. Postanowiła więc ulec prośbom starca.

- Widziałam wozy, których nie ciągnęły ani woły, ani konie, a poruszały się przy tym tak szybko, jak gwiazdy spadające z nieba - rozpoczęła opowiadanie Ashtarta. - Wozy przewoziły wiele ludzi. Wszyscy ubrani byli w dziwaczne stroje. Dostrzegłam też ogromne ptaki,

które służyły tym ludziom, przenosząc ich z miejsca na miejsce w swoich brzuchach. I statki, które przemierzały oceany bez pomocy żagli, a były tak ogromne jak piramida Khasathuta. Widziałam też ogromne obozowisko, o wiele większe niż Kush i Khem razem wzięte, z kamiennymi domostwami tak wielkimi jak góry. Wtedy też... - zawiesiła głos, wpatrując się nerwowo w twarz mędrca - zobaczyłam generała Khai, mojego przyszłego męża, który jeszcze jako młodzieniec przybył do nas z Khemu. Czy ty także widziałeś Khai, Imthro?

- Naszego generała i wielkiego wojownika?! - Imthra udawał zaskoczenie.

- A znasz, panie, innego? - Patrzyła na niego podejrzliwie.

- Nie znam, królowo - wymamrotał. - Nie widziałem w świętej toni generała Khai - skłamał. - To co widziałem, było pozbawione najmniejszego sensu. Ale mów dalej, córko.

- O wszystkim już opowiedziałam - odparła Ashtarta, wpatrując się w pomarszczoną twarz Imthry. - Khai miał skrzydła i stał na szczycie zielonej góry, która wznosiła się nad dziką i niedostępną krainą. Po chwili sfrunął w dół i w pewnym momencie uderzyło w niego coś, co spadło nieoczekiwanie z nieba, jak sokół. Niemalże w tej samej chwili Khai roztrzaskał się u podnóża góry. Później już nic nie widziałam.

Szli po gęstych kępach traw, które porastały wolną przestrzeń wokół obozowiska. W samym środku oazy, tuż przy źródle, pysznił się purpurowy namiot Ashtarty. Rozświetlały go złote promienie zachodzącego słońca. Namiot zlewał się kolorystycznie z barwą sukni. Na tle namiotu jej ciało wydawało się egzotycznie piękne.

Kiedy królowa zbliżała się do wejścia, czekająca tam służąca ukłoniła się nisko i ucałowała rękę swojej pani. Ashtarta zaś, zanim weszła do środka, raz jeszcze zwróciła się do czarownika:

- Kiedy przybędzie posłaniec, przyprowadź go do mnie osobiście.

- Zrobię to natychmiast, pani. - Zgięty w pół starzec zaczął się dyskretnie wycofywać.

- I jeszcze coś, Imthro!

- Słucham?

- Zastanów się nad znaczeniem obrazów, które widziałam.

- Twoja prośba jest dla mnie rozkazem, pani.
- Pomyśl także o tym, co ty widziałeś - dodała, wpatrując się uparczywie w jego twarz.

Imthra uklonił się raz jeszcze. Drżał na całym ciele, odczuwając w starych kościach wieczorny chłód.

Po cóż właściwie miałby zastanawiać się nad obrazami, które widział w świętym miejscu? Pewnie wytłumaczy to posłaniec. On wiedział jednak, że nie ma w nich nic, co mogłoby się jej spodobać.

Ciężko posapując, powędrował do swojej polowej komnaty. Było to niskie pomieszczenie, z dachem wspartym na czterech palach. Na czarnych płóciennych ścianach widniały wyhaftowane srebrne symbole. Imthra czuł, że powinien spojrzeć w swój czarodziejski kryształ. Mogłoby to pomóc w rozwiązaniu zagadki widzianych obrazów. Zaraz jednak zrezygnował ze swojego zamiaru. Jego stare oczy słabo widziały, nie lepiej też było z umysłem, który nie był już tak sprawny jak dawniej. Jednak interpretacja scen, które wryły mu się w pamięć, była niemal jednoznaczna.

Widział generała Khai leżącego na czarnym łożu śmierci, otoczonego siedmioma kadzielnicami, z których unosiły się gęste opary. Słyszał też było monotony śpiew czarowników w nasuniętych na oczy kapturach. Odprawiali modły zgodnie z pradawnym rytuałem. Ów ceremoniał pochodził jeszcze z czasów poprzedzających powstanie Khemu i Kush, Therae i Nubii. Z okresu, kiedy to pierwsze szczepy przybyły ze wzgórz i dolin dalekiego południa i wschodu, aby osiedlić się wzdłuż brzegów Nilu. Znali go już kapłani Khrissa i lordowie z Lemurii, których obca krew, jak mówiono, płynie obecnie w żyłach faraonów z Khemu, oraz mieszkańcy legendarnej Ardlanthys.

Nie był też obcy Imthrze, który rozpoznał go natychmiast, mimo że nie praktykował go lud Kush.

W tym co ujrzał w kaplicy, były pewne odstępstwa od tradycji. Khemici bowiem wysyłali w przyszłe wcielenie duszę wyłącznie zmarłej osoby, a on zdążył zauważyć, że Khai żył; jego klatka piersiowa unosiła się i opadała.

III

Manek Thotak

Pośród bezkresnej sawanny, mokradel i gęstych lasów faraon kazał wznieść na swoją cześć miasto - twierdzę Asorbes. W jego otoczonej murami obronnymi, centralnej części wznosiła się złota piramida, której budowa dobiegała końca.

Mieściła się na dwudziestu dwóch akrach ziemi, a na wybudowanie ścian zużyto piętnaście milionów ton żółtego kamienia.

W późniejszych czasach, kiedy pozostaną po niej jedynie gruzy, misternie ciosane bloki żółtego piaskowca zostaną przewiezione prawie trzysta mil w dół rzeki i posłużą jako budulec przy wznoszeniu mniejszej piramidy, która pewnego dnia zostanie nazwana Wielką Piramidą i ludzie zaczną podziwiać ją jako jeden z siedmiu cudów świata, tak więc sama piramida Khasathuta nie przetrwa do tych czasów, choć zapewne przyczyniła się do powstania wspomnianego cudu.

Asorbes zostało usytuowane dokładnie w środku państwa, w którego skład wchodziła cała delta Nilu, ogromne niziny ciągnące się od Morza Śródziemnego po czwartą kataraktę i od Morza Czerwonego po bagna, lasy i sawanny w zachodniej części.

Asorbes, potężne miasto-twierdza, nie zostało jeszcze przez nikogo zdobyte.

Khasathut z powodzeniem wykorzystywał pełne krwiożerczych krokodyli bagna jako ochronę przed walecznymi, górskimi szczepami z Kush, które często nękały tyrana w odwecie za to, że kiedyś brał ich tysiącami do niewoli i zatrudniał przy budowie miasta i swojego przyszłego grobu. Obecnie w Asorbes pozostała ich zaledwie garstka, gdyż pozostali zginęli męczeńsko w licznych, krwawych buntach.

Królowie Kush, a obecnie królowa Ashtarta, zaprzysięgli faraonowi zemstę i obiecali ludowi, że nie spoczną, póki jej nie dokonają.

Z czasem po sawannie pozostała naga, wydeptana ziemia i, jak okiem sięgnąć, wyschnięte mokradła wokół murów. U ich wrót stała połowa armii Kush, oczekując na rozkazy Ashtarty.

Jednak radość dzielnych wojowników tłumił fakt, że czarownicy faraona w chwili największego triumfu uprowadzili generała Khai i uwięzili go wewnątrz fortecy.

Manek Thotak, generał armii Ashtarty, próbował wymusić na faraonie uwolnienie generała Khai. Khasathut był nieprzejednany. Po krótkim jednak czasie zażądał zawieszenia broni i niezwłocznego ustąpienia armii Ashtarty spod murów swojego miasta w zamian za uwolnienie generała.

Manek Thotak, bez porozumienia z królową, przystał na żądania faraona. Kiedy jednak opuszczono generała Khai na linach na ręce żołnierzy, ku swojemu przerażeniu stwierdzili oni, że przypomina nieboszczyka. W każdym razie faraon diabelsko przewrotnie wywiązał się ze swojej części umowy. Manek Thotak musiał zarządzić natychmiastowy odwrót armii. Pokrzepiał się myślą, że Ashtarta wybaczy mu jego postępek, gdyż kocha generała Khai. Jednak przecenił swój autorytet, zwłaszcza w odniesieniu do wojowników nubijskich, którzy odmówili odstąpienia od murów Asorbes, póki nie każe im tego uczynić sama Ashtarta.

Wątpliwe, aby królowa przystała na warunki faraona, a tym bardziej zaakceptowała decyzję Thotaka. Teraz mogło dojść do rozłamu w armii z powodu choroby, a może nawet śmierci Khai Ibzina.

Wiele mil od wyschniętych bagien, na czele oddziału składającego się z pięćdziesięciu wojowników, Manek Thotak podążał na zachód.

Siedział w swoim wozie bojowym, otoczonym mniejszymi wozami, którymi dowodzili co znamienitsi oficerowie. Z tyłu za nimi jechał lekki rydwan, gdzie na rozłożonych futrach spoczywał Khai Ibin. Resztę swoich żołnierzy generał Thotak pozostawił w tymczasowym obozowisku przy granicy. Do królowej natychmiast wysłał posłańca, aby uprzedzić ją o swoim przybyciu i przygotować na cios z powodu złego stanu zdrowia generała Ibzina.

Zwycięstwo nad znieawidzoną armią Khemu było kwestią kilku dni. Generał celowo nie pozostawił swoich oddziałów zbyt blisko regimentów Khai, aby uniknąć niepotrzebnych problemów. Armia składała się przecież z wojowników pochodzących z trzech różnych narodów, te zaś z setek szczepów.

Oliwy do ognia dołały oddziały nubijskie, które nie zgodziły się odstąpić od murów Asorbes. W ten sposób udowodniły przywódcom rywalizujących z sobą nacji, że można podważyć autorytet naczelnego wodza, a to mogło doprowadzić do krwawych starć wewnątrz armii.

Thotak z garstką swoich żołnierzy czuł się nieswojo, mimo iż po tej stronie Nilu, należącej do królowej Ashtarty, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Jechał skupiony w swoim wojennym rydwanie, rozmyślając o reakcji królowej na jego układy z faraonem.

Ashtarta z pewnością zrozumie, że gdyby nie zgodził się na warunki Khasathuta, generał Khai Ibin byłby już martwy. A tak, jej umiłowany dowódca armii żył, jeżeli stan, w którym się znajdował można było nazwać życiem. Jednak nie mógł już dowodzić żołnierzami i - co wydawało się być najważniejsze - przestał być konkurentem do ręki królowej.

Kiedy rydwan z chorym Khai zbliżył się do jego rydwanu, rozkazał woźnicy zwolnić. Spojrzał spod daszka hełmu na kredowo białą twarz i rzekł:

- Jak się masz, stary rywalu? I co teraz powiesz? Byłeś od początku wybrańcem królowej. Kochała nas obu, ale mnie jak brata, a ciebie... - zazgrzytał zębami i nakazał woźnicy jechać szybciej - jak mężczyznę! Za twoją bladą cerę i jasne włosy. Na pewno przypadną jej do gustu twoje na wpół otwarte usta i wytrzeszczone oczy.

- Widzę ból na twojej twarzy, panie - przerwał mu woźnica - za każdym razem, kiedy spoglądasz na generała Khai. Ciekaw jestem, co mu dolega, panie? Może to jakaś zaraza ukryta w celach więziennych Khasathuta, a może to jego czarnoksiężnicy rzucili na niego jakąś klątwę?

- Dlaczego mnie pytasz o to? - Manek spojrział na woźnicę. - Mam ważniejsze problemy na głowie; lepiej zajmij się końmi i zostaw generała Khai w spokoju.

- Panie, ja tylko chciałem...

- Dosyć! - rozkazał Manek. - Spójrz, chyba widzę migotanie zwierciadeł na wzgórzach. A może się mylę?

- Nie mylisz się, panie. Zwierciadła wysyłają sygnały od przeszło godziny. Za chwilę powinniśmy dojechać do obozowiska królowej. Z pewnością oczekuje twojego przybycia. O tym właśnie mówią zwierciadła, tylko że ty, panie, miałeś umysł zajęty innymi poważnymi sprawami i niczego nie zauważyłeś.

- Masz rację. - Manek wzruszył ramionami. - Myślałem o generale Khai, największym z żyjących wojowników.

- Święta prawda. Mimo że jest Khemita, zna się na wojennym rzemiośle. Sądysz, panie, że wyjdzie z tej śpiączki cało?

- Obawiam się, że nie - odpowiedział szorstko Manek, a następnie, widząc zdziwienie malujące się na twarzy woźnicy, dodał: - Spójrz tylko na niego; jest umierający. Jeżeli medykom uda się przywrócić mu życie, wszyscy będziemy szczęśliwi, ale lepiej nie mieć złudnych nadziei. A teraz zajmij się jazdą i pospiesz się, bo królowa oczekuje nas z niecierpliwością.

IV

W namiocie królowej

Było późne popołudnie. Przez cały długi ranek królowa rozmawiała z generałem Thotakiem. W tym czasie trzech medyków zajmowało się Khai leżącym nieruchomo na sofie w jej namiocie. Po skończonych badaniach orzekli jak jeden mąż, że został on zatruty i znajduje się o krok od śmierci. Jeden z nich, Hathonal, stwierdził z całą powagą, że generał znalazł się we władaniu demonów i aby go od nich uwolnić należałoby mu wywiercić dziurę w głowie. Przyznać należy, że Hathonal znał się na trepanacji czaszki. Jego czcigodny ojciec czynił podobne egzorcyzmy na młodej kobiecie jakieś trzydzieści lat temu. Wprawdzie, z powodu lat, jakie upłynęły od tamtej operacji, nie pamiętał już dobrze wszystkich koniecznych czynności i magicznych zaklęć, ale mimo to był gotów zaryzykować.

Ashtarta, kiedy to usłyszała, kazała mu się wynieść do wszystkich diabłów. Królowa, podobnie jak jej ojciec, nie miała wielkiego mniemania o umiejętnościach nadwornych medyków. Mieszanka magii i nauki przyprawiała ją o mdłości. Mogła jeszcze znieść samą magię, gdyż nie raz doświadczyła jej mocy, jednak nigdy nie wierzyła, aby medycy mieli cokolwiek wspólnego z okultyzmem. Wprost przeciwnie; byli amatorami, wiedzieli o czarach tyle co wilk o gwiazdach. Dobrze przynajmniej, że wiedzieli, jak poskładać połamane kości i opatrzyć rany.

Inaczej miała się rzecz z czarownikami. Udało im się zdobyć szacunek Ashtarty i dlatego też, za radą Imthry, wezwała ich przed swoje oblicze.

Było ich siedmiu, jak siedem jest starożytnych sztuk magicznych, pochodzących od siedmiu potężnych bogów, którzy zstąpili z gwiazd na ziemię z całą swoją tajemną wiedzą. Królowa ceniła ich za pomoc, jakiej udzielili jej w walce ze złymi mocami magów faraona. Próbowali oni pogrążyć jej armię, zsyłając na nią różnorakie plagi. Gdyby im

się to udało, zawładnęliby Afryką, a może i całym światem na kilka tysięcy lat.

Podczas ostatniej ofensywy siedmiu wielkich magów udało się do najbardziej niedostępnych regionów Gilf Kebir i pozostając w ukryciu, wspomagali swoimi czarami jej królewską armię Kush.

Teraz tuzin jeźdźców wyruszyło w drogę, aby sprowadzić ich natychmiast do purpurowego namiotu władczyni.

Ashtarta zaś, nie tracąc czasu, starała się jak najwięcej dowiedzieć od Imthry o ich zdolnościach i tajemnej potędze.

- Ich potęgą jest alchemia - wyjaśnił pokornie starzec. - Jej kolebką nie jest Khem. Powstała w czasach, kiedy Nil był jeszcze małym strumyczkiem. Obejmuje ona rzucanie uroków, hipnozę, nekromancję, komunikowanie się z duchami, kontrolę nad ogniem, chiromancję, interpretację snów, ziemią, powietrzem i wodą oraz wykorzystywanie umysłu jako siły fizycznej. Każdy z magów w różnym stopniu potrafi panować nad wspomnianymi odmianami alchemii.

Sam Imthra miał jako takie pojęcie o ich wiedzy i umiejętnościach, ponieważ przez znaczną część długiego życia był ich uczniem. W momencie kiedy rozpoczął bardziej szczegółową interpretację tajemnych sztuk wielkiej siódemki, do namiotu wszedł Manek Thotak i usiadł na krześle, przysłuchując się w skupieniu każdemu słowu czarownika. Jego zainteresowanie rozmową nie uszło uwadze Ashtarty. Sądziła, że jemu, podobnie jak i jej, zależało na życiu Khai Ibzina. Nie usprawiedliwiało to jednak układu z faraonem o zawieszeniu broni.

Kiedy Imthra rozpoczął swój wykład na temat sił mentalnych, które przyszłe pokolenia będą znały pod nazwami: telepatii, telekinezy i lewitacji, królowa uniosła do góry dłoń, aby go powstrzymać. Poczula zmęczenie, które potęgowało monotonne opowiadanie maga.

- Dokończysz później, nobliwy starcze. Teraz chciałabym porozmawiać z generałem.

- Słucham królowo. - Manek w jednej chwili wyprostował się jak struna. - Czuję, że uwłączam ci moim niechlujnym wyglądem. Jestem jeszcze zakurzony i pobrudzony błotem. Gdybyś pozwoliła mi...

- Twój wygląd mi nie przeszkadza - ucieła - ale z pewnością ma wpływ na twój umysł, bo jak dotąd nie przyniosłeś mi wieści, z których byłabym choć odrobinę zadowolona. Chcę, abyś raz jeszcze opowiedział mi, jak doszło do tego, że generał Khai znalazł się w obecnym, oplakanym stanie.

Siedzieli wokół sofy, na której leżała nieruchoma postać generała Khai Ibzina. Imthra na powrót przyłgął plecami do oparcia krzesła i złożył ręce na klatce piersiowej. Mógł choć przez chwilę odetchnąć po kilkugodzinnej, wyczerpującej rozmowie z Ashtartą.

Teraz przysła kolej na generała Thotaka, z czego czarownik był niezmiernie zadowolony. Był też wdzięczny bogom za to, że królowa zapomniała zapytać go o interpretację swojej wizji ze świętego miejsca. Opowiedziała obraz pełen niezrozumiałych symboli. Za to jego wizja była dziecinnie prosta.

Gdyby wyjawiał ją teraz królowej, pogłębiłoby to tylko jej smutek. Wolał więc, aby najpierw Khai obejrzało siedmiu magów i wydało swój werdykt, choć był pewien, że będzie zgodny z jego widzeniem.

- Generale, czekam na twoje wyjaśnienia. - Głos Ashtarty wyrwał Maneka z zadumy.

- Moja królowo, opowiedziałem ci już wszystko. Nie mam nic do dodania.

- Opowiedz raz jeszcze, jak doszło do porwania Khai. Tylko nie próbuj niczego zataić. - Mówiąc to, Ashtarta położyła dłoń na bladym policzku Khai.

Oczy Maneka błysnęły złowrogo, jednak po chwili spuścił je pokornie, chcąc w ten sposób ukryć swoje myśli.

Przez moment patrzył bezmyślnie na drogocenne futra na podłodze namiotu. Było oczywiste, że Ashtarta w pewien sposób wini go za to, co przytrafiło się Ibinowi.

- Rozłożyliśmy nasze obozowisko pod murami Asorbes - rozpoczęła Thotak. - Nasza armia była zmęczona i potrzebowała odpoczynku. Nasze namioty znajdowały się cztery, może pięć mil od miasta. Mielśmy sporo mięsa, ponieważ pastuchowie nie zdążyli w porę uprzętnąć bydła z pastwisk. Pojmaliśmy dwóch, ale okazało się, że byli ledwie wyrostkami, więc puściliśmy ich wolno. Jedliśmy i odpoczywaliśmy, a czarownicy faraona mieli pełne ręce roboty, rzucając

na nas uroki. Kiedy więc następnej nocy udaliśmy się do miasta, by pertraktować z Khemitami, czarownicy skorzystali z naszej nieobecności i uprowadzili Ibzina. To, że ja uszedłem z życiem, graniczy niemalże z cudem.

- O to właśnie chciałam cię zapytać, generale Thotak. - Ashtarta spojrzała podejrzliwie na Maneka. - Jak to się stało, że ciebie zostawili w spokoju?

Królowa nie doczekała się jednak odpowiedzi, gdyż do namiotu wbiegła służąca, oznajmiając swojej pani, że właśnie przybyło siedmiu magów. Nie spotkali jej posłańców, mimo to wiedzieli, że ich potrzebowała.

V

Choroba Khai Ibzina

Dawno już zapadła noc, gdy jeden z żołnierzy mocnym szarpnięciem obudził Manek Thotaka. Wcześniej, tuż po przybyciu magów, Ashtarta odprawiła go ze swojego namiotu, aby móc porozmawiać z mędrkami bez świadków. Na miejscu pozostał tylko Imthra, choć jego wiedza była znikoma w porównaniu z tą, jaką posiadali magowie.

Thotak dałby wiele, aby królowa pozwoliła mu uczestniczyć w rozmowie. Okazało się to jednak niemożliwe. Jako żołnierz, nie miał żadnego pojęcia o magii. Zanim jednak opuścił namiot, królowa zakomunikowała mu, że jeszcze tej nocy może go wezwać do siebie. Zastanawiał się, czy była to jej decyzja, czy też może jego obecności życzyli sobie magowie. Drżąc z zimna, zanurzył twarz w lodowatej wodzie, a potem spoglądając w lustro, przeczesał brodę i pospiesznie opuścił swój sklecony naprędce namiot. Cały czas myślał o mędrkach i o tym, jaką postawią diagnozę.

Nie tak dawno jeszcze traktował magię jak nedorzeczne opowieści, wolał głąskać zimne ostrze miecza niż poklepywać czarowników po ich przygarbionych plecach. Jednak teraz przejrzał na oczy. Doszedł do wniosku, podobnie jak reszta żołnierzy, że bez ich czarów ponieśliby klęskę w wojnie z faraonem.

Mówiono, że magowie, podobnie jak i faraonowie, są potomkami starożytnych bogów. Dlatego też ich zachowanie, a ponoć także i ciała, są tak odmienne od ludzkich.

Przed wyjściem z namiotu królowej Manek miał okazję przyjrzeć się magom. Była to grupka dziwacznych starców, którzy pochodzili z siedmiu sąsiadujących z sobą krajów: Siwadu, Kush, Daraafu, Nubii, Therae, Arabby i Syry. Mimo to byli do siebie bardzo podobni. Choć byli starcami, mieli jasne umysły. Wyglądali dumnie i tajemniczo. Ich uderzające podobieństwo zdawało się tylko potwierdzać ich pochodzenie od bogów.

W purpurowej komnacie Ashtarty Manek złożył władczyni należny jej pokłon i skierował swój wzrok na starców. Zsalutował każdemu z osobna, wyrażając głośno swoje uznanie i dziękując w imieniu narodów Siwadu, Kush i Nubii za pomoc w rozgromieniu wojsk faraona. Przez cały ten czas próbował zgłębić ich myśli. Był niezmiernie ciekaw ich opinii na temat stanu, w jakim znajdował się Khai. Jednak na próżno. Wszyscy mieli nieprzeniknione, kamienne twarze, zwłaszcza ten odziany w żółty habit.

„Czy już coś postanowili? - zastanawiał się gorączkowo. - Mieli dość czasu, aby postawić diagnozę.” Raz jeszcze spojrzął na nich. Stali pod ścianą namiotu jeden obok drugiego, z rękoma założonymi na klatce piersiowej.

Manek nie znał ich imion, ale z łatwością rozpoznawał pochodzenie. Pierwszy od lewej był ze wschodnich regionów Arabby, następny był brodaty, o jasnej cerze - Therae, czarny z gęstymi, kręconymi włosami - z lasów południowej Nubii. Ten zaś wysoki, kościsty - z bagien Siwadu. Z górskich terenów Daraafu pochodził mag o dużych stopach i z małymi świdrującymi oczkami. Zaś ten z opaloną i osmağaną wiatrem twarzą - z gorących, wschodnich wybrzeży Wielkiego Morza. Ostatni, mag—eremita pochodził z nizin Kush. Na myśl o potędze jaką władali, poczuł, jak ciarki biegną mu po krzyżu.

- Generale Thotak - odezwała się królowa - jesteś niebywale bładny. Czy stało się coś złego?

- Nie pani. Martwię się tylko chorobą generała Khai.

- Nie jesteś w tym odosobniony. - Królowa pokiwała głową. - Mamy, niestety, do tego powody.

Dojrzał głęboki smutek na jej twarzy. Kiedy zbliżył się do niej, zauważył, że miała podkrążone, zapłakane oczy.

- Generale. - Tym razem głos zabrał Imthra, wynurzywszy się z mroku, jaki panował po przeciwnej stronie namiotu. - Nasz dowódca, Khai Ibin, nie jest chory. Mam na myśli to, co my zwykle rozumiemy przez chorobę. Żaden więc medyk nie jest w stanie mu pomóc, bo to, co dolega Ibinowi, leży daleko poza ich umiejętnościami i wiedzą. Stało się to, co widziałem w świętym miejscu Yith-Shesh, i teraz tamta przepowiednia została potwierdzona przez tych tu nobliwych magów.

Otóż, generale, aby pomóc naszemu ukochanemu Khai Ibinowi, potrzebujemy ochotnika do wyjątkowo niebezpiecznej misji.

- Jakiego rodzaju misji?

- Kochany generale - królowa nieoczekiwanie przerwała Imthre - znasz Ibin, odkąd przybył do nas z Khem. Byliście rywalami w rycerskich turniejach i walczyliście ramię w ramię na polach bitewnych. Znasz go bardziej niż ktokolwiek inny. Zgódź się więc nam pomóc.

- Zrobię to, czego tylko pragniesz pani, ale nie wiem, na czym ta misja miałaby polegać.

- My ci to wyjaśnimy - odezwał się starzec w żółtym habicie.

Reszta magów jak jeden mąż otoczyła nieruchomą postać Ibin na sofie, Thotaka, Imthre i królową.

- Za twoim przyzwoleniem pani.

- Proszę, nie traćcie czasu.

Starcy zbliżyli swoje pomarszczone twarze do Maneka, przypominając do złudzenia płatki jakiejś krwiozerczej rośliny na moment przed pożarciem bezbronnego owada.

- Czarownicy faraona - rozpoczął ubrany na żółto starzec - zabrali Ibinowi duszę. Odprawili tajemną mszę żałobną jeszcze za jego życia i wysłali jego duszę w niezbadane mroki przyszłości, każąc jej wcielić się w ciało jeszcze nienarodzonego dziecka.

Manek, wpatrując się w twarz maga, zapytał:

- W jaki więc sposób mógłbym mu pomóc?

- Prawdę mówiąc, nie znamy dokładnie wszystkich tajników ich mszy żałobnej. Jest to dla nas nowy obyczaj - kontynuował szeptem starzec. - Czarownicy faraona korzystają z usług złych mocy, które przed nami skrywają swoje tajemnice. Możemy co najwyżej odtworzyć ich misterną pracę.

Siedmiu magów jeszcze bardziej zbliżyło się do Maneka.

- Chcemy posłać twoją duszę w ślad za duszą generała Khai. Twoim zadaniem będzie odszukanie jej i sprowadzenie z powrotem do naszych czasów. W przeciwnym razie Khai Ibin umrze. Ty jeden nadajesz się do wykonania tej misji, bo znałeś go najlepiej i byliście przyjaciółmi. Sądzimy, że kiedy go odnajdziesz, nie będziesz miał problemu z jego rozpoznaniem.

Manek czuł, jak uginają się pod nim kolana. Spoglądał nerwowo to na starców, to na królową.

- Zgódź się generale - poprosiła Ashtarta. - Uczyni to dla mnie, a spełnię każde twoje życzenie.

- Wiesz dobrze królowo, że zażądam najcenniejszej nagrody.

Przez moment Ashtarta zastygła w bezruchu, próbując odgadnąć jego myśli. Po chwili powoli zaczęła mówić:

- Wiem od dawna, że jesteś ambitnym człowiekiem, generale Thotak. Często zastanawiałam się, czy pragniesz zostać królem Kush z miłości do mnie, czy do potęgi, jaką uosabia władca. Zresztą, nie czas rozprawiać teraz o tym. Jak ci wiadomo, moje serce już od dawna należy do Ibizina. Gdyby umarł, życie straciłoby dla mnie sens. Nawet gdyby już nigdy nie miał należeć do mnie, zapłaciłabym każdą cenę, by odzyskał zdrowie.

- Odszukam jego duszę, pani, a kiedy z nią wrócę, zgodzisz się oddać mi swoją rękę.

- Masz moją zgodę. - Królowa spuściła oczy, kiwając twierdząco głową. - Przynajmniej nie straci na tym nasz kraj, bo niewielu jest wojowników, którzy mogliby ci dorównać odwagą i męstwem.

- Jeżeli wrócisz... - wyszeptał złowrogo Imthra. - Nie mamy żadnej pewności, że nasz plan się powiedzie. Trudno przewidzieć, co może cię spotkać w przyszłym życiu. Ryzyko jest więc duże, generale.

VI

Podróż w przyszłość

- Kiedy zamierzacie wysłać moją duszę w przyszłość? - zapytał Thotak. - Moja armia stoi na granicy z Khem, a oddziały Khai wyczekują pod murami Asorbes. Nie mogą tam przecież tkwić wiecznie. Bez generałów, królowo, nawet najlepsza armia na niewiele się zda.

- Nie będą czekali długo - przerwał mu Imthra. - Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce odzyskają swoich dowódców. Tak długo jak nasze oddziały stoją u wrót twierdzy faraona, on sam jest nieszkodliwy.

Po słowach Imthry nastąpiła krótka cisza, po której odezwał się mag z Nubii.

- Musisz nam zaufać, żołnierzu - powiedział. - Odprawimy mszę żalobną na twoją cześć o świcie, a jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, powtórzmy ją o zachodzie słońca. Jestem jednak pewien, że wszystko pójdzie dobrze. - Mówiąc to, ani na moment nie odwrócił swoich dużych brązowych oczu od twarzy Maneka. - To właśnie ja znam się na rzucaniu uroków. Przyjdę po ciebie o świcie i przyprowadzę tu, do namiotu królowej. Następnie uspię twoje ciało i dam kilka wskazówek, o których będziesz musiał pamiętać w przyszłym życiu. - Po tych słowach mag zwrócił się do Imthry:

- Teraz twoja kolej, bracie.

- Wasza wysokość. - Imthra zwrócił się do królowej. - Kiedy generał Thotak odnajdzie Khai Ibzina w jego przyszłym wcieleniu, będzie musiał znaleźć sposób, aby przypomnieć mu, kim jest naprawdę. Dusza, rzecz jasna, będzie należała do Khai, lecz sam Khai będzie uspiiony. Potrzebujemy czegoś, co podziałałoby na niego jak kubek zimnej wody.

- Co więc proponujecie? - spytała Ashtarta. - Zrobię wszystko co w mojej mocy.

Imthra spojrział pytająco na maga w żółtym stroju. Ten natomiast, nie zwlekając, uniósł do światła złotą pośmiertną maskę z podobizną Ashtarty.

Królowa kazała ją wykonać na wypadek klęski swojej armii w wojnie z faraonem. Zaprzyścięła zabić się w sekretnym grobowcu ukrytym w górach. Umierając, założyłaby maskę na twarz, aby ludzie w przyszłym świecie wiedzieli, jaka piękna była za życia.

- Twoja maska, pani - wykrzyknął Imthra - najlepiej będzie nadawała się do tego, co zamierzam zrobić.

- Moja maska?! Chcesz posłać moją złotą maskę za duszą Khai?

Imthra uśmiechnął się chytrze.

- Nie mam zamiaru wysłać jej w przyszłość, pani. Po prostu umieścimy ją w drewnianej skrzynce i zakopimy. Tylko ja i Manek Thotak będziemy wiedzieli w którym miejscu. Kiedy dusza generała Maneka przybędzie do przyszłego świata, przypomni sobie o niej. Mag z Nubii dopilnuje tego.

- Gdy Thotak odnajdzie Khai, wystarczy mu jedno spojrzenie na maskę, aby przypomniawszy sobie, kim jest i skąd pochodzi. - Ashtarta dokończyła za Imthre. - Mam pewien pomysł, starcze.

- Słucham, moja pani.

- Dołożymy do maski jeszcze jedną pamiątkę. Spójrz! - Ashtarta uniosła do góry prawą rękę Khai. - Widzisz ten pierścień? Dostał go od ojca jako dziecko. Zobacz, jak głęboko wrósł w palec.

Ashtarta kazała wezwać medyka. Naoliwił on skórę wokół ciężkiego, złotego pierścienia i zsunął z palca. Symbol „ank”, wyryty na nim, połyskiwał w świetle pochodni.

- W młodości Khai żył w Khem - rzekł Imthra. - Tamtejszy lud wierzy, że ten dziwaczny krzyż przynosi szczęście. Skoro „ank” zawiódł Khai w obecnym życiu, módlmy się, aby ochronił go w przyszłym.

- Manek! - Ashtarta zwróciła się do milczącego generała. - Daj mi swój pierścień.

Thotak bez słowa zdjął srebrny pierścień i podał go królowej. Ona zaś podała obydwa pierścienie Imthrze, mówiąc:

- Zakop je jeszcze dzisiejszej nocy i dobrze zaznacz miejsce ukrycia. Jutro o wschodzie słońca odbędzie się msza.

Ashtarta spojrzała na maga w żółtym habicie.

- Powiedz mi, ojcze, jak długo potrwa ta misja? - spytała.

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze - powiedział cicho - dusza Maneka niemal natychmiast przeniesie się w przyszłość. Czas nie odgrywa tu żadnej roli. Gdy tylko ich przyszłe wcielenia spotkają się, zostaną przeniesione z powrotem do naszych czasów.

- Pod warunkiem, że wszystko się uda - powtórzyła głucho Ashtarta, a jej oczy w jednej chwili wypełniły się łzami.

- No cóż, moje dziecko. - Mag pokiwał smutno głową. - Nigdy przedtem nie robiliśmy tego, a brak doświadczenia w tej dziedzinie jest, niestety, niebezpieczny. Istnieje jednak szansa, że Khai Ibin stanie się na powrót zdrowym człowiekiem i musimy z niej skorzystać. W przeciwnym razie... - Mag rozłożył bezradnie ręce.

Ashtarta skierowała swój wzrok na Imthre, mówiąc:

- Ruszaj, starcze. Przygotuj wszystko jak należy.

Czarownik odwrócił się w stronę Manek Thotaka.

- Czas na nas - powiedział i skierował swoich ludzi do wyjścia z namiotu. - Pójdziemy ukryć pierścienie i maskę, a potem udasz się, panie, na spoczynek.

- Nic z tego, ojcze. Tej nocy nie zmruję oka. Muszę natychmiast wyruszyć w drogę, do wioski Thon Emahl. Leży ona niedaleko stąd, na wzgórzach.

- W jakiej sprawie, panie?

- W ostatniej bitwie na pastwiskach pod Asorbes został zabity Thon. Jego żona jeszcze o tym nie wie.

- Pragniesz osobiście przekazać jej tę wiadomość?

- Tak. Spędzę też u niej noc. Jest piękną niewiastą... Tyle czasu upłynęło, odkąd ostatni raz byłem z kobietą. Znałem ją, zanim została żoną Thona. Z pewnością poślubiłbym ją, gdybym nie pragnął zostać królem i władcą Kush.

Starzec zatrzymał się, ale zanim zdążył wypowiedzieć choć jedno słowo, Manek chwycił go za ramię i wyszeptał:

- Przyrzeknij mi ojcze, że jeżeli nie powrócę z tej diabelskiej misji, dopilnujesz, aby wdowa po Thonie otrzymała cały mój majątek. Kto wie, może wkrótce urodzi upragnionego syna?

- Wszyscy modlimy się w nadziei, że szczęśliwie wrócisz, panie.
- Ty również? - W głosie Thotaka pobrzmiwała nutka sarkazmu.
- O ile wiem, Khai Ibin był twoim ulubieńcem. Teraz zapewne modlisz się, abym wrócił, bo tylko w ten sposób można przywrócić życie Khai. Zresztą mniejsza o to, kiedy wrócę, sam zajmę się wdową. Poszukam jej odpowiedniego męża i dopilnuję, żeby była szczęśliwa.
- Czego chcesz przez to dowieść, generale? I dlaczego jedziesz do tej kobiety właśnie dzisiaj, kiedy przed chwilą królowa zgodziła się oddać ci swoją rękę?

- Nic nie rozumiesz, starcze! - Manek niemal krzyknął. - Obiecała mi tron, ale nie swoje serce. Będzie moją nobliwą żoną, to prawda, ale nigdy kochanką. Jadę do wdowy po Thonie, aby zostawić w jej łędziach część siebie. Spójrz na usiane gwiazdami niebo, ojczyste! Jutro wyruszę do nowego świata i może już nigdy nie będzie mi dane oglądać nieba nad Kush.

W odpowiedzi Imthra uwolnił ramię ze stalowego uścisku Thotaka.

- Chodź, synu. Czeka nas praca. Radzę ci, abyś zdążył wrócić przed świtem. Wolę nie myśleć, co się stanie, jeżeli mag w złotym habicie nie zastanie cię w namiocie.

Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca rozświetliły horyzont, mag z Nubii zbliżył się do zziębniętego generała, który przykucnął przy ognisku z rękoma wyciągniętymi przed siebie.

Bez słowa udali się w kierunku kaplicy polowej. Kiedy dotarli na miejsce, mag poprosił, by Manek położył się na sofie obok Ibin. Wnętrze kaplicy rozświetlały czerwone płomienie pochodni. Mag, mrużąc coś pod nosem, zaczął zataczać dłońmi tajemne kręgi nad twarzą generała. Manek nie rozumiał słów, jakie wypowiadał. Monotonne mrużenie usypiało go. Poczł się nagle zmęczony. Przyozdobione pierścieniami ręce maga odbijały światło pochodni. Powieki zaczęły mu powoli opadać, a niezrozumiałe słowa nabrały sensu. Mag dawał mu wskazówki, co ma robić w swoim przyszłym wcieleniu. Powtarzał swoją listę przykazań, póki nie wryły mu się głęboko w pamięć.

Słońce stało już wysoko poza linią horyzontu, kiedy sam podszedł do pozostałych sześciu czarowników, siedzących dookoła z podkurczonymi nogami. Ich magiczne akcesoria leżały obok; kadzielnice z brązu, złote różdżki, wysokie, szpiczaste kaptury ozdobione złotymi symbolami.

Imthra był tam z nimi, lecz nie siedział na ziemi jak oni, a na krzesła obok. Przez cały czas nie spuszczał oczu z obu generałów. Kiedy mag z Nubii zakończył swoje czynności, Imthra pośpiesznie opuścił kaplicę i wszedł do namiotu królowej. Po chwili wrócił z nią. Kiedy zbliżała się do leżących nieruchomo mężczyzn, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Miała wrażenie, że cały świat rozpadnie się na drobne kawałki.

CZĘŚĆ DRUGA

I

Kochankowie

Leżał w pokoju otoczonym zasłonami z purpurowego jedwabiu, na łożu pokrytym drogimi futrami. W górze poprzez cienki materiał widać było księżyc.

Płonęły pochodnie, wypełniając całą przestrzeń łagodnym, pachnącym ziołami dymem. Gdyby nie częste podmuchy orzeźwiającego górskiego powietrza, nie byłoby czym oddychać.

Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, rozejrzał się dookoła. Jego uwagę przykuła szkatuła z drzewa mahoniowego z misternymi płaskorzeźbami. Była otwarta, a z jej wnętrza połyskiwały klejnoty, część z nich leżała obok na piasku.

Nagle zdał sobie sprawę, że to, co wziął za pokój, jest jednym z pomieszczeń ogromnego namiotu, zapewne królewskiego, ze względu na przepych, z jakim został urządzony. Wewnątrz było tak gorąco, że pościel kleiła się do spoconego ciała. Przyszła mu na myśl zimna toń górskiego potoku, w którym, jak mu się zdawało, kąpał się kilka godzin wcześniej. Nie pamiętał, jak znalazł się w tym dziwnym miejscu. Położył głowę na poduszce. Nie miał siły ani ochoty dociekać prawdy. Powieki na powrót stały się ciężkie. Gdyby nie ten piekielny zaduch, leżenie byłoby przyjemnością.

Winowajcą był Khamasin; wiatr wiejący od gorących piasków pustyni Hyrksos. Jego podmuchy, niczym ukąszenie skorpiona, potrafiły wysuszyć istotę ludzką na wiór i doprowadzić do szaleństwa. Dowodem tego było zachowanie jego armii, smaganej podmuchami Khamasinu, gdy uderzyli na oddziały przeciwnika.

„Jakie oddziały? Jakiego przeciwnika?” - Nie mógł sobie przypomnieć.

Pewnie Khamasin skradł mu podstępnie pamięć. Może też wciągnął go do namiotu niewiasty, która ma go poślubić po zakończeniu wojny.

Odetchnął z ulgą, odczuwając chłód. Był to znak, że wiatr przeniósł się dalej, do doliny Nilu, przypiekając tym samym tyły wroga.

Jaką to kobietę miał poślubić?

Zastanawiał się gorączkowo. Do kogo należy to wspaniałe łóżce, na którym leży? I dlaczego musiał się zakraść do niej jak złodziej? Przecież jest generałem... tylko, w jakiej armii? Potrząsnął głową. Zza jedwabnych kotar dobiegały go głosy kobiet. Pewnie to jej służebne. Służebne?

Była królową, a on miał zostać jej mężem. Ona też pewnie kazała mu przyjść do swoich połowych komnat tylnym wejściem. Obawiała się, aby jego przybycie nie przyniosło jej ujemy. Teraz pewnie bierze kąpiel. Czemu służące tak głośno się śmieją? Czyżby wtajemniczała je we wszystko? Zresztą mniejsza o to. Jest tym, kim jest, i żadne babskie śmiechy nie powinny go obchodzić. Tylko kim jest?

- Kim jestem? - zapytał samego siebie szeptem. Zanim zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, zauważył cień, który przesunął się po kotarze, i do łóża zbliżyła się kobieta owinięta w przezroczyste prześcieradło. W pierwszej chwili nie bardzo wiedział, co ma zrobić.

Kobieta, przeciwnie, nie przejmując się jego obecnością, zrzuciła okrycie i stanęła przed nim zupełnie naga. Jej skóra połyskiwała olejkami.

Wyglądała niewinnie, choć czuł, że czai się w niej grzeszna dusza. Kiedy zaczęła poruszać biodrami w tanecznych płasach, wpatrywała się w niego półprzymkniętymi oczyma.

Gdzieś z oddali dobiegało bicie bębnów. Zdawało mu się, że kobieta podjęła ich taneczny rytm. Kropelki potu mieszały się z oliwą. Odbijało się w nich światelko pochodni. Wyglądała, jakby obsypał ją ktoś złotym pyłem. Przypominała do złudzenia wróżkę ze starych podań. Miała wyjątkowo kształtne ciało; wąską talię i jędrne piersi, które zmysłowo falowały. Wykonywała stary jak świat taniec godowy, którym panna młoda rozpala swojego męża, zanim wpadnie w jego miłosne uściski.

Gdy zbliżyła się do łóża, chwycił ją za nadgarstek, wytrącając z rytmu. Mimi że udało jej się wymknąć z uścisku, straciła równowagę i upadła na łóżko. Jednym skokiem znalazł się przy niej i przygniótł

ją całym ciężarem ciała, czując jej gorący oddech. Jego jasna skóra wyraźnie odcinała się od opalonego ciała dziewczyny. Oboje byli podnieceni.

Kiedy jednak spojrzął w jej oczy, zobaczył w nich strach. Może dlatego, że dotąd jej ciało rozpalał Khamasin, a teraz zimny, górski wiatr je chłodzi.

Próbowała uwolnić nogi, ale nie pozwolił jej na to. Przeciwnie; chwycił ją za kolana i rozchylił jej nogi na boki, a potem kocim ruchem wślizgnął się między nie. Boleśnie uciskał jej uda i pośladki. Walczył z nią, jakby była niezwykle mocarnym przeciwnikiem. Raz i drugi uderzyła go w twarz. On jednak przytrzymał jedną dłonią jej rękę, a drugą uniósł jej krągłe piersi i zaczął je całować, zlizując kropelki potu wymieszane z oliwą.

Kobieta przestała się opierać. Palcami wyczuł, jak jej brodawki twardnieją. Spojrzął na jej twarz. Odchyliła ją mocno do tyłu. Poczul też, że zmalało napięcie w udach, które dotąd siłą trzymał rozwarłe. Jeszcze moment i rozchyliła je mocniej, podciągając do góry kolana.

Zaczął delikatnie ugniatać piersi. Jej oddech prawie natychmiast stał się chrapliwy. Kręciła głową coraz szybciej. Sprawiała wrażenie, jakby to gorący Khamasin trzymał ją w objęciach.

Spojrzał na połyskujący brzuch, mokre, gęste i zmierzwione włosy na jej łonie i... ze snu wyrwał go terkot budzika.

- Cholerne draństwo! - krzyknął i jednym uderzeniem ręki zmiotł zegar ze stolika stojącego obok łóżka, ten zaś zatoczył w powietrzu koło i uderzył w ścianę, nie przestając dzwonić.

Poczul ból w karku, jakby go ktoś spiął niewidzialną klamrą. Był spocony. Wokół łóżka poniewierały się części garderoby, które zrzucił z siebie w trakcie snu.

- Niech to szlag trafi! - Opadł bezwładnie na poduszkę.

Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć, jak miała na imię. Teraz, po przebudzeniu, było to prawie niemożliwe, skoro nie rozpoznał jej przedtem we śnie. Egzotyczna piękność, która we śnie wykonywała swój taniec godowy, zdawała się być teraz złudzeniem zagubionym gdzieś w mrocznych czeluściach niebytu.

II

Paul Arnott

Wilfred Sommers minął recepcję i prężnym krokiem przeszedł przez hall szpitalnej poczekalni, kierując się do prowadzących do ogrodu wahadłowych drzwi.

Alejka, którą szedł, wiała się wśród malowniczej kompozycji krzewów kwiatowych i skał piaskowca. Na końcu zauważył drzwi prowadzące do sali gimnastycznej. Było to centrum fizykoterapii, gdzie Paul Arnott pod okiem lekarzy przywracał swoim schorowanym członkom ich naturalną sprawność.

Sommers wszedł do pomieszczenia, w którym przebywał Arnott. Paul leżał na macie i podnosił na przemian prawą i lewą ręką ciężkie hantle. Ćwiczeniom przez cały czas towarzyszył grymas bólu. Jego kark, plecy i klatka piersiowa były usztywnione za pomocą specjalnego plastikowego kołnierzyka.

Zobaczywszy Sommersa kiwnął głową na przywitanie.

- Znęczasz się nad sobą, co? - zapytał Sommers z nutką współczucia w głosie.

- Uwielbiam dręczyć swoje ciało, przyjacielu. Uch! Jestem masochistą, nie wiedziałeś o tym? Co cię sprowadza?

- Dwie sprawy. - Sommers zaśmiał się. - Pierwsza, to fakt, że nie widzieliśmy się przeszło tydzień, a druga... - Zrobił pauzę i uśmiech z jego twarzy znikł bez śladu. - Chcę ci coś pokazać.

- To ciekawe. - Arnott zamruczał pod nosem. - Co takiego?

- Odłóż hantle i usiądź.

- Jak sobie życzysz. - Paul zacisnął zęby i z wysiłkiem uniósł górną część ciała. Ciężarki zaś bezwładnie potoczyły się po macie.

- Ten złom daje mi niezłe w kość - powiedział ponuro. - Pokażesz mi w końcu tę niespodziankę, przyjacielu? Zaczynam tracić cierpliwość.

Przez chwilę Sommers spoglądał na niego w milczeniu. Paul był Anglikiem z krwi i kości, ale do złudzenia przypominał Araba. Miał ciemną karnację skóry. Sokoli nos nadawał jego twarzy agresywności

mieszkańców afrykańskich pustyń. Brano go za syna szejka lub jednego z emisariuszy Środkowego Wschodu. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, że może być Anglikiem. Powodziło mu się nieźle. Łączyło ich z Sommersem zamiłowanie do historii starożytnego Egiptu.

Wilfred Sommers poszedł w ślady swojego sławnego ojca - sir George'a Sommersa - archeologa. Jego głównym obiektem badań była dolina Nilu. Paul Arnott zaś, w przeciwieństwie do swojego przyjaciela, był egiptologiem-amatorem, jednym z najbardziej kontrowersyjnych znawców Egiptu. Najbardziej zdumiewał fakt, że nigdy tam nie był.

- Na co czekasz, Wilf? - Arnott wiercił się niecierpliwie.

- Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, przychodząc z tym do ciebie. To coś może wywołać szok.

Wzrok Arnotta powędrował do dużej koperty, którą Sommers trzymał w ręku.

- Co jest w tej kopercie? - zapytał.

- Zdjęcie.

- Czy to ono ma wywołać u mnie ten szok?! - Paul zapytał z niedowierzaniem.

- Zobacz sam. - Sommers podał mu kopertę.

Arnott otworzył ją i wyjął kolorowe zdjęcie złotej maski pośmiertnej.

Sommers nie spuszczał wzroku ze skupionej twarzy przyjaciela, kiedy ten wpatrywał się w fotografię. Oczy Arnotta wyrażały zdumienie i potwierdzały obawy Sommersa.

- Wiesz, kim była ta kobieta? - zapytał.

- To Sh'tarra. - Usłyszał w odpowiedzi.

Arnott potrząsnął głową, a w jego oczach widać było przerażenie. - Skąd masz tę fotografię, Wilf?

- Zauważyłeś pewnie jej podobieństwo do Julii?

- Mój Boże! Musiałbym być ślepy, żeby tego nie spostrzec. - Próbował wstać i Sommers mu pomógł. - Jest jeszcze coś, co mnie uderzyło w twarzy tej kobiety. - Arnott zamyślił się na chwilę. - Podaj mi rękę - poprosił.

Miał na sobie spodnie dresowe i podkoszulek, próbował nałożyć bluzę.

Sommers zauważył, że Arnott poczynił znaczne postępy, biorąc pod uwagę jego beznadziejny stan po wypadku. Zapewne źródło jego

poprawy tkwiło nie tylko w ćwiczeniach rehabilitacyjnych, ale i w jego niezwyklej uporze. Ta cecha charakteru zapewne pomagała mu lansować swoje teorie, które wprawiały w osłupienie znawców starożytnego świata.

Uważał na przykład, podobnie jak rosyjski mędrzec Gurczew, że przed erą egipskich faraonów istniała wysoce rozwinięta cywilizacja. To ona właśnie, a nie Egipt, była źródłem wiedzy promieniującej na przyszłe pokolenia. Ta kontrowersyjna teoria, niepoparta żadnymi dowodami, stawiała go na równi z innymi podobnymi mu teozofami.

Z drugiej strony jednak, trudno było zarzucić Arnottowi niepoczytalność czy dziwactwo. Przeczyło temu jego wykształcenie i głęboka wiedza.

Sam profesor George Sommers zaproponował mu przecież współpracę, oczywiście, w badaniach czysto naukowych, różniących się nieco od jego prywatnych poglądów. Istniała też rzesza pośrednich egiptologów, którzy często prosili go o radę. Mimo to Arnott wolał uchodzić za amatora. Ten status uwalniał go od rygorów, jakie panowały w świecie nauki, dając mu możliwość forsowania twierdzeń, które zadziwiała świat.

III

Wspomnienia z przeszłości

Jednym z twierdzeń, przy których się upierał, było zastosowanie koła.

Arnott mianowicie uważał, że znalazło ono zastosowanie w starożytnych wozach bojowych długo przed tym, nim wykorzystano je w gospodarstwach domowych. Potem, w czasach inwazji Hyrksosa, budowę i zastosowanie koła skradli Egipcjanie.

Zgadzał się z tymi, którzy twierdzili, że cały rejon Sahary obejmujący obszar Egiptu i przyległych państweczek był w siódmym tysiącleciu przed Chrystusem zielonym pasem żyznej ziemi. Sprzeciwiał się jednak twierdzeniom, że zmieniające się stopniowo warunki pogody miały wpływ na erozję gleby, a w konsekwencji na powstanie pustyni. Zdaniem Arnotta, cały proces przemiany odbywał się o wiele szybciej, a mianowicie: w ciągu kilku tygodni, a może nawet dni, kiedy to stada słońi, hipopotamów, kucy, znalazły się w jednej chwili pod działaniem palących promieni słońca. Wysoka temperatura była dla tych zwierząt równie zabójcza jak chłód lodów dla syberyjskich mamutów.

Był też przekonany, że stal nie została sprowadzona do doliny Nilu przez najeźdźców, lecz na nowo odkryta przez lud zamieszkujący te tereny. Stali zaczęto używać do wyrobu broni właśnie w Egipcie, a dopiero potem sztuka jej wytopu została rozpowszechniona.

Piramidy, według Arnotta, były nie tylko wspaniałymi grobowcami, ale również kopiami pomników, zasypanych ruchomymi piaskami.

Utrzymywał, że faraonowie budowali piramidy w zupełnie innym celu, a mianowicie, by odtworzyć budowle, które istniały na ziemi, zanim przybyli tam ich ojcowie.

Nadawał się na autora romantycznych książek zajmujących się tematyką najazdów kosmicznych na Ziemię. W jego mniemaniu cała potęga rozumu Egipcjan pochodziła od przybyszy z innych planet.

Pierwsza piramida nie została przez nich wybudowana, a po prostu wylądowała na ich ziemi.

- Fotografia. Wilf, skąd ją masz?

- Hm? Przepraszam, zamyśliłem się. Sam ją zrobiłem, wczoraj w muzeum. Zresztą zaraz tam wracam. Masz ochotę pójść tam ze mną?

- Czy mam ochotę? Pójdę tam, nawet gdybyś chciał mnie zatrzymać siłą.

Przechodzili obok basenu, który o tej porze był już pusty, dlatego też ich głosy odbijały się głuchym echem.

- Wcale nie mam zamiaru robić - oponował Sommers. - Ojciec będzie szczęśliwy, widząc cię znowu. Tyle czasu minęło od waszego ostatniego spotkania. Nawiasem mówiąc, musisz chyba gdzieś zgłosić swoje wyjście do miasta.

- Uprowadzałem władze szpitala, że będę musiał od czasu do czasu zaglądać do swojego mieszkania. Na razie więc ich wścibstwo mi nie zagraża. Poza tym za czterdzieści osiem godzin mają mi ściągnąć to paskudztwo z szyi. - Wskazał wysoki plastikowy kołnierz.

- Chyba nie będziesz ryzykował karkołomnych lotów na lotni?

- Zobaczymy jeszcze! Posłuchaj, Wilf, czy wiesz, że człowiek mógł już latać na lotni dziesięć tysięcy lat temu? Wszystkie materiały miał pod ręką; w stanie surowym, rzecz jasna, ale były dostępne.

- Czy to twój kolejny wykład na temat mądrości starożytnych ludów?

Arnott potrząsnął przecząco głową.

- Wracając do mojego wypadku; doszedłem do wniosku, że powinienem na jakiś czas dać sobie spokój z lataniem. Po śmierci Julii jakoś nie mam do tego serca.

Sommers doskonale wiedział, co Arnott miał na myśli.

Trzy miesiące wcześniej Arnott i Julia latali na lotniach niedaleko Grampians. Julia była świeżo upieczonym pilotem. W dniu, w którym zginęła, wiał silny wiatr, a miejsce lądowania było usiane skałami.

Arnott zabronił jej latać. Najpierw zgodziła się bez słowa, ale kiedy on wzniósł się w powietrze, poleciała za nim. Po pewnym czasie wzniosła się nawet kilka metrów powyżej. Wtedy, ku swojemu przerażeniu, zauważył, że Julia traci kontrolę nad lotnią. Próbował

zbliżyć się do niej, aby zapobiec upadkowi. Na próżno. Julia runęła w dół z dużej wysokości i o mały włos nie pociągnęła go za sobą.

- A co do maski... - Arnott zmienił temat. - Skąd ona pochodzi i jak dostała się w twoje ręce?

- Została przywieziona przez Egipcjanina - odparł Summers.

- Egipcjanina?

- Pracuje w biurze podróży w Kairze. W wolnym czasie zajmuje się archeologią. Jest podróżnikiem i kolekcjonerem. Wykopał to złote cacko podczas jednej ze swoich samotnych wypraw...

- Do Gilf Kebir. - Arnott dokończył zdanie.

Minęli wyjście ze szpitala i skręcili w jedną z londyńskich uliczek. Sommers chwycił go za ramię.

- Skąd o tym wiesz, Paul?! - wykrzyknął. - Ten Egipcjanin powiedział to tylko mnie.

- Po prostu zgadłem - odparł zamyślony Arnott.

- Zgadłeś?! Nie rozśmieszaj mnie! - Masz chyba zdolności telepatyczne, skoro wiesz o tych zapomnianych miejscach.

- Wiem, co mówię - odparł Arnott, a jego śniada cera pojaśniała. - Jak tylko zobaczyłem zdjęcie tej maski, wiedziałem, że pochodzi z Kush.

- Kush?! - Na twarzy Sommersa znowu pojawiło się zdziwienie. - Przecież Kush leżało na południu, a nie na zachodzie Egiptu.

Podeszli do samochodu zaparkowanego przy krawężniku.

- To ty, Wilf, tak twierdzisz, nie ja - odparł Arnott.

Jego oczy były wpatrzone gdzieś w przestrzeń.

- Lud Kush przeniósł się na południe później. Wcześniej jednak zamieszkiwali tereny położone na zachód od Khem, a Gilf Kebir było największą ich warownią.

- Rzecz jasna, masz na to dowody.

- Mylisz się. - Arnott spojrział przytomnie na Sommersa. - To jeszcze jedna z moich zwariowanych teorii.

- Ty i twoje teorie... - Sommers potrząsnął głową i przytrzymał drzwi samochodu, aby jego niesprawny przyjaciel mógł bez problemu wejść do środka. Potem usiadł za kierownicą i włączył silnik. Jadąc

obserwował go kątem oka. Arnott znów wędrował myślami gdzieś daleko.

- Paul, czy ty na pewno dobrze się czujesz? Może jednak powinie-
neś pozostać jeszcze kilka dni w szpitalu.

- Nic mi nie jest, mój drogi, Ta fotografia... Obudziła we mnie
uśpione, odległe wspomnienia.

- O niejakiej Shtarze?

- Masz rację. Mimo uderzającego podobieństwa do Julii twarz z
maski należała do Shtary, jestem tego pewien.

- Ale kim była owa Shtara? Gdzie ją poznałeś?

Arnott wbił swój wzrok w twarz Sommersa i wycodził przez zęby:

- Ta maska ma osiem albo dziewięć tysięcy lat, Wilf. Wiem na jej
temat tyle co ty. Moje przeczucia rodzą się bez mojej woli, gdzieś poza
mną. - Wybuchnął krótkim, nerwowym śmiechem. - Zresztą potrak-
tuj to jako jedną z moich zwariowanych teorii, Wilf. Jedno ci tylko
powiem, przyjacielu. Ta maska należała do jakiejś kobiety z przeszło-
ści, kobiety, na którą czekałem całe moje życie.

IV

Wspomnienia Arnotta

- Wilf - odezwał się Arnott, kiedy wyjechali na główną drogę. - Chcę ci opowiedzieć coś o sobie. Kiedyś rozmawialiśmy na mój temat z twoim ojcem. Próbowałem wyjaśnić mu kilka z moich teorii, które towarzyszą mi tak długo, jak tylko wspomnę pamięcią. Trzeba przyznać, że twój stary potrafi wyciągać z ludzi nawet ich najskrytsze sekrety.

- To prawda - przyznał Sommers - mój ojciec jest mądrym człowiekiem. Wiele razy powtarzał mi, że dużo bym się nauczył, przebywając z tobą. Uważa, że jesteś uosobieniem niezwykłych sprzeczności.

Paul pokiwał głową.

- Twój ojciec pochlebia mi. Ma chyba rację, że jestem dziwnym facetem. - Arnott rozsiadł się wygodniej na fotelu i kładąc ręce na oparciu, zapytał:

- Wilf, czy wierzysz w przeznaczenie?

- Tak, ale tylko wielkich ludzi: królów, wodzów...

- To zabawne, ale ja zawsze odnosiłem wrażenie, że moje przeznaczenie niemal depcze mi po piętach. Od dziecka, coś bliżej nieokreślonego wyzwało mnie do siebie. Wspiąłem się na szczyty gór, aby to „coś” odnaleźć. Wyruszyłem na poszukiwanie Atlantydy.

- Nie jesteś dziwakiem, Paul. - Uśmiechnął się Sommers. - Jesteś po prostu ciekawy świata. Nie potrafisz usiedzieć na miejscu.

- Jestem niecierpliwy, to prawda. Spędziłem rok w kibucu w Izraelu, dwa lata w Hokkaido poznawałem tajniki walk wschodu pod okiem prawdziwych mistrzów. Potem przez rok przebywałem w osadzie wikingów w Norwegii. Tam właśnie doszedłem do wniosku, że to, czego szukam, nie istnieje w realnym świecie.

- Wiele podróżywałeś Paul, to prawda. Zastanawiam się tylko, dlaczego nigdy nie byłeś w Egipcie.

- W Egipcie, powiadasz? - Arnott wzruszył ramionami. - Czuję, że gdybym tam pojechał, postąpiłbym wbrew sobie. Egipt jest jedynym miejscem na świecie, którego boję się, z bliżej nieokreślonych powodów.

- Boisz się pojechać do Egiptu? - Sommers zaśmiał się. - A to ci dopiero!

- Czuję, że byłem tam już kiedyś - mówiąc to, Arnott nie spuszczał wzroku z twarzy Sommersa - i że mój Egipt nadal tam jest, tylko nie w tym stuleciu, ale gdzieś poza czasem i przestrzenią. Nie chcę tam jechać w obawie przed tym, co mogę tam ujrzeć.

- Uważasz więc, że twoje niebываłe wspomnienia nie są mrzonkami?

- Trafieś w dziesiątkę. Właśnie dlatego wolę, aby traktowano mnie jako ekscentryka niż wariata. Doskonale wiesz, że niektóre z moich teorii nie są aż tak szalone.

Sommers z aprobatą pokiwał głową.

- Podczas ostatniej suszy w Egipcie - kontynuował Arnott - na gliniastych brzegach Błękitnego Nilu znaleziono koło od wozu bojowego używanego w starożytności. Mimo iż było źle zachowane, gołym okiem widać było różnicę między nim, a pozostałymi kołami egipskimi. Niektóre jego części zostały wykonane z brązu, ale sama piasta była stalowa. Stalowa! Rozumiesz, Wilf? Koło pochodziło z ery, która wyprzedzała o tysiąclecia epokę stali zapoczątkowaną w Azji Mniejszej, o tysiąclecia!

Sommers wzruszył ramionami.

Przynajmniej w tym przypadku na poparcie słów Arnotta istniały dowody. Gorzej rzecz się miała z jego tajemną wiarą w przybyszów z kosmosu, którzy dali początek starożytnej wiedzy. Nie był w tym odosobniony. Podobne poglądy mieli inni ludzie, których powszechnie uważano za szarlatanów.

Sommers ze swej strony odnosił się do wszystkiego sceptycznie. To było silniejsze od niego. Miał również poważne zastrzeżenia co do jego wiedzy na temat Egipcjan.

Przykładowo, Arnott twierdził, że pierwszy faraon był synem boga-Słońca i jego reprezentantem na ziemi. Dlatego też pewnie kazał kapłanom zabalsamować swoje ciało i złożyć je we wnętrzu piramidy,

bo tylko w ten sposób będzie mógł powrócić do nieba.

- Oskarża się mnie - głos Arnotta wyrwał Sommersa z zadumy - że często szafuję życiem. Ale w ten właśnie sposób uciekam od frustracji życia codziennego, a może... mówiąc dosadniej - doczesnego. Mój los odmieniła nieco miłość do Julii, ponieważ jej wygląd, ale nie ona sama, był bliski tym moim dziwnym wspomnieniom. Przypominała mi do złudzenia...

- Sh'tarrę - dokończył Sommers.

- Tak, jej twarz przypominała odcisk twarzy na tamtej pośmiertnej masce z Kush. Wilf, muszę dotknąć tej maski ponownie. Czuję, że drzemią jeszcze we mnie wspomnienia, które ona wydobędzie. - Arnott przerwał nagle i znowu się zasępił.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do muzeum. Zanim wysiadli, Sommers spojrzął na Arnotta i z drżeniem w głosie rzekł:

- Paul, powiedziałeś, że musisz ponownie dotknąć tej maski. Ponownie?...

V

Przebudzenie

Muzeum mieściło się w trzypiętrowym budynku stojącym przy dziewiętnastowiecznej ulicy. Z górnych okien można było dojrzeć ciemny nurt Tamizy. Główne wejście wiodło przez schody, wzdłuż których po obu stronach biegły balustrady. Mimo że jedna połowa drzwi była otwarta, tabliczka na klamce informowała o zamknięciu dla zwiedzających przez całe popołudnie.

Parter w muzeum wypełniały eksponaty z prehistorycznej Bretanii, pierwsze piętro zaś - sprzęty domowe ze starożytnych Chin, Myken, Peru, Kreta. Drugie piętro, gdzie stary profesor George Sommers miał biuro, wzbudzało największe zainteresowanie zwiedzających. Znajdowały się tu bowiem przedmioty kultu ze starożytnego Egiptu. Na tle ścian ozdobionych płytkami z białego marmuru wyglądały niezwykle tajemniczo.

- Czy będę mógł porozmawiać z tym Egipcjaninem? - zapytał Arnott, kiedy wchodzili po schodach na górę.

- Myślę, że tak. Ma zamiar pozostać w Londynie przez kilka dni.

- Jak się nazywa?

- Omar Dassam.

- Nie mów mi tylko, że władze egipskie bez problemu zezwoliły mu na przewiezienie maski do Londynu. Właściwie, dlaczego przyszedł z nią prosto do twojego ojca?

- Nie pytał nikogo o zgodę. Po prostu przemycił ją do nas. Jako agent biura podróży pracujący dla jednej z największych linii lotniczych, nie miał z tym większych trudności. Pytasz, dlaczego przyszedł z tym właśnie do nas? Uważał, że mój ojciec jest najodpowiedniejszą osobą. Mówił, że słyszał o nim wiele dobrego. - To jest zbyt proste, żeby było prawdziwe. - Arnott wzruszył ramionami. - Zresztą, po co

agent biura podróży miałby przemycać złotą pośmiertną maskę do Londynu, żeby później przychodzić z nią do muzeum? To się nie trzyma kupy. Weszli na drugie piętro, gdzie znajdował się trójwymiarowy model świątyni Hatszepsut, królowej Egiptu.

- Wiem, że to wszystko brzmi nieco dziwnie - odezwał się Sommers. - Jest jednak jeszcze coś, o czym ci nie wspomniałem.

- To na co czekasz?

Szli wzdłuż korytarza, gdzie po obu stronach stały trumny z mumiami i podobizny bogów staroegipskich.

- Odwiedziłem cię w szpitalu - zaczął Sommers po krótkiej pauzie - z zamiarem sprowadzenia cię tutaj.

- Nie musiałeś mnie długo prosić. Poszedłbym do samego piekła, żeby móc obejrzeć tę maskę.

- Najbardziej zależało mi na tym, abyś spotkał się z Omarem. - Sommers uśmiechnął się. - Jest podobnie jak ty niezwykle oryginalny. Więcej dowiesz się od ojca.

Stanęli przed drzwiami, na których widniała wizytówka z inicjałami profesora George'a Sommersa. Wilfred bez wahania zapukał.

- Proszę wejść. - Usłyszeli po chwili.

- Paul, miło cię znowu widzieć. - Sir George wstał zza biurka i podszedł do drzwi z wyciągniętą dłonią.

- Co u pana słyhać? - zapytał Arnott, potrząsając ręką profesora. - Znakomicie pan wygląda.

- I tak też się czuję! - odpowiedział Sommers, śmiejąc się serdecznie.

Był człowiekiem niskiego wzrostu o bujnej, przyprószonej siwizną czuprynie. Ubrał się wytwornie i mimo podeszłego wieku tryskał wprost energią.

- To raczej ciebie powinienem zapytać o zdrowie. - Sommers przyjrzał się uważnie Arnottowi.

- Poczuję się znacznie lepiej, kiedy ściągną mi to plastikowe paskudztwo z karku - odparł Paul, uśmiechając się, i zaraz dodał: - Wilfred opowiadał mi o pana niezwykłym gościu. Czy mógłby pan dorzucić kilka szczegółów?

- Miałem nadzieję, że ty to zrobisz, chłopcze.

- Nie rozumiem, sir. - Spojrzał na profesora z zakłopotaniem.

- Usiądź, Paul. Wilfred, podaj nam drinka. - Sommers podsunął stare antyczne krzesło. - Czy nazwisko Omar Dassam mówi ci coś?

- Nie, nigdy nie słyszałem o tym człowieku. Dlaczego pan pyta?

- Widzisz chłopcze, po dłuższej rozmowie z nim doszedłem do wniosku, że mimo pewnych różnic w wyglądzie i pochodzeniu, mówi i zachowuje się niemal identycznie jak ty.

- Do czego pan zmierza na miłość boską? - Arnott był wyraźnie podenerwowany.

- Chodzi mi o jego wiedzę dotyczącą starożytnego Egiptu i czasów poprzedzających jego powstanie. Odnoszę wrażenie, że wie na ten temat tyle co ty. Zresztą sam się o tym przekonasz, bo za chwilę tu będzie. Tymczasem powiedz mi, co myślisz o masce.

- Widziałem ją na fotografii - odparł Arnott. - Wolałbym ją jednak zobaczyć na własne oczy.

Profesor pokiwał znacząco głową i otworzył drzwiczki kredensu stojącego za jego plecami. Wyjął stamtąd dużą, ciężką maskę i położył na biurku.

Reakcja gościa zaskoczyła obu Sommersów. Zerwał się z krzesła, porwał z biurka maskę i zaczął się jej gorączkowo przyglądać.

Niemal w tej samej chwili za drzwiami biura rozległ się odgłos kroków. Potem usłyszeli ciche wołanie:

- Panie profesorze! Jest pan u siebie?

- Jestem... jestem, Omarze. Wejdz. Czekaemy na ciebie.

Arnott, mimo że świadom tego, co działo się wokół niego, nie poruszył się; jakby nagle zamienił się w kamień. Tylko niesamowity żar bił z jego oczu.

- Wilfred, przedstaw panów - zaproponował stary Sommers.

- Pozwól, Paul - głos Wilfreda wydawał się być odległy o tysiące mil - oto Omar Dassam.

Arnott spojrzał na przybysza.

Mimo że był Egipcjaninem, do złudzenia był podobny do niego budową ciała i karnacją skóry. Podał mu rękę i uśmiechnął się mówiąc:

- Witam pana w Londynie... - Nie dokończył. Dassam wykręcił mu boleśnie dłoń i nie przestawał się w nią wpatrywać.

- Oj!... Co pan, do cholery, wyprawia?! - Arnott poczerwieniał ze złości.

- Czy nosi pan obrączkę albo sygnet? - Przybysz wskazał białą obwódkę wokół serdecznego palca Paula.

- Nie. To blizna. Mam ją od dziecka.

Dassam wypuścił z dłoni rękę Arnotta i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej dwa pierścienie. Srebrny wsunął na palec swojej ręki, złoty zaś z wyrytym symbolem „ankh” podał mu mówiąc:

- Proszę przymierzyć.

Oblizła nerwowo wargi, wyczekując na reakcję Arnotta. Ten zaś najpierw zawahał się i rozejrzał się nieprzytomnie dookoła. Po chwili jednak włożył klejnot na palec z białą blizną. Pierścień pasował idealnie.

Arnottowi wydawało się, że w sercu Londynu nastąpiło trzęsienie ziemi, którego skutki odczuwał tylko on i przybysz z Egiptu. Zachwiał się, ale przed upadkiem powstrzymało go silne ramię Dassama. Obaj spojrzeli na siebie, jakby znali się od... tysięcy lat.

- Khai! - powiedział chrapliwym głosem Dassam.

- Manek! - wydusił z siebie Arnott. - Manek Thotak!

CZĘŚĆ TRZECIA

I

Świat Khai

Khai spędził dzieciństwo w Asorbes, mieście-twierdzy faraona Khasathuta. Rozciągało się ono na powierzchni dwóch mil kwadratowych na zachód od brzegów Nilu, który był widoczny z muru obronnego. Pamiętał, że jako dziecko, zapuszczał się z ojcem na polowania aż po samo Wielkie Morze.

Samo Asorbes było ciekawym miejscem, choć można było z łatwością objeść je całe podczas rannego spaceru. Khai z rozrzewnieniem wspomina te spaceru, które męczyły ojca do granic wytrzymałości, bowiem kiedy się urodził, Harsin Ben Ibin był już w podeszłym wieku.

Stary Ibin piastował na dworze faraona zaszczytną funkcję architekta. Jego największym osiągnięciem, dzięki któremu zdobył sobie uznanie samego Khasathuta, było zbudowanie wielkiej piramidy.

Harsin Ben przebywał w piramidzie niemal codziennie, aby dopilnowywać prac w komorze grobowej. Sycił swój wzrok widokiem gładkich, białych ścian, pełnych złotych ozdób. Ubolewał jedynie nad losem wielojęzycznego tłumu niewolników, których krew znaczyła te ogromne bloki skalne, z których wzniesiono budowlę.

Khai podzielał zdanie ojca. Widział na wpół nagie, spocone ciała, uginające się pod razami bata strażników. Wędrując często po piramidzie, zastanawiał się, dlaczego faraon zmuszał tych ludzi do życia w Asorbes, skoro ich domy rodzinne znajdowały się daleko poza Khem.

- Synu - często tłumaczył mu ojciec - faraon zarządził, aby wybudowano piramidę za jego życia, po to, by spoczęły w niej jego doczesne szczątki. Mają tam czekać na ponowne przybycie przodków z nieba. Widząc jednak, że budowa piramidy przeciąga się, kazał zatrudnić niewolników z Therae, Nubii, Daraafu, Siwad i Syry, a nawet przestępców z Khem. Znam twoje myśli Khai. Mimo że rodzą się one

w głowie zaledwie młodzieńca, zgadzam się z nimi. Są one jednak bardzo niebezpieczne. Obiecuj mi synu, że nigdy nie wypowiesz ich głośno w Khem. Musisz stłumić je w sobie, jak robię to ja. Całą swoją energię skupiam na projektowaniu piramidy i nie interesuje mnie, skąd faraon bierze siłę roboczą do jej wykonania.

Piramida stanowiła cel życia Harsin Bena i jego najbliższych. Była zarówno źródłem satysfakcji, jak i bólu. Stary architekt miał świadomość tego, że dla wielotysięcznego tłumu niewolników była przekleństwem. Mieszkali oni w nędznych, zawszonych domostwach na przedmieściach Asorbes. Tam też rodzili swoje dzieci, które w wieku dziewięciu lat zastępowały w pracy ojców.

Jednak poza murami miasta-twierdzy aż do Morza Czerwonego rozciągał się szczęśliwy świat Khai; bajecznie zielony i rojący się od zwierząt.

Najchętniej bawił się nad brzegiem rzeki, która pełna była hipopotamów i krokodyli. Niedaleko rozciągał się las, gdzie wśród wysokich drzew żyły słonie i bawoły. W ciepłym mule rzeczonym pełno było ślimaków i małży, a w krystalicznej wodzie Nilu baraszkowały ryby. Bydło pasło się tu razem z antylopami, gazelami i dzikami.

Dolina Nilu była istnym rajem na ziemi. Współistniały tu różne gatunki zwierząt. Nawet drapieżniki, takie jak lwy czy lamparty, przemierzały lasy obok stad antylop pasących się przy brzegu, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi.

Jedynymi zwierzętami, jakich nie znano w Khem, były konie. Khai widywał czasem te piękne zwierzęta, kiedy sprowadzano je po kilka sztuk z Arabby i ziem wschodnich. Wiedział też, że szczepy zamieszkujące wzgórza Kush oswajały dzikie kuce. Jeździli na nich wierzchem albo zaprzęgali do pracy.

Zastanawiał się, czy trudną sztuką było osiąść takiego konia i jak wyglądała jazda na jego gołym grzbiecie. Tak bardzo zazdrościł nadwornemu koniuszemu, który podczas każdej ceremonii przemierzał dziedziniec na koniu ozdobionym klejnotami, prowadząc za sobą stado słoni.

Pierwszy łuk i kołczan ze strzałami dostał, kiedy miał dziewięć lat, a już dwa lata później przyniósł do domu parę dzikich gęsi, które ustrzelił nad lasem przy brzegu rzeki. W tamtym pamiętnym dniu popadł też w niezłe tarapaty, ponieważ wrócił do domu późno i w

okropnym stanie. Troska rodziców była tym większa, że tego roku krokodyle pożarły kilkoro dzieci i dorosłych. Nawet władze miasta zapowiedziały, że każdy, kto zabije krokodyla, dostanie sztukę złota.

Często zastanawiał się, dlaczego w odległych prowincjach zabroniono polowań na krokodyle i czczono je jako bóstwa. W Asorbes zaś pogardzano nimi i zabijano w takiej ilości, że krokodylich skór na paski i sandały wystarczało na długie lata.

- Twoja skóra chłopcze jest wyjątkowo miękka i biała, więc gdyby nie to, że jesteś oczkiem w głowie swojej matki, kazałbym ci odebrać z niej żywcem - powiedział wzburzony Harsin Ben Ibin. - Zalamywalibyśmy ręce nad losem naszego biednego syna, którego z pewnością pożarły krokodyle, a ty zjawiasz się jakby nigdy nic, po uszy umazany w błocie. Czy ta para zabiedzonych gęsi warta jest naszych zmartwień? Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Słyszysz, Khai Ibinie!

Tego dnia Khai powędrował do łóżka bez kolacji. Pamięta, że dopiero nad ranem przyszła do niego matka z kromką chleba i kubkiem słodkiego wina.

- Mój wspaniały myśliwy - powiedziała, głaszcząc go czule po głowie. - Ojciec mylił się co do gęsi. Są tłuste i na pewno będą smakowite. Upiekę je jutro w ogrodzie, kiedy wrócimy z królewskiej procesji.

Królewska procesja! Khai po raz pierwszy w życiu obejrzy tę wspaniałą ceremonię. Wtedy to właśnie pojawia się sam Khasathut, przyjmując hołd swoich poddanych. Wybiera też kolejne trzy oblubienice, które zabierze do piramidy, gdzie dostąpią łaski sypania z wszechpotężnym człowiekiem-bogiem.

II

Parada króla-boga

Wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca na ulice Asorbes wyległy tłumy mieszkańców, podążając w kierunku piramidy. Wśród nich była rodzina szlchetnego Harsina Ben Izbina; jego żona, najstarszy syn - Adhan, córka Namisha i Khai, który rozglądał się ciekawie na boki. Był zdumiony bogactwem kolorów i wspaniałymi kwiatami, które zdobiły wielką platformę, gdzie wśród złotych emblematów władcy stała część królewskiej gwardii.

Podobnych platform używano do transportu olbrzymich bloków piaskowca i wapienia do wnętrza piramidy. Wykładano nimi komory i prowadzące do nich korytarze.

Trzy ściany piramidy: północna, południowa i zachodnia, były na ukończeniu. Brakowało jedynie warstwy ubitego złota, którym miały być pokryte. W ścianie wschodniej natomiast, a zwłaszcza w jej górnej części, brakowało kilkunastu bloków tworzących wierzchołek. Umieszczenie ich tam nie było wcale zadaniem łatwym z powodu wysokości jak i prawie ćwierć milowej średnicy. Właśnie ta wyrwa w ścianie tworzyła naturalne podium, na którym miał zasiąść sam faraon. Po obu stronach inkrustowanego złotem i szlachetnymi kamieniami tronu stały dwa szeregi gwardii przybocznej. Ich włócznie wymierzone były w bezchmurne niebo nad Asorbes.

Kiedy słońce sięgnęło zenitu, gwardziści zwrócili się twarzami w kierunku tronu i wysunęli do przodu włócznie na znak należnego faraonowi hołdu.

Był to moment, na który Khai czekał z niecierpliwością. Za chwilę bowiem faraon ukaże się swojemu ludowi.

Khasathut, człowiek-bóg, potomek tych wielkich bogów, którzy przybyli do Khem z niebios w złotej piramidzie. Uczynili to w czasach, kiedy kraj zamieszkiwały prymitywne ludy rolnicze. Wieść niesie, że ludzie zrodzeni z ich nasienia byli słabsi i bardzo młodo umierali.

Dopiero po upływie kilku pokoleń, już jako faraonowie, dożywali sędziwego wieku. Przyczyna tego tkwiła w złym wyborze. Pierwsi bogowie bowiem płodzili swoje ziemskie potomstwo z kobietami niskiego stanu, co w widoczny sposób osłabiało ich krew.

Teraz Khai Ibsin na własne oczy ujrzy jednego z potomków tychże bogów. Po nich samych została już tylko legenda przekazywana z ust do ust.

Z miejsca, na którym siedział, widać było podium faraona jak na dłoni. Siedzieli bowiem całą rodziną wśród innych osobistości z Khem na platformie, umieszczonej wysoko ponad głowami niżej urodzonych mieszkańców.

W pierwszej chwili Khai nie zauważył pojawienia się faraona, ponieważ jego uwagę zaprzętnęły tumany kurzu wzniecane przez zniecierpliwione słonie. Dopiero ryk z tysięcy gardel kazał mu zmienić obiekt zainteresowań.

Khasathut wśród wysokich, barczystych gwardzistów wyglądał imponująco. Odziany w żółte szaty stał na krawędzi podium i wyciągniętą ręką pozdrawiał wiwatujące tłumy. Entuzjazm ludu wzmógł się, kiedy płaszcz królewski opadł z jego ramion i ich oczom ukazała się złota zbroja wysadzana klejnotami. Odbijające się od zbroi promienie słońca raziły tysiące oczu.

- Wspaniały! - krzyknął głośno Khai. Czuł, jakby jego ciało wrosło w fotel, na którym siedział. Często widywał dobrze zbudowanych zapaśników z Nubii podczas walk, dzięki którym zarabiali na lepsze traktowanie. Jednak w porównaniu z faraonem przypominali karłów.

Lud Khem miał powody, aby wielbić swojego władcę, ponieważ właśnie jemu i jego dynastii zawdzięczał dobrobyt.

Khem był przecież mocarstwem, przed którego potęgą drżały sąsiadujące narody. Był królem wśród królów i bogiem wśród bogów.

Tymczasem miejsce gwardii przybocznej zajęli nadworni trębacze. Na dźwięk ich długich trąb pojawiła się jeszcze wyższa platforma ciągnięta przez dwieście słoni. Podjechała pod podium i faraon razem z tronem został na nią przeniesiony. Wzbijając tumany kurzu i czyniąc niesłychany tumult, słonie pociągnęły platformę, na której

siedział Khai z rodziną i pozostałymi dygnitarzami.

Słonie były prowadzone przez karłów z wielkimi brzuchami. Zwierzęta na swoich potężnych łbach miały hełmy z brązu, a na kolanach pasy zbroi z tego samego materiału. Sprawiały wrażenie bestii.

Za platformą Khasathuta pojawili się lucznicy królewscy, a tuż za nimi zaczęli formować się pozostali wojownicy - sześćdziesiąt tysięcy z Khem i trzydzieści tysięcy z sąsiednich krajów: Syry, Arabby, Therae, Daraafu i Siwad. Cała operacja zajęła im ponad godzinę. Szli równym, bojowym krokiem. W rękę nieśli tarcze, a u boków połykiwały ciężkie miecze z brązu.

W paradzie brakowało oddziałów z Kush i Nubii, choć z pewnością wśród niewolników faraona byli przedstawiciele tych narodowości. Żaden jednak mieszkaniec Kush nigdy nie zgłosiłby się do armii faraona. Prędzej wolałby stracić życie.

Lud Kush był dziki i nieokiełznany. Zamieszkiwał góryste tereny kraju i nade wszystko kochał wolność, której nigdy nie zamieniłby na życie w gettocie pod batem strażników Khasathuta.

Bóg-król poprzysiął, że Kush pewnego dnia zostanie zmiecione z powierzchni ziemi. Jednak, póki to nie nastąpi, zadowolony był tymi kilkoma niewolnikami, których ma u siebie. Nie miał też zaufania do ich synów, dlatego też zabronił im wstępowania do swoich oddziałów.

Inaczej rzecz się miała z Nubijczykami. Miał ich wielu w swojej przybocznej armii, choć nie pochodzili ze znamienitych rodów. Byli potomkami niewolników. Wybierano ich starannie, gdy byli jeszcze wyrostkami. Zwracano przy tym szczególną uwagę na wzrost i budowę ciała.

Przez całe swoje życie asystowali oni faraonowi w jego wyprawach gotowi spełnić w mgnieniu oka każdą jego zachciankę; jak choćby samobójczy skok z podium piramidy na kamienny bruk.

Za oddziałami piechoty przyszła kolej na włóczników i siedmuset strzelców, którzy maszerowali groźnie, potrząsając kuszami. Za nimi zaś szło dwudziestu pięciu generałów. Każdy z nich niósł sztandar swojego kraju z emblematami regimentu, którym dowodził.

Przechodząc obok podium, jak jeden mąż zwrócili twarze w kierunku faraona. On zaś uniósł lewą rękę, salutując swoim oficerom. Pokaz dobiegał końca. Pozostały jeszcze wybory panien młodych i prezentacja co dostojniej szych gości. Potem mieszkańcy Asorbes bawić się będą do białego rana. W tym czasie faraon ze swoimi wybrankami uda się sekretnymi korytarzami na spoczynek do piramidy.

Ibzinowie również powrócą do domu, aby świętować w jego zaciszu.

III

Postanowienia króla-boga

Kiedy faraon zniknął z podium, lud zaczął rozchodzić się do domów. Dla nich wielka parada zakończyła się. Pozostali jedynie dygnitarze i ich rodziny, których przeniesiono z platformy na podium w wielkich koszach.

Osobno, ale tym razem w specjalnych lektykach, wyniesiono w górę po schodach dziewczęta, których uroda sprawiła, że zostały wybrankami faraona. Spośród dwudziestu dziewcząt Khasathut wybierze trzy, które zostaną jego małżonkami i nałożnicami.

Kiedy kosz Ibinów powędrował do góry, Khai spojrzął z zainteresowaniem na widok miasta. Ciekaw był też, co czuje w tym momencie matka. Jak tylko sięgał pamięcią, zawsze bała się wysokości. To co dla niego było przyjemnością, dla niej jawiło się jako koszmar.

Po chwili muskularne ramiona niewolników zwolniły naprężoną linę i kosz z rodziną Khai wylądował na kamiennym podeście.

Gdy już wszyscy co znamienitsi goście i bogaci kupcy, lordowie, zagraniczni dyplomaci i gubernatorzy prowincji znaleźli się bezpiecznie na podium, nastąpiła ceremonia zaślubin.

Khasathut siedział rozparty na tronie w centralnym miejscu i z aprobatą kiwał głową, kiedy dziewczęta paradowały przed nim. W pewnym momencie uniósł prawą rękę i wskazał te, które najbardziej przypadły mu do gustu. Każda z nich zbliżyła się do władcy i ucałowała mu stopy.

Z bliska faraon nie przypominał już tego wielkoluda, jakim wydawał się być oglądającym go z platformy. Miał na sobie paradny strój, który chronił jego ciało przed wzrokiem śmiertelników. Był przecież półbogiem i nie mógł pozwolić na to, aby zwykły człowiek spoglądał na niego. Mówiono, że ciało Khasathuta było tak piękne, że każdy, kto zobaczy je przypadkowo, straci wzrok.

Kiedy wybranki zniknęły za masywnym wejściem prowadzącym do wnętrza piramidy, faraon kazał zbliżyć się nadwornemu kapłanowi.

Anelup zgięty w pół podszedł do tronu, ukląkł i położył głowę na stopach władcy.

- Powstań, Anelupie - rozkazał Khasathut. - Przyrowadź do mnie moich lordów wraz z rodzinami. Chcę popatrzeć na nich z bliska i pobłogosławić.

Anelup podniósł się i zaczął zbliżać do zgromadzonych gości, Khai poczuł, jak ciarki biegną mu po krzyżu. W całej postaci kapłana było coś przerażającego.

Był wysokim, kościstym starcem: miał długą i chudą szyję, niezwykle bladą twarz i ogoloną do skóry głowę. Przypominał upiornych kapłanów zajmujących się balsamowaniem zwłok.

Khai zastanawiał się, czy Anelup miał kiedykolwiek rzęsy albo brwi. Może po prostu golił je sobie każdego ranka.

Kiedy uśmiechnął się do dygnitarzy, oznajmiając im wolę faraona, Khai zauważył, że kapłan nie ma zębów. Cały niezwykle wygląd Anelupa dopełniał jego strój: czarna sutanna, która okrywała go aż po kostki. Jego ramiona i ręce były nagie, ze złotymi bransoletkami na łokciach.

Khai doszedł do wniosku, że pierwszy raz w życiu widzi tak odpychającego człowieka.

Pierwszy pokłon złożył faraonowi dyplomata z Nubii. Mimo że stosunki z Nubią nie układały się najlepiej, to jednak zapraszano poselstwa na państwowe uroczystości.

Dyplomata był prawie tak wysoki jak Anelup. Miał ciemną karnację skóry i czarne, gęste włosy, które przypominały koronę. Nosił purpurowe szaty, które podkreślały jego arystokratyczne pochodzenie. W dużym, płaskim nosie tkwił imponujących rozmiarów diament.

Podszedł do faraona i uklonił się nisko.

- Powstań, mój lordzie - rozkazał Khasathut dziwnym, nieludzkim głosem. Wydawało się, że ma płuca ze świńskiej skóry, a gardło z miedzi. - Widzę, że jesteś sam. Czyżby żona bała się przekroczyć granicę mojego kraju? Powiedz jej, że faraon nie pozwoli, aby komukolwiek z jego gości spadł włos z głowy.

- Panie mój i władco, synu błogosławionego Re - zaczął czarnoskóry ambasador - uważam długą i niebezpieczną podróż z żoną i dziećmi za wielce nierozsądną. Powiem więcej panie. Nie przystoi mi nawet, jako przedstawicielowi króla i ojczyzny, zabierać rodziny z sobą...

- Jesteś sumiennym człowiekiem - przerwał mu Khasathut. - Może tylko trochę za bardzo ostrożnym. Możesz odejść! Pozdrów ode mnie swojego młodego króla. Może pewnego dnia zechce łaskawie zaszczyścić mnie swoją wizytą.

- Mego króla zajmują sprawy wagi państwowej, wszechwiedzący.

- Wiem o tym - zagrmiał Khasathut. - Czy obowiązki wobec swojego lennika, króla-boga, uważasz za mniej ważne? Jeżeli zechcę, mogę rozkazać, aby natychmiast przybył na mój dwór.

Przez moment nastąpiła długa, złowroga cisza, w czasie trwania której wszyscy wpatrywali się w faraona przerażonymi oczyma, bojąc się nawet mrugnąć.

- Idź już! - wysapał ze złością Khasathut i odwrócił głowę od czarnoskórego arystokraty.

To był zły początek. Pozostali dygnitarze byli tego świadomi. Kręcili się niespokojnie, skubiąc nerwowo połę drogocennych szat. Jednak w miarę trwania audyencji faraonowi poprawił się humor i wszyscy odetchnęli z ulgą.

Tym razem faraon rozmawiał z kapłanem z Anubis w sprawie pochówku jednego ze swoich wysokich urzędników. Następnie wyraził hołdu złożył gubernator Peh-il.

Kiedy Khasathut wezwał przed swoje oblicze Harsin Ben Izbina, był już w doskonałym humorze. Dzieci architekta stanęły posłusznie z boku, czekając cierpliwie, aż ojciec z matką wstaną z klęczek.

- Powstańcie - rozkazał faraon głosem nieznoszącym sprzeciwu, spoglądając z aprobatą jak bracia Khai i Adhan pomagają rodzicom wstać.

- Harsin Ben Izbinię - kontynuował faraon - Re zesłał mi na ziemię wspaniałego architekta. Ciebie zaś obdarzył pięknymi dziećmi. Jeden z twoich synów jest inteligentnym chłopcem. Jest on zapewne twoim pilnym uczniem i w przyszłości również będzie wznosił równie

wspaniałe budowle. Drugi zaś... nie jest chyba albinosem? - zapytał Khasathut.

- Nie panie, Khai nie jest wybrykiem natury - odpowiedział spokojnie stary Ibin.

- Uważam, że jest wyjątkowo pięknym młodzieńcem. Zbliź się chłopcze - rozkazał Khasathut.

- Na co czekasz, Khai? - powiedział ojciec. - Podejdz do faraona, synu.

Khai, drżąc na całym ciele, zbliżył się do Khasathuta i dotknął czołem jego stóp.

- Wstań, młodzieńcze - rozkazał władca, a Khai natychmiast zerwał się z klęczek i przerażony patrzył na wielką, kwadratową twarz. W otworach w połyskującej od klejnotów masce mógł dostrzec wielkie, wpatrzone w niego, chciwe oczy. Wszystko to napawało go odrazą.

- Czym się zajmujesz, mój mały? - zapytał faraon swoim grzmiącym głosem, który to sprawił, że Khai zająknął się ze strachu.

- Ja... chodzę do szkoły, wszechpotężny.

- Wiem o tym - przytaknęła wielka głowa. - Co zamierzasz robić w przyszłości?

- Zostanę łucznikiem w twojej potężnej armii, panie - odparł bez wahania Khai.

- Doskonale. Od dzisiaj jeden dzień w tygodniu poświęcisz na naukę strzelania z łuku - odrzekła złota maska.

- Harsin Benie, podejdz tu ze swoją córką - rozkazał Khasathut.

Kiedy szli w jego stronę, faraon nie spuszczał wzroku z Namishy.

Córka architekta miała na sobie białą suknię, która odsłaniała plecy i ramiona. Kiedy pochyliła głowę, Khasathut dostrzegł małe, jędrne piersi. Włosy miała wysoko upięte i ściągnięte pozłocanym rzemieniem. W tej fryzurze Namisha czuła się jak najpiękniejsza na świecie kobieta, choć bardziej przypominała czternastoletniego podlotka niż siedemnastoletnią pannę.

- Harsin Benie - odezwał się faraon. Tym razem jego głos brzmiał poważnie, niemal uroczyście. - Masz przepiękną córkę. Pragnę, aby za cztery lata została jedną z moich oblubienic.

Namisha nabrała powietrza do płuc i zatoczyła się, jakby za chwilę miała upaść.

- Faraonie, Bogu na ziemi - wyjąkał przerażony Ibsin. - To moja jedyna córka... Chciałem...

- Nie musisz mi dziękować, mój architekcie - przerwał mu Khasathut. - Dopilnuj jedynie, aby wróciła do mnie niesplamiona. Co do chłopca, to niech wprawia się w posługiwaniu łukiem, a za cztery lata zdecyduję o jego losie.

- Po co ci panie chłopiec na dworze?

- Znajdzie się dla niego zajęcie. Właśnie szukam kogoś, kto zastąpiłby kapłana Anelupa. Służył mi wiernie przez wiele lat, jest już jednak starcem i potrzebuje następcy.

- Potomku niebios - zaczął zdławionym głosem Harsin Ben.

Jednak i tym razem faraon przerwał mu niecierpliwie.

- Wiem, wiem, jesteś zakłopotany moją decyzją, ale cóż, tak, jako król-bóg, postanowiłem. Możesz odejść.

IV

Uczeń architekta

Nad rodziną Ibinów zawisły ciężkie chmury. Choć Khai niewiele rozumiał z tego, co miało miejsce podczas audiencji u faraona, intuicyjnie wyczuwał atmosferę panującą w domu. Często mijał rodziców rozmawiających szeptem. Słyszał wtedy imię faraona i domyślał się, że to on jest winowajcą tego niepokoju.

Namisha zamknęła się w sobie i w ciągu zaledwie kilku miesięcy zmizerniała tak bardzo, że przypominała zjawę.

Była to reakcja nie tylko na postanowienia faraona, lecz także na wolę ojca, który zdecydował się ją skrzętnie wykonać w obawie przed szpiegami, którzy natychmiast donieśliby o jego nieposłuszeństwie.

Harsin Ben przydzielił jej jednego ze swoich niewolników, aby towarzyszył jej poza domem.

Namisha musiała zrezygnować z przyjęć, które tak uwielbiała. Musiała wracać do domu tuż po zachodzie słońca.

Kiedy tylko Khai próbował dowiedzieć się, co jest źródłem utrapienia rodziców, za każdym razem odsyłano go z niczym i nawet brat Adhan odmawiał odpowiedzi. Gdy w końcu powiedzieli mu, że niepokoją się o przyszłość jego i Namishy, Khai nie zauważył w tym żadnego powodu do zmartwień.

Rozkazy faraona traktował jako żart. Nie wyobrażał sobie siebie w roli nadwornego kapłana. Co do Namishy, to mógł wprawdzie zrozumieć, że Khasathut nie był dla niej łaskawy, czyniąc ją swoją oblubienicą, ale do tego czasu pozostały jeszcze całe cztery lata i póki co, nie widział powodów do zmartwień.

Przecież będzie miał aż piętnaście lat i sam zdecyduje, czy będzie mieszkał w piramidzie, czy gdziekolwiek indziej.

Kiedys w ogrodzie usłyszał coś, co można było potraktować jako zdradę. Matka bowiem stwierdziła, że faraon, być może, nie przeżyje tych czterech lat. Ojciec zaś dodał:

- To prawda, że jest chory, ale, jak powiadają, choroba nie umiejscowiła się w jego ciele. Gdyby tak było, to już jego medycy postarają się, aby dożył do ukończenia piramidy. Jeżeli oni nie byłiby w stanie mu pomóc, faraon wezwałby swoich czarnych magów, a ci bezbożnicy potrafiliby wskrzesić nawet umarłego.

- Mężu - odezwała się matka głosem pełnym trwogi - słyszałam kłamstwa, że wrogowie faraona szykują zamach.

- Sam bym im pomógł - przerwał żonie stary Ibsin. - To nie są kłamstwa. Znam mężczyznę, który widział w lochach piramidy tańczącą parę nieboszczyków. Mieli w ciałach dziury, z których wypęły robaki. Khasathut trzyma u siebie magów z Therae, którzy wspólnie z kapłanami zajmującymi się balsamowaniem ciał tworzą paskudztwa, o jakich świat nie słyszał. Jest też w piramidzie takie pomieszczenie - zniżył głos niemalże do szeptu - gdzie trzewia, które wydobyto z nieboszczyków, moczą się w tajemniczej cieczy i poruszają jak żywe.

- Nie masz litości nade mną, mężu! Jak możesz opowiadać mi takie rzeczy - odparła, załamując ręce - kiedy wiemy, że wkrótce Namisha i Khai...

- Ucisz się! - przerwał jej Ibsin. Jego uwagę zwrócił podejrzany szelest liści. - Khai?... To ty chłopcze?

Mimo tego, co usłyszał z ust rodziców, Khai w dalszym ciągu nic nie rozumiał z tego, o czym szeptano w domu. Zresztą wkrótce jego uwagę zajął nowy mieszkaniec domu Ibsinów.

Imthod Haphemid, uczeń ojca, starszy od Khai o pięć lat.

Był synem starego przyjaciela Ibsina - Thutmesa Haphemida, który na łożu śmierci prosił go, aby zaopiekował się Imthodem.

Młodzieniec był dziedzicem rodu Thutmesów, znanych kupców. Ich pieniądze wystarczyły na godne życie, a gdyby Imthod chciał poprowadzić dalej interesy, zapewne dorobiłby się niezłej fortunki.

Niestety, młody dziedzic nie miał głowy do interesów. Posiadał jednak doskonałą pamięć i zdolności matematyczne. Potrafił też rysować. Te zaś cechy Bez Ibsin cenili sobie najbardziej i przyrzekli przyjacielowi, że nauczy jego syna sztuki konstruowania budowli i tym samym przygotuje go do życia.

Imthod od pierwszego dnia przykładowie wywiązywał się z obowiązków terminatora. Pięć dni w tygodniu można go było spotkać w pracowni starego architekta, jak w skupieniu studiował szkice i plany piramid i świątyń.

Mimo wyjątkowo odpychającej powierzchowności łączyły go z Khai raczej przyjazne stosunki. Imponował mu przede wszystkim wiekiem. Khai wprost zasypywał Imthoda pytaniami, mimo że większość jego odpowiedzi niczego mu nie wyjaśniała. Na przykład faraona uważał za najpotężniejszego władcę na świecie. Kiedy Khai wspomniał mu o plotkach o czarnych magach i ich poczynaniach w mrocznych podziemiach piramidy, Imthod odparł, że faraon jest półbogiem-półczłowiekiem i w związku z tym ma prawo do zachowań niezrozumiałych dla zwykłych śmiertelników.

Przy innej okazji Khai opowiedział mu o postanowieniach Khasathuta dotyczących jego osoby i Namishy, i o obawach rodziców o ich los we wnętrzu piramidy. Tym razem Imthod uważniej przysłuchiwał się słowom Khai. Gdy poznał już wszystkie interesujące go szczegóły, przekazał małemu Ibinowi, aby trzymał język za zębami, i jak zwykle o tej porze zajął się szkicami.

Jednak kiedy Khai wyszedł z pracowni, Imthod usiadł na krześle i wpatrując się w przestrzeń za oknem, rozmyślał: „Za cztery lata córka i najmłodszy syn architekta wyprowadzą się na zawsze do piramidy”. Zastanawiał się, ile nauczy się od starego Ibinia i czy to wystarczy, aby faraon mianował go nadwornym architektem. „Z tego co mówił mały Ibin wynika, że Harsin Ben jest wrogo usposobiony do faraona i gdyby oskarżono go o zdradę i skazano, Khasathut potrzebowałby kogoś innego do ukończenia dzieła.

I cóż z tego - źrenice oczu Imthoda gwałtownie zwężyły się - że w Asorbes jest wielu doskonałych architektów? Khasathut z pewnością zwróciłby się do najlepszego ucznia Ben Ibinia.

Za cztery lata będę już dorosłym mężczyzną i jeżeli wszystko przebiega prawidłowo, mam szansę dostąpić najwyższych łask. Co mnie obchodzi Ibinowie? Dlaczego miałoby mi zależeć na zarozumiałej dziewczynie czy głupim Khai. Nie darzę też miłością tego starego, zrzedliwego Harsin Bena, który ani razu nie pochwalił żadnej z moich

prac, choć są doskonałe. A gdyby tak szepnąć komu trzeba, że architekt próbuje sfałszować plany budowy świętej piramidy? - Pokiwał głową, a jego wąskie usta wykrzywił chytry uśmieszek. - Pokazałbym temu staremu osłowi na co stać Imthoda Haphemida. Póki co jednak, muszę uzbroić się w cierpliwość i czekać na właściwy moment.”

Czas mijał, a wraz z nim do domu Ibinów zaczynał powracać spokój. Nawet stary Ibin, jakby się mniej przejmował, mimo że bez reszty pochłaniała go praca przy piramidzie, gdzie nie brakowało kłopotów.

Źródłem jego lepszego samopoczucia były postępy Imthoda.

Spędzał teraz w pracowni każdą wolną chwilę. Ibin był zadowolony, że uda mu się wypełnić wolę umierającego przyjaciela.

- Jeżeli tak pójdzie dalej - często powtarzał Imthodowi - czeka cię, młody człowieku, godna pozazdroszczenia przyszłość.

O taką przyszłość zabiegał też dla swoich dzieci i dlatego bolało go czasem stare serce, kiedy Khai opuszczał się w nauce, bo godzinami strzelał z łuku. Namisha zaś niemalże z dnia na dzień marniała w oczach.

V

Nadzieja

Cztery lata dzielące pamiętną paradę królewską i postanowienie faraona minęły bezlitośnie.

Z czasem stary architekt zaczął przychylnym okiem patrzeć na lekcje lucznictwa w barakach, a nawet zachęcał syna do ćwiczeń.

Miał skrytą nadzieję, że faraon pozostawi Khai na wolności i zezwoli mu na zrobienie kariery w armii. Zdobył on przecież najwyższe sportowe trofea i w oczach mistrzów zaliczał się do czołówki strzelców w kraju.

Ben Ibin był też wyjątkowo zadowolony ze starszego syna. Adhan bowiem stał się doskonałym matematykiem.

Ibin uważał wiedzę matematyczną za równie ważną, jak umiejętność pomiarów czy sztukę budowania piramid, i dlatego też mianował go swoim naczelnym doradcą przy wznoszeniu grobu faraona.

Mimo niechęci do Khasathuta był dumny ze swojego dzieła, które wykonał dla niego. Pozostało jeszcze tylko wypełnić ogromną ilością piasku komory w górnej części piramidy i pokryć ją dookoła cienką warstwą złota.

Prace te, jak obliczał, powinny mu zająć nie więcej niż dwa, trzy lata. Większość czasu poświęci na zgromadzenie potrzebnych materiałów. Piasek zresztą został już przywieziony z nabrzeży Wielkiego Morza, a co do złota - faraon zarządził wydobycie potrzebnej ilości kruszcu z kopalni na wschodniej pustyni i w lasach Nubii.

W związku ze sprzeciwem czarnego króla N'jakka, zażądał od niego płacenia rocznego lenna w czystym złocie.

To cztery lata odcisnęły ogromne piętno na osobie Harsin Bena Ibin. Postarzał się znacznie. Jego czarna niegdyś czupryna i krzaczaste brwi przypominały teraz pióra białego gołębia. Również wzrok i pamięć odmawiały mu posłuszeństwa, co jeszcze bardziej uzależniało

go od Imthoda Haphemida. Ten zaś dwoił się i troił, aby nie zawieść swojego pryncypała.

Jego gorączkowe wysiłki nie poszły na marne. Wśród wszystkich najznakomitszych architektów w Asorbes, tylko jemu jednemu stary Ibzin ze spokojnym sumieniem przekazałby pałeczkę.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżał się dzień, w którym miała się odbyć kolejna parada królewska. Z tego też powodu Harsin i Merayet z ciężkim sercem wyglądali posłańca z nakazem, by przybyli z Namishą na widzenie, podczas którego faraon wybierać będzie swoje nałożnice.

Ponieważ posłaniec spóźniał się, pocieszali się, że być może Khasathut zapomniał o swoich rozkazach. Prawdę mówiąc, starali się ze wszystkich sił, aby tak się stało. Mimo iż nie opuścili ani jednej królewskiej ceremonii, ich dzieci pod różnymi pretekstami były nieobecne. Ani razu jednak stary architekt nie został skarcony za to przez faraona czy też jego pomocników.

W dziesiątym dniu poprzedzającym szesnastą królewską procesję Harsin Ben zdecydował się zasięgnąć opinii najstarszego syna.

Adhan wyrósł na wspaniałego mężczyznę, głowę też miał nie od parady. Jednak w tym dniu był wyjątkowo małomówny i jedyną radę, jaką dał ojcu, było to, by udał się do Imthoda Haphemida. Adhan utrzymywał, że widywano go w pobliskiej tawernie w towarzystwie szpiegów faraona. Ich zadaniem było wyszukiwanie młodych dziewcząt do królewskiej ceremonii zaślubin i oni z pewnością wiedzą, czy Namisha znajdzie się wśród tych dwudziestu panien.

Za radą Adhana, Harsin Ben wezwał Imthoda do swojej pracowni dwa dni później i zapytał go wprost o jego powiązania z zausznikami faraona.

- To prawda, mój mistrzu, że znam ludzi o dość wyjątkowej profesji - odrzekł Imthod, błędąc odrobinę. - Jednak wykonują oni swoją pracę na rozkaz samego faraona i, jak wiesz, panie, nie mogą mu się przeciwstawiać.

- Zamilcz! - Uciszył go Harsin Ben, unosząc dłoń. - Nie interesują mnie twoje przyjaźnie, młody człowieku. To sprawa wyłącznie twojego

sumienia. Moje zmartwienie zaś dotyczy królewskiej ceremonii zaślubin. Wiesz zapewne, że cztery lata temu Khasathut nakazał stawić się mojej córce na paradzie, która ma się odbyć za tydzień. I tak sobie pomyślałam, że skoro masz przyjaciół wśród ludzi faraona, to może mógłbyś...

- Wiem, co masz na myśli, panie - odpowiedział Imthod, wybawiając tym samym starca z zakłopotania. - Zastanawiam się tylko, jak zgadłeś panie, że związałem się z tamtymi ludźmi, aby ci pomóc.

- Pomóc mi? - Architekt wzruszył bezradnie ramionami. - Nie sądziłem...

- Widzisz, mój mistrzu - kontynuował Imthod - miałem nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiesz. Chciałem rozwiązać twoje problemy w taki sposób, abyś nigdy się nie dowiedział.

- Nic z tego nie rozumiem - odrzekł starzec, ciężko wzdychając. - Czy mógłbyś mi to wyjaśnić w sposób mniej zawyły?

- Wiem, ile zmartwień przysparza tobie i twojej rodzinie świadomość, że Khai i Namisha zostaną na zawsze w piramidzie. Mając to na względzie, zaznajomiłem się z tymi ludźmi. W końcu dopiąłem swego. - Zniżył poufnie głos. - Mam dla ciebie dobre wieści.

- Dobre wieści?! Mów, co wiesz! - rozkazał Harsin Ben.

- Cierpliwości, Harsin Benie - odparł Imthod, zwracając się do swojego pryncypała po raz pierwszy po imieniu. - Kiedy dowiedziałem się, że konfidenci Khasathuta doradzają mi, aby wybrał Namiszę, wyśmiałem ich.

- Wyśmiałeś ich?! - Harsin Ben powtórzył zaskoczony.

- Wytknąłem im, że nie są warci złamanego szeląga, skoro chcą uczynić królewską faworytę z tak leniwej i nudnej dziewczki.

- Co takiego?! - Architekt nie wierzył własnym uszom. - Jak śmiałeś?

- Czyżbyś, mistrzu, nie pojmował sensu moich zabiegów?

- Nie.

- Tymi słowami sprawiłem panie, że Namisha przestała być kandydatką do ceremonii zaślubin. Teraz rozumiesz?

- Tak, Imthodzie - Zdziwienie starca zaczęło powoli przeradzać się w radość. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Nie wiesz jeszcze najważniejszego, panie - kontynuował Imthod.
- Wiem, co faraon postanowił zrobić z Khai.
- Co? Mów! - Starzec wstrzymał oddech, starając się nie uronić ani słowa.
- Twój syn, panie, nie zamieszka w piramidzie, lecz zostanie lucznikiem w królewskiej armii.
- Harsin Ben potrząsnął głową z niedowierzaniem.
- I to wszystko jest twoją zasługą, mój uczniu? Ty uczyniłeś te cuda?
- Tylko częściowo, panie. Resztę Khai zawdzięcza swoim zdolnościom i predyspozycjom do posługiwania się łukiem i strzałami. Musiałem tylko szepnąć o tym komu trzeba i poszło jak z płatka.
- Dlaczego, synu, przez tyle czasu nie pisałeś ani słówka. Czyżbyś uważał mnie za człowieka niegodnego zaufania?
- Skądże znowu, mój mistrzu. - Imthod pokornie spuścił oczy. - Nie chciałem jedynie nadaremnie rozbudzać twoich nadziei, panie. Do ostatniej chwili los twoich dzieci był wielką niewiadomą.
- Kiedy więc dowiedziałeś się o wszystkim?
- Dopiero... - Imthod wydawał się gorączkowo szukać odpowiedzi - ...zeszłej nocy, ale nie wspomniałem o tym, bo nie chciałem, abyś wiedział, że miałem z tym cokolwiek wspólnego.
- Uratowałeś mnie i moją rodzinę. I tylko pomyśleć, że twój ojciec mnie błagał, abym zgodził się przyjąć ciebie pod mój dach, a ja ci teraz tak wiele zawdzięczam - Mówiąc to, starzec objął go serdecznie.
- Niczego mi nie zawdzięczasz, panie - odparł Haphemid, uwalniając się z rąk architekta. - Dzięki tobie jestem najlepszym architektem w Asorbes. Mówię ci to, bo obawiam się o swój los. Kto wie, może wkrótce zamieszkać w piramidzie.
- Zamieszkaż w piramidzie?!
- Zeszłego wieczoru faraon rozkazał, bym pojawił się na ceremonii, żeby móc mnie pobłogosławić - odparł Imthod.
- Żłudne to błogosławieństwo, synu. Na pewno nic dobrego z tego nie wyniknie.

Kiedy Haphemid opuścił pracownię, Harsin Ben przywołał Adhana, który przez cały czas przebywał w sąsiednim pokoju i przysłuchiwał się rozmowie.

- I cóż myślisz o tym, synu? - zapytał Harsin Ben, wpatrując się w niego wyczekująco.

- Sam nie wiem, ojcze. - Adhan wzruszył ramionami. - Wygląda na to, że nasze kłopoty szczęśliwie się zakończyły. Jednak...

- Nie masz zaufania do Imthoda? - przerwał mu ojciec. - Sądzisz, że coś knuje?

- Nie, ojcze. Po prostu dowiedzieliśmy się o tym tak nagle. Jeszcze nie zdążyłem ochłonąć.

Po tych słowach Adhan wyszedł z pracowni ojca. W głębi serca był szczęśliwy, że nie powiedział mu całej gorzkiej prawdy.

Od pewnego czasu bowiem interesował się poczynaniami Imthoda i to, o czym mu donoszono, nie było powodem do chluby. Mówiono, że nie tylko zbratał się ze szpiegami Khasathuta, ale że stał się jednym z nich.

Do tej grupy szpiegów faraona należeli ludzie, którzy nie zawahaliby się sprzedać własnej matki, aby przypodobać się władcy. Za skreślenie z listy branek, żądali od rodziców panny prócz pieniędzy również jej samej w roli nałożnicy na kilka nocy. Czasami kilku naraz bestialsko pozbawiało ją cnoty. Adhan miał dowody na to, że Imthod uczestniczył w podobnych pseudo-randkach, ale nie to niepokoiło go najbardziej.

Otóż martwił się Namisha; tym, że ostatnimi czasy wymykała się z domu w środku nocy i wędrowała po pustych ulicach Asorbes. Podejrzewał, że robiła to w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

W dniu poprzedzającym królewską procesję do domu Ibinów przybył posłaniec faraona. W paru słowach obwieścił architektowi, że Khasathut życzy sobie, aby Harsin Ben Ibin stawił się przed jego obliczem z całą rodziną, bez wyjątków.

VI

Gniew faraona

Zgodnie z rozkazem rodzina Ibinów stawiała się na procesji w komplecie.

Parada wojskowa, a po niej widzenie, niczym nie różniły się od poprzednich; może poza sposobem, w jaki transportowano dygnitarzy do sali tronowej.

Tym razem lektyki ciągnięto po czymś w rodzaju szyn. Tak było bezpieczniej. Kazał je zainstalować sam faraon po wypadku, jaki miał miejsce kilka miesięcy wcześniej. Przez nieuwagę niewolnika o mało nie zginął jeden z ambasadorów. Tylko szybka reakcja pozostałych niewolników zapobiegła roztrzaskaniu się lektyki na podejście piramidy.

Faraon wpadł w złość i rozkazał, aby natychmiast stracono niefortunnego siłacza, a jego ciało rzucono psom na pożarcie. Inaczej obszedł się z jego pobratymcami; tymi, którzy uratowali czcigodnego gościa. Pogratulował im odwagi, uwolnił i nakazał wracać do domu, do Peh-il.

Mając w pamięci widok spadającej w dół lektyki, przerażona Merayet miotała się gwałtownie na boki, kiedy lektyka zbliżała się do krawędzi ogromnego podium.

Strach mieszał się z lękiem o los dzieci i całej rodziny.

Mimo dobrych wieści, jakie przyniósł jej mąż po rozmowie z Imthodem Haphemidem, wiedziała, zresztą nie tylko ona, że Khasathut nie tak łatwo zmienia swoje decyzje. Niepokojące było jego wezwanie do stawienia się całej rodziny na dzisiejszej uroczystości. To tylko potwierdzało jej najgorsze obawy.

Zajęli miejsca wśród pozostałych dygnitarzy i oczekiwali na pojawienie się władcy.

Architekt zauważył, że tego dnia zebrało się liczniejsze niż zwykle grono gości. Faraon zaprosił na audiencję nawet mniej znaczących gubernatorów z małych miasteczek leżących wzdłuż górnego i dolnego Nilu. Niektórym nakazano przybyć w ciągu zaledwie kilku godzin.

Z rozmowy z kilkoma przyjaciółmi Harsin Ben wynioskował, że faraon ma coś bardzo ważnego do zakomunikowania. Prawdopodobnie chce uzyskać ich zgodę na dodatkowy pobór do armii.

Khasathut postanowił zrobić porządek z wrogimi oddziałami z Kush, które od kilku miesięcy regularnie najeżdżały zachodnią granicę.

Świadczyła o tym mniejsza niż zwykle ilość oddziałów biorących udział w dzisiejszej paradzie, gdyż część regimentów faraon wysłał już na zachód i południe.

Podjejrane było jedynie to, że Khasathut zabiegał o przychylność aż tak wielu swoich gubernatorów, skoro dotąd wszelkie sporne kwestie załatwiał przy pomocy rozkazów i dekretów przekazywanych przez posłańców. Wielu z nich po raz pierwszy uczestniczyło w królewskiej procesji.

To ostatnie spostrzeżenie napełniło serce starego Ibzina najgorszymi przecuciami. Jednak, by dowiedzieć się prawdy, nie musiał długo czekać.

Gdy ostatni z dygnitarzy znalazł się bezpiecznie na posadzce podium, na środek wyszło ośmiu czarnoskórych mocarzy, którzy na barkach dźwigali masywną postać Khasathuta, rozpartego na swoim inkrustowanym złotem i klejnotami tronie.

Niewolnicy postawili swój ciężar na posadzce i z ulgą wycofali się pod ścianę.

W sali tronowej nastąpiła cisza spowodowana pojawieniem się władcy, a Khasathut dał ręką znać, aby na salę weszły dziewczęta.

Khair czuł, jak Namisha drży na całym ciele, a w momencie gdy faraon z namaszczeniem wybierał te trzy najurodziwsze, skurczyła się, jakby pragnęła zapaść się pod ziemię.

Zacierając ręce, Khasathut zakończył swój święty obrządek wyboru królewskich nałożnic, a gdy zostały one odprowadzone do wewnątrz piramidy, faraon wezwał naczelnego kapłana Anelupa.

Ku zaskoczeniu zebranych, faraon nie zezwolił Anelupowi na płaszczenie się u stóp. Kazał mu natomiast zbliżyć się do tronu i przez dobrą chwilę rozmawiali szeptem.

Takie zachowanie władcy z pewnością nie wróżyło nic dobrego. Wiedzieli o tym nawet ci, którzy dotąd nie dostąpili zaszczytu oglądania z bliska boskiego faraona.

W pewnym momencie stary, bezzębny kapłan pokiwał głową i szybkim krokiem udał się w kierunku dygnitarzy. Po chwili zatrzymał się przed pierwszą ławą, na której siedzieli ambasadorzy i co znakomitsi mieszkańcy Asorbes. Wyraźnie szukał kogoś oczami.

Harsin Ben czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Jak z oddali kilku mil usłyszał głos kapłana, aby wraz z rodziną stanął się przed oblicze faraona.

Zbliżali się do tronu, jak na zwolnionym filmie.

- Harsin Ben Ibinie - rozpoczął Khasathut - wielki architekcie mojej piramidy, czy wiesz, dlaczego ciebie pierwszego wezwałem przed swoje oblicze?

Architekt w odpowiedzi tylko potrząsnął głową, nie mogąc wydobyc głosu ze ściśniętego gardła.

- A może wiesz i dlatego straciłeś głos? - kontynuował faraon. - Pozwól więc, że ci coś oznajmię: otóż mam zamiar przykładowo cię ukarać.

- Ukarać, miłościwy panie?!

- W ten sposób - mówił dalej Khasathut - odstraszę pozostałych, którzy wykorzystując swoje stanowisko, pragną tak jak ty sprzeciwić się mojej woli. Jesteś zdrajcą, Harsin Ben Ibinie. Ja - faraon - oskarżam cię o zdradę.

Na te słowa jego czarna gwardia przyboczna otoczyła rodzinę Ibinów.

- Oskarżasz mnie o zdradę, panie? - wyjąkał Harsin Ben. Pozostali członkowie rodziny zaś skupili się wokół niego w panicznym strachu. - Ależ ja...

- Cała twoja rodzina to banda zdrajców! - krzyknął Khasathut. - No może z wyjątkiem młodszego chłopca. On jeden wykonał posłuszenie moje zarządzenia.

To powiedziawszy zwrócił się do Anelupa:

- Przynies rysunki tego tu architekta.

Przez moment Harsin Ben patrzył uważnie na swoje szkice, które Anelup rozkładał na stole obok. Próbował trzęsącymi się rękoma unieść jeden z papirusowych zwojów, ale stanowczy głos faraona powstrzymał go.

- Posłuchaj mnie, Harsin Benie - powiedział z naciskiem. - W twoich szkicach są błędy, które popełniłeś celowo. To one stanowią dowód na poparcie mojego oskarżenia.

- Błędy?... - powtórzył architekt. - O wszechpotężny...

- Gdyby budownicзовie kontynuowali wznoszenie mojej piramidy zgodnie z tymi planami, to nie spełniłaby ona swojego zadania. Piasek bowiem nie zamknąłby dojścia do komory grobowej i w ten sposób moje szczątki nie doczekałyby drugiego przybycia moich przodków z nieba.

- Panie, wszechwiedzący... - oponował Harsin Ben, niestety, bezskutecznie, bo faraon przerwał mu po raz drugi.

- Jeżeli ta powłoka - wskazał ręką na swoje ciało - która jest siedliskiem mojej nieśmiertelnej duszy, rozsypałaby się w proch, wątpię, czy bogom udałoby się mnie wskrzesić. Wiedziałeś o tym, mój architekcie, i pewnie dlatego knułeś przeciwko mnie!

- Mylisz się, mój panie. Ktoś naopowiadał ci kłamstw. - Starzec odepchnął jednego z gwardzistów i chwiejnym krokiem zaczął zbliżać się do tronu.

Drogę zastąpił mu jednak Anelup, zmuszając go, aby ukląkł.

- Święty magu - błagalnym tonem poprosił Harsin Ben - powiedz wszechpotężnemu faraonowi, że jest w błędzie. Plany piramidy sprawdził mój syn, Adhan, a on zna się na obliczeniach jak mało kto.

- Dość! - zagrmiał Khasathut. - Sam siebie oskarżasz, próbując wyprzec się wszystkiego, mimo że dowody świadczą przeciwko tobie! Mówisz, że twój syn sprawdzał te szkice! Dobrze! Podejdź Adhanie i przyjrzyj się tym papirusom.

Adhan, blady jak ściana, podszedł do stolika i w skupieniu zaczął studiować rysunki ojca.

Na początku jego oczy wyrażały zakłopotanie, a nawet strach, który po chwili przerodził się w gniew. Jego twarz znów odzyskała swoją zwykłą barwę, kiedy spojrzał na faraona mówiąc:

- To prawda, widzę tu błędy, mój panie. Ale nie popełnił ich mój ojciec, lecz ktoś, kto dorównuje mu wiedzą. Uważam, wszechpotężny, że plany świętej piramidy zostały sfalszowane.

- Sfałszowane?! Czyżbyście ty i twój ojciec nie zauważyli tego? Nikt inny nie miał dostępu do planów.

- Panie, wierz mi - Adhan niemal krzyknął - wcześniej czy później wykrylibyśmy błędy i wskazali winnego.

- Zamilcz! - rozkazał faraon. - Obydwaj kłamiecie. Syn wart ojca. Porozmawiajmy teraz o córce. - Jego ciężka od klejnotów dłoń powędrowała w kierunku Namishy, która płakała w ramionach matki. - Zbliź się, dziewczyno - rozkazał.

Namisha zrobiła parę kroków w stronę tronu i osunęła się zemdlna na ziemię.

- Widzicie! - krzyknął w stronę dygnitarzy faraon. - Następne niewiniątko! Zemdlą, bo widocznie ma coś na sumieniu. A ja nawet wiem co. - Khasathut zawiesił znacząco głowę.

- Otóż została pohańbiona przez własnego brata, Adhana.

Słyszając to Adhan zachwiał się i omal nie przewrócił stolika pod stopy władcy. Chwycił powietrze ustami jak ryba wyrzucona nagle na brzeg.

- Panie - wykrztusił z siebie Adhan - to są ohydne kłamstwa.

- Faraona nazywasz kłamcą?! - zagrział Khasathut.

Wśród gwardzistów nastąpiło poruszenie. Przekrzykując się nawzajem, wyrażali swoje oburzenie.

- Nie ty jesteś kłamcą, panie - odezwał się w obronie syna Harsin Ben - lecz twoi informatorzy. Kto śmiało rzucić na mnie podobne oskarżenie? - odwrócił się w stronę dygnitarzy. - Który z was próbuje skompromitować mnie i moją rodzinę w oczach władcy! A czy ty, panie - spojrzął na faraona - wierzysz, że mój syn uwiódł własną siostrę?

- Wierzę! - usłyszał w odpowiedzi. - Mam świadka, który utrzymuje, że twój syn współżył z twoją córką. Czyżby nie wiedział, że tylko bogowie mogą zapładniać własne rodzeństwo, aby nie splamić więzów krwi? Zwykły śmiertelnik nie ma prawa tego czynić, zwłaszcza z dziewczyną, którą pragnie poślubić faraon. Mogę ci też wskazać mężczyzn, których celowo nasłałem na twoją córkę, aby sprawdzić, jak bardzo jest mi wierna. I wiesz, starcze, co uczyniła? Oddała im się bez wahania.

- Córko! - Matka próbowała ocucić Namiszę, bijąc ją po twarzy, - powiedz faraonowi, że to nieprawda, że jesteś czysta i nieskalana!

- Jesteście zepsuci do szpiku kości, cała twoja rodzina i ty, stary nikczemniku. Dlatego też zostaniecie przykładowie ukarani. - Mówiąc to, wskazał ręką, dając znak gwardzistom, aby ich pojмали.

VII

Egzekucja

Na rozkaz Khasathuta gwardziści rozdzielili się. Część muskularnych murzynów przytrzymała Harsin Bena, Adhana i Khai. Pozostali brutalnie rozdzielili matkę i córkę i zaczęli rozbierać je, rozrzucając dookoła kawałki cienkiej i delikatnej tkaniny.

Gdy kobiety były już nagie, uniesiono je do góry i przytrzymując za ręce i szeroko rozłożone nogi, gwardziści, jeden po drugim, gwałcili niewiasty. Wykonywali wyrok chłodno, bez cienia pożądania.

Namisha była nieprzytomna i tym samym obojętna na zadawane jej tortury. Matka jednak w pełni świadoma, wyla się i krzyczała z bólu i rozpacz. Gdy piętnasty czy szesnasty spośród czarnych gwardzistów faraona zakończył to nikczemne dzieło, wydała z siebie przeżajający krzyk i również straciła przytomność.

Wtedy gwardziści, przytrzymując ją za łokcie i kolana ułożyli jej ciało w pozycji siedzącej. Na posadzkę pod nią, wąską strużką ściekało męskie nasienie. Odczekali chwilę, aby władca mógł nasycić się tym widokiem i ruszyli w kierunku sterczących w górę, ostro zakończonych prętów z brązu, zdobiących po obu stronach wejście na podium. Nie spiesząc się, umieścili jej ciało na jednym z prętów i szarpali za nogi, póki ostry, zakrwawiony koniec ukazał się na wysokości szyi, przebijając ciało kobiety na wylot.

To samo uczynili z Namishą, która jednak w ostatniej chwili odzyskała świadomość, ale tylko po to, aby wydać z siebie spazmatyczny krzyk. A kiedy twardy metalowy pręt przebił jej ciało i wyszedł poniżej lewej piersi, rzuciła się nagle do przodu, jakby chciała dopaść znienawidzonego wroga i zastygła w bezruchu.

Podczas całego zajścia trzej Ibinowie płakali i krzyczeli, zachowując się jak szaleńcy. W pewnym momencie Adhan resztkami sił,

kopnął w krocze gwardzistę, który przytrzymał go za rękę. Kiedy poczuł, że ten wypuścił jego ramię z uścisku, wyrwał mu włócznię i podbiegł do przerażonych dygnitarzy krzycząc:

- Gdzie jesteś, Imthodzie Haphemidzie?! Wiem, że to ty zniszczyłeś moją rodzinę, aby zadośćuczynić swoim chorobliwym ambicjom! Gdzie jesteś nikczemniku?!

Aby uniknąć śmierci z rąk szaleńca, tłum dostojnych gości rozstał się, ukazując skuloną postać Haphemida. Adhan wycelował w niego koniec włóczni.

- To ty pohańbiłeś moją siostrę i sfalszowałeś rysunki ojca, sprowadzając gniew faraona na nasze głowy. Giń więc, łajdaku!

Zanim jednak Adhan zdołał wbić włócznię w gardło Haphemida, jakaś potężna pięść zwała go na kolana. Po chwili ktoś przyłożył mu miecz to szyi, a kilka sekund później cała horda Nubijczyków rzuciła się na niego z krzykiem.

- Nie zabijajcie go! - rozkazał faraon. - Dopilnujcie jedynie, aby już nigdy nie mógł splodzić potomstwa, ponieważ przeklinam ród Ibzinów i tym samym skazuję go na zagładę.

Zanim Adhan ochłonął, zerwano z niego dolną część odzieży i odsłonięto genitalia. Potem jeden z czarnoskórych pachołków zbliżył się z połyskującym złowrogo, zakrzywionym sztyletem...

- Zanieście go na dół, bo stąd może skoczyć i zginąć - rozkazał Khasathut, kiedy gwardziści zostawili broczącego krwią Adhana przy krawędzi podium. - A ja chcę, aby był żywą pamiątką dla tych, którzy w przyszłości zapragną przeciwstawić się mojej woli!

Wypowiedziawszy te słowa, faraon przeniósł wzrok na Harsin Bena, który ślaniając się na nogach, próbował w akcie rozpaczyny dopaść tronu. Mając świadomość, że są to ostatnie chwile jego życia, starzec dawał upust swojej wściekłości.

Khasathut spokojnie przysłuchiwał się przekleństwom i złorzeczeniom, które architekt ciskał w jego stronę, aby po chwili dać rozkaz gwardzistom, by zrzucili starca z wysokości kilku pięter na kamienny podest u podnóża piramidy.

Nastąpiła przerażająca cisza, którą przerwał płacz Khai, który siedział skulony między nogami dwóch gwardzistów. Był mokry od potu

i wyczerpany wysiłkiem, z jakim próbował uwolnić się z rąk pilnujących go mężczyzn.

- Anelupie - faraon zwrócił się do kapłana - zabierz chłopca do piramidy i jak najszybciej przekaż mu część swoich obowiązków. Masz na to trzy miesiące.

Kapłan w odpowiedzi nisko się uklonił, a potem skinął na jednego z gwardzistów, który popchnął chłopca w kierunku wejścia prowadzącego w głąb piramidy.

Khai posłusznie ruszył naprzód, pozostawiając za sobą przerażający widok matki i siostry. Ich zalane krwią ciała dyndające jak chimery na wietrze, nie przypominały już osób, wśród których szczęśliwie żył i które tak kochał.

VIII

Życie we wnętrzu piramidy

W przeciwieństwie do innych grobowców i pomników piramida Khasathuta nie przypominała jednolitej kamiennej bryły.

Wewnątrz była poprzecinana korytarzami i szybami, które prowadziły do przeróżnych komór. Miała też swoją klimatyzację (otwory wlotowe i wylotowe znajdowały się w zewnętrznych ścianach) oraz system wodociągów, który dostarczał wody.

Wzdłuż ściany - od szczytu aż do piwnic - biegły wąskie tuneliki. To właśnie przez nie tony piasku będą przetransportowane do komory grobowej ze szczątkami faraona i do kwatery jego czarnoskórych gwardzistów, których pogrzebie za życia: zgodnie z jego wolą, mają mu towarzyszyć w drodze do wieczności.

Khai doskonale orientował się w całym tym labiryncie korytarzy, ponieważ od czasu do czasu chodził tu z ojcem, który osobiście nadzorował przebieg prac. Khai interesował się również rysunkami, w ten sposób poznał ogólne zasady konstruowania piramid. Nawet teraz, mimo wstrząsu, jaki przeżył, rozpoznał drogę, którą prowadził go Anelup.

Ciemności rozświetlały pochodnie, a ich światło padało na gładkie bloki skalne. Za każdym razem, kiedy cień kapłana spotykał się z jego cieniem, wstrząsały nim dreszcze.

Po kolejnym skalnym zejściu Anelup przemówił do niego grobowym głosem:

- Będziesz musiał, chłopcze, szybko się uczyć, w przeciwnym razie źle skończysz. Ponieważ twój ojciec budował ten grobowiec, mam nadzieję, że łatwiej sobie to wszystko przyswoisz. Poznasz panujące tu zasady, tajemne przejścia i nauczysz się, jak być posłusznym mnie, a nade wszystko faraonowi. Wiedz, że jego życie dobiega końca, ale myliłby się ten, kto sądziłby, że wraz z sędziwym wiekiem jego boskie ciało opuściły żądze. Wprost przeciwnie, są one teraz większe niż za młodu. W części twoje obowiązki będą polegały na zaspokajaniu ich.

Kapłan nie przestawał mówić, a jego monotony głos stawał się dla skołatanych myśli Khai Ibzina czymś w rodzaju światełka w tunelu. Chłopiec całym wysiłkiem woli starał się skupić na słowach Anelupa, aby nie pogрузić się w obłędzie, który powoli zaczął go ogarniać.

Po jakimś czasie zeszedli do poziomu, na którym roило się od kapłanów i niewolników, którzy w ciszy przemierzali tunele lub zajęci pracą siedzieli na kamiennych ławach.

Uwagę Khai przyciągnęły złote posągi bóstw o ludzkich i zwierzęcych kształtach. Dookoła stały ogromne, wypełnione płonącym tłuszczem wazy, które imitowały piekielne otchłanie. Mimo okopconych otworów wylotowych klimatyzacja piramidy nie spełniała tu swojego zadania. Ale nie tylko dym dawał się we znaki. Z ciemnych czeluści dochodził smród, od którego Khai tracił oddech. Pomieszczenia te przypominały ogromne laboratorium wypełnione butlami i próbkami o dziwacznych kształtach.

- Zatrzymaj się, chłopcze. - Nakazał Anelup. - W głębi tej komory pracują magowie faraona, nie wolno im przeszkadzać. To siedmiu najpotężniejszych nekromantów, jakich zna ziemia. Od dziesiątków lat próbują stworzyć nieśmiertelną powłokę, w której faraon umieściłby swoją duszę. Jeżeli go zawiodą, wówczas nasz władca będzie musiał czekać na swoich przodków z niebios, aby go wskrzesili. Jeżeli odniosą sukces, wtedy wszechpotężny Khasathut będzie żył wiecznie. Widzisz więc, chłopcze, że to nie starość pozbawia faraona życia, choć pokryła jego ciało zmarszczkami. Trucizną jest jego własna krew - krew przodków. To oni zawinili. Kiedy przybyli z niebios, zapragnęli pomieszać swoją niebiańską krew z krwią ludzką, to ich zabiło. Khasathut jest ostatnim z bogów i kiedy umrze, skończy się cała boska dynastia. Jego nasienie jest liczne, ale nie zapładnia żadnej z niewiast. To drugi powód, dla którego faraonowi zależy na nieśmiertelności. Nie chce pogodzić się z tym, by zwykły śmiertelnik zasiadł po nim na tronie Khemu. Słudzy ciemności, mój chłopcze, w pewnym sensie spełnili już oczekiwania faraona. Chodź, coś ci pokażę.

Zbliżyli się do wejścia zagrodzonego grubymi kratami z brązu. Z przepastnych kieszeni w habicie Anelup wyjął klucz i otworzył kratę. W tym momencie towarzyszący im gwardziści, jak na komendę,

wycofali się, a w ich oczach czaił się zwierzęcy strach; coś poruszyło się w głębi celi. To stąd wydobywał się ten nieopisany fetor. Aby się nie udusić, Khai zatkał nos palcami i zaczął oddychać ustami. Pomieszczenie oświetlały małe pochodnie poutykane w ścianach. Wszędzie było pełno gruzu i czuć było wilgoć.

Gdy oczy przyzwyczały się nieco do ciemności, ku swojemu przerażeniu, zobaczył setki ciał ludzkich stłoczonych razem. Anelup zbliżył pochodnię do trupów zwisających z niszy w ścianie.

- Są w kompletnym rozkładzie, chłopcze. Ale nie są jeszcze nieboszczykami, oj nie.

To mówiąc, wyjął z kieszeni mały złoty gwizdek i dmuchnął. Przestrzeń wypełnił dźwięk pełen grozy, który sprawił, że nieruchome zwłoki zaczęły nagle się poruszać.

- Idziemy. - Usłyszał szept Anelupa. - Musimy jak najszybciej opuścić tę celę. To są byli niewolnicy, których ciała wykorzystali magowie faraona do swoich świętych celów. Przeciwstawili się nawet samemu Anubisowi. Są dla nas wyjątkowo niebezpieczne.

Kiedy na powrót znaleźli się na korytarzu, kapłan pośpiesznie zatrzasnął kratę. Po chwili ich oczom ukazały się wychudzone postacie, z których płatami zwisała skóra i kawałki zgnilego płótna. Jedne zataczały się, inne biegły truchtem, przytrzymując się od czasu do czasu ściany.

Khai z odrazą odsunął się od kraty. Widział nagie czaszki, próbujące przecisnąć się między grubymi prętami i kości rąk ociekające ropą, gdzieniegdzie tylko okryte kawałeczkami rozkładającego się ciała.

- Mógłbym kazać im tańczyć, ale boję się, chłopcze, że byłoby to ponad twoje siły. Faraon bawi się, widząc, jak ta zgnilizna płąsa. Jednak on przecież jest bogiem, a bogowie, mój synu, mają czasami rozrywki, od których nam śmiertelnikom włos jeży się na głowie.

Nagle jego słowa przerwał potężny gong dochodzący gdzieś z głębi piramidy.

- Zbliża się wieczór - oznajmił Anelup, spoglądając w górę.

- Czekaj mnie jeszcze sporo pracy, musimy się pośpieszyć. - Pownownie dmuchnął w gwizdek i ciała za kratą zastygły w bezruchu.

Potem ujął w dłoń drżącą rękę chłopca i powiedział: - Chodź, Khai Ibzinie, pokażę ci kryjówkę, z której wkrótce zobaczysz bardzo rzadką ceremonię. W niedalekiej przyszłości będziesz brał w niej udział. Potem zaprowadzę cię do twojej celi.

Kiedy skończył mówić, zbliżył swoją twarz do twarzy chłopca i poczęstował go swoim bezzębnym uśmiechem. Khai odwrócił głowę z obrzydzeniem.

- Cóż to, dziecino? Nie podoba ci się moja buzia bez ząbków? Wielka szkoda, bo też pójdziesz do dentysty, żeby ci je usunął. Tak... tak. - Pokiwał swoją łysą głową. - Jutro wieczorem dowiesz się, dlaczego. Pośpiesz się, bo każde gwardzistom, by cię zawlekli do celi.

CZĘŚĆ CZWARTA

I

Ślubna komnata

Minęło trzydzieści godzin odkąd kapłan zostawił Khai w celi. Znajdowała się ona trzy piętra powyżej świątyni i parteru zamieszkałego przez ludzi. Przez cały ten czas, Khai walczył z sobą, by nie postradać zmysłów po tym, co przeżył i widział. Pomagały mu w tym instrukcje Anelupa, wypowiedane monotonnym głosem w drodze do celi. Zacierały w jego pamięci obrazy i przeszkadzały w rozmyślaniach nad własnym losem.

Leżał godzinami, nie przyjmując pożywienia. Od czasu do czasu drzemał krótko, lecz budziły go koszmary. Z godziny na godzinę marniał w oczach, mimo że miał spokój i pożywienie trzy razy dziennie przynoszone przez niewolników.

Był jednak młody i silny i jeszcze dużo czasu musiałyby upłynąć, zanim zmizerniałby do reszty.

Gdy gong wybił pięć razy na znak, że zbliża się północ, Khai zwałkł się z posłania i oświetlając sobie drogę pochodnią, udał się przez kręte korytarze do kryjówki, o której wspominał Anelup.

Nawet przez myśli mu nie przeszło, aby stąd uciec. Był na to za słaby i do cna pozbawiony woli życia. Bał się też zemsty faraona. Widział przecież na własne oczy, jak okrutni bywają bogowie. Gdyby jednak zdecydował się na opuszczenie piramidy, znalezienie właściwej drogi wśród labiryntu chodników nie sprawiłoby mu większej trudności. Znał wnętrze piramidy lepiej od kapłanów, którym faraon zabronił poruszać się po ai& zamieszkanym przez nich piętrze.

Kryjówkę stanowiła głęboka nisza w ścianie, od strony korytarza zasłonięta blokiem skalnym. Wewnątrz jaśniał mały otwór, biegnący do ślubnej komnaty Khasathuta. Anelup nakazał Khai dokładne śledzenie przebiegu całej ceremonii, uwzględniając intymne czynności, jakie on sam będzie wykonywał wobec władcy.

Te ostatnie słowa - mimo tragizmu sytuacji - zaciekały młodzieńca. Zastanawiał się, jakie też intymne czynności miał kapłan na myśli, skoro żaden śmiertelnik nie mógł dotykać faraona.

Anelup powiedział, iż bardzo spodobał się władcy, zwłaszcza zaś jego biała, delikatna skóra. Pocieszał go, że jeżeli dobrze wywiąże się z obowiązków, to jego też czeka długie i szczęśliwe życie u boku faraona.

Słuchając kapłana, Khai zastanawiał się, czy to wyrzuty sumienia starca obudziły w nim ojcowskie uczucia, czy też robił to z wyrachowania. Ciekawiło go też, co stanie się z Anelupem, kiedy on, Khai, przejmie funkcję naczelnego kapłana.

Rozmyślając o tym wszystkim, zerknął przez otwór w ścianie. Miał pół cala szerokości i trzy cale długości; dzięki temu można było dokładnie widzieć, co dzieje się wewnątrz.

Jedynymi meblami, jakie znajdowały się w komnacie był niewielki rozmiarów tron z dwoma podnóżkami i świecznik, który stał wysoko na kamiennej półce i oświetlał sufit ozdobiony licznymi płaskorzeźbami. Przedstawiały one nagich mężczyzn i kobiety splecionych w miłosnych uściskach. W scenach brały też udział zwierzęta.

Cienie rzucane przez płomień zdawały się ożywiać postacie, a ich zmysłowe pozy zaczynały młodzieńca podniecać. Szybko jednak odwrócił wzrok. Po chwili zainteresowało go wejście do komnaty, które przypominało nozdrza jakiegoś potwora. Tam też zauważył niezapalony pochodnie rozmieszczone na wapiennej ścianie, za którą znajdowała się kryjówka.

Pomyślał, że musi być bardzo ostrożny, bo gdy niewolnicy zapalą te pochodnie, ktoś mógłby z łatwością dostrzec jego oczy w otworach.

Jego rozmyślania przerwał odgłos kroków z korytarza biegnącego pod kryjówką. Za moment ujrzał Anelupa, który wszedł do komnaty z trzema niewiastami.

Kiedy znalazł się w środku, przystanął i bacznie przyjrzał się miejscu, w którym znajdowały się otwory. Widocznie wyszedł oczy młodzieńca, bo z zadowoleniem pokiwał głową i powrócił do dziewcząt. Każdej z nich dał stoczek, który odpalił od świecznika. Następnie nakazał im czekać, a sam wyszedł.

Po kilku sekundach wrócił w towarzystwie sześciu czarnoskórych gwardzistów.

Żołnierze mieli na nogach skórzane sandały, byli ubrani w czerwone spódniczki, a na ich głowach pyszniły się duże hełmy z brązu. W rękach zaś trzymali długie, zakrzywione, ostre miecze.

Po chwili wzrok Khai padł na dziewczęta; w białych muślinowych sukniach przypominały nimfy wodne.

„Cóż to za dziwny widok - myślał. - Drobne, niemal dziecinne postacie dziewcząt (dwie z Khem, trzecia wysoce urodzona z Nubii, dyskretnie uprowadzona ze swojej ojczyzny) uwięzione między masywnymi blokami wapienia, w zestawieniu z potężnie umięśnionymi gwardzistami.”

II

Nadejście faraona

Po chwili Anelup rozkazał gwardzistom zaprowadzić dziewczęta pod ścianę i skuć kajdanami. Tłumaczył im, że w ten symboliczny sposób mogą oddać hołd faraonowi, ofiarowując mu swoje ciało i duszę.

Ponieważ żadna z nich nie przeciwstawiała się takiemu traktowaniu, młody Ibsin zastanawiał się, co też dzieje się w ich umysłach. Jeżeli nawet były przerażone, że za chwilę zostaną poślubione Khasathutowi, a tym samym powiększą jego harem, wcale tego po sobie nie pokazywały. Może były pod wpływem oparów. Plotkowano, że faraon kazał sprowadzić z wysp żywicę, która topiąc się, wydzielala słodkawym dym. Kiedy się go wdychało, po krótkim czasie, wywoływał przyjemne halucynacje. Przypominały one marzenia senne pod wpływem opium używanego przez medyków i kapłanów, ale były mocniejsze i trwałe.

Dziewice, które faraon zamierzał poślubić, były wyjątkowo piękne. Odkąd sięgał pamięcią, wszystkie jego wybranki należały do grona najurodzawszych pańien w Khem.

Pierwsze trzy niewiasty poślubił dokładnie siedem lat temu i od tego czasu, regularnie co kwartał, państwo wzbogaca się o kolejne trzy królowe. Piramida Khasathuta przypomina niezwykły ul, gdzie aż roi się od królowych matek. Według obliczeń młodego Ibsina, powinno ich już być osiemdziesiąt jeden. Khai zastanawiał się, ilu też astronomów zatrudnia faraon, aby dokładnie wskazali północ, ponieważ dopiero o tej porze pojawia się w komnacie, aby skonsumować rozkosz nocy poślubnej.

Wracając myślą do tych osiemdziesięciu jeden żon, Khai zachodził w głowę, gdzie też mogą one przebywać. Przecież zwiedził niemal każdą komnatę, ale żadna nie była aż tak wielka, by pomieścić je razem.

Zastanawiał się też, kto przyrządzał dla nich posiłki, gdzie jadły i gdzie się kąpały. Piramida, mimo okazałych rozmiarów, nie miała

odpowiedniej łaźni dla takiej ilości kobiet. A poza tym każdej z nich, jako żonie i kochance wielkiego władcy, przysługiwała oddzielna komnata...

Znajomy odgłos potężnego gongu wyrwał go z zadumy. Jego uwagę zwrócił nie tyle sam dźwięk, co piorunujące wrażenie, jakie wywarł na gwardzistach. Odskoczyli od skutych łańcuchami dziewczic jak podzuczone piłki i ustawili się obok tronu, po trzech z każdej strony.

Anelup zaś, w przeciwieństwie do czarnoskórych mocarzy, obszedł tron dookoła i stanął tuż za nim. Jego okazała sylwetka sprawiała, że królewskie siedzenie przypominało fotelik dla dziecka. Kapłan wyprostował się i razem z gwardzistami oczekiwał nadejścia boga i władcy.

Khai również wstrzymał oddech i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w ciemny korytarz po przeciwnej stronie. To co zobaczył, przeszło jego wszelkie oczekiwania. W wejściu bowiem pojawiła się drobna postać, która idąc, przypominała bardziej owada niż człowieka, la pokraczna kreatura miała koronę na głowie i na ramionach purpurowy płaszcz. Na piersi widniał duży krzyż tai-ankh.

„Czyżby Khasathut był małpą,?!” - zastanawiał się Khai.

Czykolwiek był, na pewno nie przypominał człowieka.

Kiedy przemówił, jego głos był pozbawiony tej powagi, do jakiej byli przyzwyczajeni poddani.

Khai szybko ochłonął z pierwszego szoku i skoncentrował uwagę na tym, co działo się w komnacie, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Khasathut był podobny do swojego ojca - Thanopeta.

Khai miał siedem lat, gdy zmarł stary faraon, ale doskonale pamięta jego wystającą szczękę, małe, świdrujące oczka, wąskie i długie brwi oraz płaskie czoło. Stary tyran nie miał jednak tak trupio bladej cery. Tę cechę Khasathut odziedziczył zapewne po matce.

Ile też lat mógł mieć faraon, skoro jego ojciec dożył stu piętnastu. Mówiono, że obecny władca urodził się, kiedy stary był już dobrze po czterdziestce. Stąd wniosek, że teraz był starcem, mimo że zachowaniem przypominał kapryśnego młodzieńca.

Khasathut podszedł na dziewic. Długi płaszcz głośno szeleścił w ciszy zalegającej komnatę.

- Jesteście przepiękne - powiedział do każdej z osobna, próbując zajrzeć im przez welon w oczy.

- Anelupie - zwrócił się do kapłana - one są urocze!

Mimo serdecznego tonu głos faraona zabrzmiał niczym głos legendarnego ducha z egipskich katakumb - był przerażający!

- Jestem bardzo zadowolony - odpowiedział kapłan, dotykając czołem oparcia tronu.

Faraon nic nie odrzekł, ale kołysząc się na boki niczym kaczką, zbliżył się do tronu i ciężko posapując, wspiał się na złotą poduszkę leżącą na siedzeniu, po czym wlepił swoje małe oczka w skute łańcuchami dziewczęta.

Kiedy tylko zagłębił swój kuper w poduszce, Anelup pochylił się i powiedział mu coś do ucha. Khasathut pokiwał głową i zaniósł się śmiechem.

Khai miał wrażenie, że ten gardłowy rechot za moment rozsądzi piramidę.

Wzrok Anelupa i faraona z powrotem spoczął na dziewczętach.

Khai zauważył, że coś dziwnego zaczynało się dziać z czarną Nubijką. Jakby się przebudziła z głębokiego snu i teraz z zaciekawieniem zaczęła rozglądać się dookoła. Pozostałe nadal pozostawały w letargu, a ta, stojąca najbliżej miejsca, za którym się ukrył, nawet zasnęła, wisząc bezwładnie na łańcuchach.

Po chwili także i one zaczęły powracać do rzeczywistości. Widocznie narkotyk przestawał działać. Z ich zachowania wnioskował, że nie były raczej zadowolone ze stanu, w jakim się znajdowały.

Nubijka szybciej niż jej białe siostry odzyskiwała przytomność, jej oczy były szeroko otwarte.

Khasathut oblizal blade, wąskie usta, a następnie wstał i drżąc na całym ciele, zbliżył się do niej. Wlepił w nią swoje wybaluszone oczy, nie przestając zwilżać językiem warg.

- Jesteś niezwykle smakowitym kąskiem - powiedział.

Wzrok Khai powędrował na chwilę na Anelupa i gwardzistów. Stali nieruchomo, bez słowa. Przypominali posągi świętych zwierząt z głównego placu w Asorbes. Całą swoją uwagę skupili na poczynaniach faraona.

III

Bóg - potwór

Khasathut zdjął welon z twarzy czarnej Nubijki. Jego język przypominał ruchliwy języczek jaszczurki. W oczach dziewczyny czaił się strach, a na czoło występowały kropelki potu.

Faraon uniósł rękę na wysokości jej szyi i zakrzywił palec.

Khai wstrzymał oddech. To co działo się przed jego oczami, z pewnością nie przypominało jakiegokolwiek ceremonii zaślubin znanych mu z opowiadań.

Pozostałe dwie panny młode nawet na moment nie spuściły wzroku z faraona. Ten zaś obrzucił je krótkim spojrzeniem i nagłym ruchem zerwał sukienkę z wysokiej Nubijki. Powietrze przeszył odgłos rozrywanego materiału, strzępy drogocennego jedwabiu opadły na podłogę.

Dziewczyna stała przed faraonem obnażona do pasa, ten widok najwidoczniej go podniecił, bo dzwonił zębami i dreszcze przesywały jego wątłe ciało. Nie odrywał oczu od dużych piersi, które rytmicznie podskakiwały pod wpływem nagłych ruchów ciała dziewczyny, próbującej bezskutecznie uwolnić się z kajdan.

Khasathut z zadowoleniem patrzył na strużki potu ściekającego na czarny, płaski brzuch. Po chwili ponownie wybuchnął przerażającym, gardłowym śmiechem i tą samą ręką, którą zerwał suknię z dziewczyny, wyjął mosiężną spinkę przytrzymującą połę jego królewskiego płaszcza. Chwilę później stał przed niewiastami bez okrycia, które leżało u jego stóp, i bez korony, którą cisnął w róg komnaty.

Zerkając na niego przez dziurkę w ścianie, Khai, podobnie jak dziewczęta, wstrzymał oddech na widok zdeformowanego ciała boga z Khem.

Jego lewa ręką, którą pozwalał oglądać swoim poddanym, była normalną ludzką kończyną, w przeciwieństwie do prawej. Trzymał ją w tym momencie na piersiach i widać było wyraźnie, że od łokcia nie miała więcej niż sześć cali i była zakończona dłonią z błoną między palcami. Zniekształcone były też jego nogi. Prawą miał krótszą o

kilka cali od lewej i to powodowało kaczy chód. Jego ciało okrywała niemal przezroczysta, jasnorożowa skóra bez jednego włosa oprócz rudej szczeciny na ogromnym garbie, który stanowił wątpliwą ozdobę jego wąskich pleców. Na uwagę zasługiwała też jego olbrzymia głowa, przypominająca czerep jakiegoś prehistorycznego gada. Stało się jasne, dlaczego nosił taką dużą koronę.

Po tym, co zobaczył, Khai był pewny, że przodkowie Khasathuta przybyli z obcej planety. Tyle że nie była to z pewnością planeta ludzi, ale potworów.

Faraon wyprostował się, unosząc się niemal na palcach stóp i za-
bią dłonią ugniatał pierś czarnoskórej dziewczyny. Nagle chwycił
brodawkę i przebił ją ostrzem spinki, którą przedtem wyjął z płaszcza.
W miejscu ukłucia pojawiła się krew.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, ale wtedy ciszę przerwał
spazmatyczny krzyk dziewcząt. Nubijka, na domiar złego, zaczęła
miotać się z bólu, uderzając głową o białą, kamienną ścianę za jej
plecami. Hałas, jaki czyniły, stał się widocznie uciążliwy dla potwora,
bo zdrową ręką zasłonił jedno ucho i przyciskając ramieniem drugie,
niemal rzucił się na tron.

- Uciszcie je!- zawołał do gwardzistów, którzy jak szakale rzucili
się na swoje ofiary, kneblując im rękoma usta. W tym momencie
czarna dziewczyna straciła przytomność.

Mimo iż to, co widział, mroziło krew w żyłach, Khai nie mógł ode-
rwać oczu od scen rozgrywających się w ślubnej sali tortur.

Nubijka zwisała nieruchomo, a na ścianie widniała czerwona pla-
ma ściekającej krwi.

Dwóch królewskich oprawców otworzyło jej siłą usta, a trzeci,
długim, ostrym sztyletem odciął język.

Khai poczuł, że żółć wypełniła mu usta. Odsunął się na moment od
szczeliny w ścianie, próbując opanować nudności.

Ten sam los spotkał dwie pozostałe dziewczęce.

Gdy Khai ponownie spojrział przez szczelinę załzawionymi oczyma,
zobaczył, jak wisiały bezwładnie na łańcuchach, a z otwartych ust
sączyła się krew. Na znak Khasathuta gwardziści zdarli z ofiar odzie-
nie.

Faraon siedział nagi na drogocennym tronie i z pożądaniem spo-
glądał raz na dziewczęta, raz na Anelupa, który zbliżał się do niego
powoli, zgięty wpół, z rękoma na plecach. Trzymał je tam, bo żadnemu

śmiertelnikowi nie wolno było dotykać faraona, gdyż odebrałby to jako pohańbienie jego boskiej osoby.

- Obudźcie je - rozkazał faraon gwardzistom, ignorując Anelupa.

Jeden z żołnierzy wyjął mały kamienny pojemnik z kieszeni swojej spódnicy i podsunął pod nosy dziewczętom. Poruszyły się nagle, powoli odzyskując świadomość, tylko Nubijka nie reagowała na ostry zapach.

Khai miał nadzieję, że ona nie żyje. Niewiasty wily się z bólu, wypływając z ust krew pomieszaną ze śliną.

Jakby jeszcze tego było mało, gwardziści wyjęli swoje zakrzywione sztylety i nacinając skórę na szyi dziewcząt, zaczęli zdzierać ją wąskimi pasami. Wkrótce ich ciała, prócz twarzy, przypominały kawały surowego mięsa. Na szczęście dziewczęta już nic nie czuły, na powrót tracąc świadomość.

Khai raz jeszcze poczuł zawroty głowy i mdłości i pewnie również zemdląby, gdyby nie zimna ściana, o którą opierał czoło. Patrzył na Khasathuta ze strachem i nienawiścią.

Wtedy to poprzysiągł sobie, że ten potwór, razem ze swoim kapłanem i gwardzistami, zapłaci za swoje zbrodnie i za cały Khem, z którego mieszkańców uczynił niewolników.

Jak przez mgłę widział Anelupa, który wolno unosił i opuszczał łąsą głowę między nogami swojego pana. Za każdym razem, kiedy głowa kapłana wędrowała do góry, Khasathut uderzał w nią rytmicznie dłonią.

Po chwili usłyszał rozkaz faraona, aby zakończyć ceremonię.

Khai kątem oka obserwował gwardzistów rozcinających niewiastom brzuchy. Patroszyli je, jak się patroszy zwierzęta, opróżniając jamę brzuszną z ciepłych jeszcze wnętrzności.

Khasathut przez cały ten czas wybałuszał swoje ogromne oczy i wyl z rozkoszy. Kiedy oprawcy zakończyli swoje nikczemne dzieło i odstąpili od dziewcząt, faraon naprężył się, a po chwili, ściskając udami głowę Anelupa, opadł wyczerpany na tron. Potem oparł stopy na barkach starca i odepchnął go z obrzydzeniem. Z jego dużego starczego członka słyneło kilka kropel złotego nasienia.

Chłopcem ponownie wstrząsnęły dreszcze i poczuł, jak zawartość żółci podchodzi mu do gardła. Przypomniał sobie o bezzębnych, okrągłych ustach Anelupa i jutrzejszej wizycie u dentysty!

IV

Rozmyślania o ucieczce

Khai nie pamięta, co stało się potem. Widział tylko, jak kilku gwardzistów wyniosło z komnaty nagiego Khasathuta, a reszta zajęła się sprzątaniami. Chwiejąc się na nogach, czmychnął z kryjówki i na oślepnął pognął do swojej celi. Od tej pory serce chłopca zapłonęło zębą. Pragnął wyrosnąć na wielkiego wojownika i pewnego dnia zgładzić faraona. Jeszcze nie wiedział, jak to uczyni, ale jednego był świadom: nie dokona tego na miejscu, w piramidzie.

Postanowił, że ucieknie z grobowca Khasathuta, a nawet opuści swój kraj ojczysty - Khem. W umyśle chłopca powstał szalony pomysł ucieczki z piramidy. Problem był jednak w tym, że w żaden sposób nie dało się go wcielić w życie. Był zbyt ryzykowny. Khai doskonale zdawał sobie bowiem sprawę, że wydostanie się do miasta przez labirynt korytarzy na parterze było niemożliwe. Mógł jedynie wzbudzić czujność straży i w rezultacie wpadłby w ich ręce. Oni zaś nie zawahaliby się doprowadzić go do Anelupa. Zresztą mieli takie rozkazy, że w przypadku, gdyby próbował uciec, należało go natychmiast umieścić z powrotem w celi i zawiadomić kapłana.

Khai szybko więc zrezygnował z pierwszego pomysłu i postanowił wykorzystać inną drogę ucieczki, zwłaszcza, że posiadał wszystko, co było niezbędne do jej pokonania; parę lnianych szmat i siennik służący za łóżko. Nie zwlekając ani chwili, zrobił z nich spory tobolek i opuścił celę.

Dokładnie pięć lat wcześniej jego ojciec pokazał mu system wodny w piramidzie i objasnił jego działanie. Wysoko, wokół czubka piramidy, znajdowały się małe kamienne platformy, z których krople rosy czy deszczu spływały małymi kanalikami do rur, a następnie do pojemników znajdujących się na niższych piętrach. Stąd następnie pobierano wodę do kuchni i łaźni.

Pamięta, że stary Ben Ibin zezwolił mu wspiąć się schodami aż na szczyt piramidy do platformy i obejrzeć stamtąd miasto z lotu ptaka.

Zapytał wtedy ojca, czy możliwy byłby zjazd rurami do podstawy grobowca. Ben Ibin odparł wtedy, że tak, ale po warunkiem, że przedtem zamieniliby się z hipopotamem na tyłek. Wewnętrzna powierzchnia rur, mimo że na pierwszy rzut oka była gładka, zdarłaby mu skórę z siedzenia niczym najlepszy pilnik.

Zdarzało się podczas budowy grobowca, że robotnicy wpadali w nie, ale żaden jeszcze nie wyszedł z tej przejażdżki cało.

Wprawdzie Khai nie miał na siedzeniu skóry hipopotama, ale miał za to maty i słomiany siennik. I, gdyby mu się udało skierować strumień wody w dół po rurze, zmniejszyłby z pewnością niebezpieczne tarcie.

Po dłuższej chwili chłopiec, wspinając się ostrożnie po kamiennych stopniach, dotarł do wlotu rur. Spoglądając z przerażeniem w dół, omal nie zrezygnował z karkołomnego wyczynu. Jednak zwalczył w sobie strach, z uporem powtarzając słowa o zemście.

Poczuł na twarzy chłodny wiatr wiejący od rzeki. Zdążył jeszcze popatrzeć na pełne gwiazd niebo, zanim zgasła pochodnia, którą trzymał przed sobą. Szybko odszukał pojemnik z wodą i z zadowoleniem odkrył, że jest pełny. Wiedział też, że przed świtem setki drobnych kanalików zamieniają się w rwące strumyczki. Dlatego nie należało dłużej zwlekać i wprowadzić swoje zamierzenia w czyn.

Asorbes - jego ukochane miasto - spało otulone poświęcą księżycą. Powietrze pełne było znajomych zapachów domowych ognisk i wieczornej strawy. Pachniało też tajemniczymi krainami, które leżały daleko poza Khem.

W pobliżu miejsca, w którym stał, mieścił się wlot do dziewięciu rur. Khai wybrał tę, która biegła wzdłuż ściany południowej. Zrobił to z wielu powodów. Po pierwsze, wiedział, że na dole, u wylotu rury znajduje się duża ilość miękkiego piasku, który zostanie przetransportowany do komór umieszczonych w górnych piętrach grobowca. Po drugie, południową dzielnicę zamieszkują niewolnicy z Nubii, Siwad, Therae, Syry i Kush. Ponadto straż faraona rzadko zachodzą

tu w środku nocy. Po trzecie, w pobliżu murów obronnych mieszka stary przyjaciel ojca, Arkhenos z Suboru - olbrzymiej fortecy przy granicy Khem z Nubią. Tylko on będzie w stanie pomóc mu skrycie opuścić miasto.

V

Ucieczka z piramidy

Prawie godzinę zajęły mu przygotowania do zjazdu rurą wodną wzdłuż stromej ściany piramidy. Poczekał, by woda zwilżyła dokładnie całe kamienne wnętrze i aby światło księżyca rozjaśniło parter grobowca, i odepchnął się stopami od kamiennej półki.

Z początku wprawiony w ruch siennik zsuwał się opornie, ale gdy chłopiec dotarł do bardziej stromego odcinka, jego słomiany pojazd zaczął nabierać szybkości. Zdawało mu się, że nagle zerwał się silny wiatr, choć w rzeczywistości powietrze było nieruchome.

W pewnej chwili zaczął obracać się niebezpiecznie i podskakiwać. Aby nie stracić siennika, Khai położył się na nim płasko, obserwując niebo.

Zjeżdżał coraz szybciej i coraz szybciej obracał się wokół własnej osi. Nagle poczuł swąd palącego się materiału. Lada moment jego słomiane sanie mogą stanąć w płomieniach.

Zamknął oczy i próbował opanować zawroty głowy, jakie odczuwał pod wpływem nagłych wolt.

Po chwili siennik uderzył o wysoki próg. Khai odczuł to jak kopnięcie w żołądek i poszybował w powietrze. W ciągu następnych kilku sekund, przerażony, wtulił się w matę w oczekiwaniu na spotkanie z kamienną ścianą piramidy.

Mylił się jednak. Wylądował bezpiecznie w samym środku góry piasku, lecz zetknięcie z nim mimo siennika i materaców było bolesne.

Zaraz też próbował się podnieść, aby sprawdzić, czy nie połamał którejś z kończyn, ale mdłości, które odczuwał, nie pozwoliły mu na to. Nie mogąc wstać, opadł z powrotem na piasek.

Kiedy ustał huk w głowie, a gwiazdy na niebie przestały zataczać kręgi, uniósł się na łokciach i zaczął wpatrywać się w ciemności, obawiając się, czy ktoś nie zauważył jego lądowania.

Mimo że w pobliżu znajdowały się jedynie kwatery niewolników, wolał nie leżeć na piasku zbyt długo. Zawłókł się więc i puścił biegiem w kierunku muru obronnego okalającego miasto. Gdy minął baraki, miał ochotę krzyczeć z radości. Był wreszcie wolny. Przestał być więźniem ponurego grobowca Khasathuta.

Mimo oszołomienia poczuł ssanie w żołądku, co go trochę otrzeźwiło. Jego żołądek był pusty od dobrych kilkunastu godzin i teraz dawał o sobie znać. Jego procesy trawienne przyspieszyła też pewnie podróż po ścianie piramidy, która nawet dla dorosłego mężczyzny byłaby nie lada przeżyciem.

Khai przemykał pustymi, brudnymi alejkami między niskimi budynkami. W całym Asorbes dzielnica ta posiadała najmniej sprawną kanalizację. Dawało się to we znaki mieszkańcom podczas ulewnych deszczów, których w tej części kraju nie brakowało.

Wkrótce chłopiec znalazł się w okolicy, skąd od pokoleń faraon czerpał swoją wielojęzyczną siłę roboczą do pracy przy grobowcu i do służby.

Stąpając jak najciszej, zastanawiał się, ile krwi przelali ci niewinni ludzie, aby zaspokoić zachcianki faraona.

Po raz ostatni spojrzął na masywną sylwetkę piramidy, która widniała na horyzoncie za jego plecami.

Raz jeszcze przysięgł sobie zniszczyć ten symbol znienawidzonych rządów.

Chłopiec chciał przyspieszyć kroku, gdy nagle drogę zastąpił mu Murzyn o atletycznej budowie ciała!

VI

Król niewolników

- Kim jesteś? - zapytał czarny mocarz, siłą odwracając twarz Khai do światła księżyca. - Nie jesteś synem niewolników, co? Pewnie spłodziła cię jakaś biała suka z Khem.

W pierwszej chwili Khai myślał, że wpadł w ręce któregoś z czarnoskórych gwardzistów faraona. Jednak jego obawy rozwiały łachmany, w które był odziany i znak „ankh” na jego czole.

- Puść mnie - wysapał Khai, próbując uwolnić się ze stalowego uścisku.

- A dokąd to zmierzasz, paniczu? Czyżby ojczulek nie ostrzegł cię przed zwiedzaniem dzielnicy niewolników nocą? - Głos obcego brzmiał sarkastycznie.

- Idę do domu Arkhenosa z Suboru - odparł Khai i zaraz dodał: - Wybrałem krótszą drogę.

- Krótszą drogę, powiadasz. - Mężczyzna poczęstował go szyderczym uśmiechem. - Dlaczego więc drżysz na całym ciele i wciąż oglądasz się za siebie, jakby cię ktoś ścigał? A może zgadłem? - Wydął swe grube wargi. - Ciekawe, dlaczego idziesz od strony piramidy? Zresztą, dlaczego nie miałbyś iść, skoro jesteś synem jej budowniczego.

Khai na moment zaniemówił z wrażenia. Zastanawiał się gorączkowo, czy czasem Anelup nie dowiedział się już o jego ucieczce i nie rozesłał swoich szpiegów, aby go szukali. Doszedł jednak do wniosku, że kapłan miał na to za mało czasu. Skąd więc ten niewolnik go znał?

- Twoje oczy nie kłamią, chłopcze - odezwał się Murzyn. - Masz prawdę wypisaną na twarzy, Khai Ibinie. Nie pamiętasz mnie? To ja budowałem mur wokół ogrodu twojego ojca... - A widząc, że Khai otwiera szeroko oczy, dodał: - Poznajesz mnie, co?

Khai pokiwał głową. Przypomniał sobie tego niewolnika. To jemu ojciec zlecił wykonanie arkad wokół ogrodu. Chciał osłonić go przed oczyma wścibskich kupców zajeżdżających na dziedziniec. Khai

pamiętał, że ojciec dobrze obchodził się z czarnoskórym budowniczym, karmiąc go należycie i zezwalając na odpoczynek.

- Czekałem na ciebie od momentu, kiedy zauważyłem, jak przygotowujesz się do ucieczki.

- To niemożliwe - wysapał Khai. - Nie mogłeś tego widzieć.

- Posłuchaj mnie - odpowiedział niewolnik, wykręcając mu boleśnie twarz w kierunku piramidy. - Wschodnia ściana jest teraz spowita cieniem, ale kiedy rozświetlała ją poświata księżycy, zdawało mi się, że piramida płacze. Ściana jednak była mokra od wody, który wypuściłeś ze zbiornika, aby ułatwić sobie ucieczkę. Wyglądało to, chłopcze, jakby księżyc płakał.

- Ale skoro ty mnie widziałeś, to może...

- Inni? - Nubijczyk pokręcił przecząco głową. - Może, ale najpierw przysliby do mnie. Ja, Adonda Gomba, jestem królem niewolników, podobnie jak faraon jest królem Khem. Mądrze zrobiłeś, chłopcze, wybierając południową ścianę. Są tu kwatery niewolników rzadko uczęszczane przez strażę.

- Wiem - odparł Khai. - Zagadką jest jednak, skąd wiedziałeś, że to ja uciekłem.

- Domyśliłem się. Byłeś jednym z ostatnich więźniów faraona i z pewnością najmłodszym. A tylko chłopiec zdecydowałby się na tak ryzykowną eskapadę. Poza tym nikt inny nie zna lepiej wnętrza piramidy niż ty. Wielu próbowało uciec z gniazda os Khasathuta, ale ty należysz do tych nielicznych, którym się to udało. Nie oznacza to, że jesteś już bezpieczny, ale najgorsze masz za sobą.

Khai zwiesił głowę i odparł:

- Wdzięczny jestem bogom, że udało mi się uciec od Anelupa i Khasathuta. Jeden jest niegodziwcem, a drugi potworem!

- Wiem o tym od dawna, mój mały. - Głos Gomby przepełniony był goryczą.

- Co ze mną zrobisz? - zapytał Khai, rozglądając się lękliwie dookoła po zacienionych domostwach.

- To zależy od ciebie, Khai Ibinie. Zastanawiam się, czym będziesz się teraz zajmował, chłopcze. W każdym razie, nie możesz pozostać w Asorbes, a już na pewno nie w dzielnicy niewolników. Dam sobie głowę uciąć, że jutro z samego rana Arkhenos z Suboru,

przyjacieli twojego ojca, będzie pierwszym u którego strażę Khasathuta będą cię szukać.

- Nie wydasz mnie siepaczom faraona? - Khai nie mógł wprost uwierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę.

- Nie obawiaj się o to. Faraon nie nagradza swoich czarnych niewolników za posłuszeństwo. Lojalność jest ich świętym obowiązkiem. Podziękuj synu bogom, że twój ojciec był dla mnie dobry.

- On wszystkich dobrze traktował - odparł Khai.

- Mówisz prawdę, Khai Ibzinie - powiedział szeptem Murzyn.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Później Gomba objął chłopca za ramiona.

- Ja również straciłem ojca, kiedy byłem w twoim wieku. - Pokiwał głową. - Tak... tak. Na kamienną platformę, gdzie pracował, spadł głaz i przygniótł go. Mój stary ojciec był schorowany i wycieńczony ciężką pracą. Ten głaz zrobił mu tylko przysługę.

Potem bez słowa zaprowadził chłopca do niskiego, ponurego budynku, gdzie nad wejściem palił się kaganek wypełniony oliwą.

- Jestem Nubijczykiem - odezwał się po chwili. - Moi przodkowie od niepamiętnych czasów palą oliwne kaganki przed wejściem do swoich domostw. To samo czynimy tu, w Asorbes. - Wymówił to ostatnie słowo z wyraźną niechęcią. - To jest mój dom, Khai Ibzinie. Nie jest tak wytworny jak ten, w którym mieszkałeś, ale póki co, przez najbliższą noc możesz tu spać spokojnie. Musisz mi jednak powiedzieć, dlaczego nazwałeś faraona potworem.

- Powiem ci o wszystkim, o czym pragniesz usłyszeć, królu niewolników.

Gomba wszedł do domu pierwszy, niosąc przed sobą kaganek. W jego świetle Khai zobaczył izbę, w której znajdował się drewniany stół i trzy koślawe krzesła. Sufit stanowiło słomiane poszycie ułożone na belach przeżartego drewna. W niektórych miejscach widać było niebo usiane gwiazdami.

Po drugiej stronie pokoju widniało kolejne wejście, które prowadziło do kuchni, skąd dobiegał odgłos przesuwanych naczyń i zapach gotowanej stawy.

Adonda Gomba posadził Khai przy stole i wszedł do kuchni. Chłopic słyszał, jak rozmawiał szeptem z jakąś kobietą. Po chwili potężna postać Murzyna ponownie wypełniła wejście do izby.

- W kuchni jest moja żona, Nyooni - oznajmił szeptem. - Wszyscy moi pobratymcy śpią, bo jutro jak zwykle muszą być w dobrej formie. Ja już nie potrzebuję tak wiele snu. Pracuję tylko wtedy, kiedy mam na to ochotę. Siepacze faraona ufają mi. Dzięki temu udaje mi się czasami ułatwić życie sobie i moim towarzyszom niedoli.

Słuchając Gomby, Khai nagle poczuł ogarniające go potworne zmęczenie. Czuł też głód, który potęgowały zapachy dochodzące z kuchni.

- Jesteś głodny, chłopcze? - Murzyn wydawał się czytać w jego myślach. - Za chwilę dostaniesz chleb i kawałek mięsa z jagnięcia, które upolowali moi bracia na pastwiskach Khasathuta. - Gomba wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Khai próbował odpowiedzieć także uśmiechem, ale wypadł on bardzo blado.

- Będziesz jednak musiał zapłacić za jedzenie informacjami. Interesują nas wnętrza piramidy. Co w niej robi znieawidzony tyran i ilu ludzi liczy sobie jego straż? Przyda nam się to, kiedy będziemy próbowali go obalić.

- Wy, niewolnicy, zamierzacie zabić Khasathuta?

- Już niedługo, mój chłopcze. Wierz mi, cały naród powstanie i wygna faraona z kraju. - Mówił to poważnym tonem. - Zdradziłem ci moją świętą tajemnicę. Teraz czas na twoje zwierzenia. Opowiedz mi ze wszystkimi szczegółami.

CZEŚĆ PIĄTA

I

Zemsta Adhana

Zaczynało już świtać, kiedy Adonda Gomba wracał do domu budzącymi się do życia uliczkami. Mimo zmęczenia był zadowolony, ponieważ udało mu się urządzić Khai bezpieczną ucieczkę z miasta. Przed pożegnaniem pragnął jednak opowiedzieć mu o Adhanie, jego bracie, i o tym, jak zemścił się on za bestialski mord rodziny.

Murzyn był równie usatysfakcjonowany informacjami, jakie uzyskał od Khai. Chłopiec opisał mu wnętrze piramidy ze wszystkimi szczegółami. Istniały tam korytarze i komnaty, o których słyszał pierwszy raz. Musiał też nanieść poprawki na dane, które już posiadał. Zwłaszcza plany niższych kondygnacji, które budowano trzy generacje temu, były niejasne i pełne błędów. Chłopiec wprawdzie nie widział wszystkich tych miejsc na własne oczy, jednak przez te wszystkie lata często towarzyszył ojcu w jego pracy przy stole kreślarskim i wiele drobiazgów utkwiło mu w pamięci.

Król niewolników przez długie godziny nocne wypytywał go nie tylko o budowę piramidy, ale również o samego Khasathuta, o kapłana Anelupa oraz o wydarzenia w komnacie zaślubin.

Reakcja Gomby zaskoczyła chłopca. Dziwiło go to, z jaką łatwością uwierzył w okrucieństwo samego rytuału. Nawet okiem nie mrugnął, mimo że chłopiec ze wszystkimi szczegółami opisywał mrozące krew w żyłach sceny. Potem dowiedział się, że jego słowa tylko potwierdziły najgorsze przewidywania społeczności niewolników, a prawdopodobnie i całego Asorbes.

Większość dostojników wiedziała, że znanych sobie źródeł, że Khasathut jest potworem nie tylko w sensie fizycznym, ale i umysłowym, i to wzbudzało w nich paniczny strach przed nim.

Jednak był ich władcą i bogiem, to tłumaczyło jego niezwykle zachowanie.

Gombę zaskoczyły jedynie fizyczne ułomności faraona, ponieważ trzymano je w ścisłej tajemnicy. Teraz zrozumiał, dlaczego przez te wszystkie lata ludziom nie wolno było oglądać go z bliska. Przez cały ten czas w miejscach publicznych nosił na sobie specjalną konstrukcję wykonaną przez artystów i cieśli. Wszyscy oni byli mieszkańcami piramidy - jeżeli jeszcze żyli!

Te i inne myśli zaprzętały umysł Gomby. Pragnął też jak najszybciej przekazać Khai wieści o Adhanie: jego starszy brat, okaleczony i broczący krwią, przywłókł się do pustego domu. W przestronnej willi pozostała jedynie Mellina, ich stara kucharka. Reszta służby na wieść o egzekucji Izbzinów rozkradła kosztowności i uciekła z miasta. Po nich przyszli żołnierze, którzy pojмали niewolników i zaprowadzili ich do królestwa czarnego Gomby. Odtąd mieli służyć wyłącznie faraonowi.

Mellina opatrzyła ranę w kroczu Adhana i położyła go do łóżka. Przez całą noc i następny dzień nie odstępowała go na krok. Bała się najgorszego, widząc, jak syn Izbzinów miota się w gorączce i na wpół świadomy bredzi o zdradzie i krwawej zemście.

Zdrajcą był Imthod Haphemid. Adhan przysiągł, że zapłaci on za swój diabelski podstęp, Adhan sam wykona wyrok.

Kucharka ocknęła się z nerwowej drzemki gdzieś około północy i zobaczyła, że drzwi są szeroko otwarte, a łóżko Adhana - puste. Wyszła za nim na ulicę, ale nie było go w pobliżu.

Dopiero następnego dnia miastem wstrząsnęły kolejne, pełne grozy wydarzenia.

Gdy posłaniec faraona przybył do domu Imthoda Haphemida, aby oznajmić, że został królewskim architektem na miejsce straconego Harsin Ben Izbina, ku swojemu przerażeniu, zastał tam również Adhana Izbina. Młody mężczyzna był martwy, choć znajdował się w nieco dziwnej pozycji; siedział sztywno na krześle w pracowni, a na jego kredowo białej twarzy czał się słodki uśmiech.

Pełen najgorszych przeczuc posłaniec, a zarazem zausznik tyrana, rozejrzał się po pokojach. To co znalazł, w bardzo niewielkim stopniu przypominało człowieka, którego miał zaprowadzić przed oblicze swojego pana.

Ręce nowego nadwornego architekta leżały na posadzce w kuchni. Adhan odrąbał je Imthodowi za to, że śmiał nanieść swoje diabelskie poprawki na rysunki ojca. Jego język stanowił wątpliwą ozdobę posadzki w hallu. Imthod stracił go, ponieważ naopowiadał kłamstw o rodzinie, która przygarnęła go jak syna pod swój dach. Oczy Haphe-mida spoczywały na małym stoliku przy jego łóżku. Przypominały dwie galaretowe kulki i raczej nie były zielone z zazdrości, jak wtedy, gdy spoglądały na prace starego Harsin Bena. Tułów pilnego ucznia starego mistrza spoczywał w toalecie. Adhan wycisnął z niego krew do kamiennego garnka.

Gomba zastanawiał się nad tym, jak Khai przyjmie wieści o okolicznościach śmierci brata. Szedł wolno, powłócząc nogami w obawie przed szpiegami faraona. Niósł przecież pod pachą ukryty pod łachmanami luk i strzały Khai, które zabrał z opuszczonego domu starego architekta. Gomba zapewnił chłopca, że wróci z jego ulubioną bronią i mimo ryzyka słowa dotrzywał.

Najpierw, aby uniknąć tej nocnej eskapady proponował mu swój nóż, jednak Khai odmówił. Schował go więc poza domem, gdyż za posiadanie noża lub włócznie faraon karał śmiercią i nawet on, król niewolników, musiał tego przestrzegać.

Na szczęście jego obawy były nieuzasadnione. Brudne ulice miasteczka były puste. Dojrzał jedynie bandę wyrostków, lecz, jak na zauszników władcy, byli zdecydowanie za młodzi. Poza nimi wałęsały się tam jedynie głodne szczury, które przeżuwały resztki padliny.

Murzyn klął sobie w duchu za brak odwagi. W końcu ojciec chłopca był dobrym i wyrozumiałym człowiekiem. Gdyby więc odmówił mu pomocy, okazałby się niegodziwcem. Być może chłopiec wróci tu któregoś dnia i dobierze się faraonowi do skóry.

Wzdrygnął się na wspomnienie słów wróżki Ayshy: - „Weźmiesz pod swój dach zbawiciela - powiedziała - generała i mściciela. Będzie miał jasne włosy i niebieskie oczy. Słusznie postąpisz, królu niewolników, pomagając mu, bo w zamian za to przyniesie nam wolność”.

Gomba wziął sobie do serca jej przepowiednię, bo Aysha, dzięki swojemu szóstemu zmysłowi, nigdy się nie myliła. W Nubii byłaby

czcigodną Ngangą, ale tu, w Asorbes, miała szczęście, że jeszcze żyła. Była nikomu niepotrzebną staruszką, ale niewolnicy udzielali jej schronienia z wdzięczności za jej przepowiednie o upadku Khasathuta.

Gomba zbliżył się do drzwi frontowych i ostrożnie odsunął zasłonę.

- Khai! - powiedział szorstko. - Wstań, chłopcze. Musimy porozmawiać o czymś ważnym.

II

Wizyta Ramanona

Po powrocie Gomby w sercu Khai znów zagościł niepokój. Kiedy wysłuchał opowieści o Adhanie, żał z powodu jego śmierci mieszał się z dumą i tym bardziej utwierdził go w przekonaniu, że powinien zemścić się na faraonie, nawet gdyby miał poświęcić własne życie.

Kiedy jednak zabrali się do omawiania planu ucieczki z miasta, do izby wpadł jednoręki Syryjczyk z wieścią, że do domu Gomby zbliża się kapitan straży faraona z oddziałem gwardzistów znanych ze skłonności do torturowania przesłuchiwanym osób.

Król niewolników poblądł, słysząc, co go czeka, i przeklinał w duchu dzień, w którym zdecydował się pomóc małemu Ibziniowi. W obecnej chwili za późno było już na żale i złorzeczenia.

Gdyby wydał Khai w ręce gwardzistów, oskarżyliby go pewnie o współudział w jego ucieczce z piramidy, a to oznaczałoby niechybną śmierć. Zanim odprawił Syryjczyka, wyjął zza pazuchy łuk i strzały należące do Ibzina i schował je pod połę długiej szaty jednorękiego. Potem kazał mu uciekać.

- On przemyci twoją broń przez granice miasta i odda ją w bezpieczne ręce Mhyny. - Wyjaśnił chłopcu po odejściu Syryjczyka.

- Mhyny?

- Wkrótce ją spotkasz, chłopcze, ale póki co musimy cię ukryć.

Mówiąc to, podał mu pas suszonego mięsa, spory kawałek chleba i kubek wody. Potem odsunął kamień leżący na środku pozostałości po starej kanalizacji. Była to idealna kryjówka pod jednym względem: nie musiał wychodzić z domu Gomby, aby się w niej schronić. Pewną niedogodnością był smród, który podział na niego niczym wydzielną skunka. Widząc to, Gomba odparł:

- Szybko się przyzwyczaisz do tego zapachu, chłopcze. Zapach kilku zdechłych szczurów jeszcze nikogo nie zabił. Lepiej martwmy się tymi żywymi, które zaraz się u mnie pojawią.

Potem pomógł mu wślizgnąć się do środka i położył kamień na poprzednie miejsce, przysypując piaskiem i darniną, aby zatrzeć ślady.

Wnętrze rowu przypominało ciemny i ponury grobowiec. Jednak po chwili, gdy jego wzrok przyzwyczał się do mroku, zauważył setki małych światełek, które zewsząd mrugały do niego. Wkrótce, ku swojemu przerażeniu, zdał sobie sprawę, że były to żywe szczury.

Zwierzęta niepokoiły go od samego początku. Podchodziły do niego tak blisko, jakby miały ochotę zaatakować. Na szczęście, wystarczył nagły ruch ciała, aby z piskiem wracały pod ścianę.

Khai był wdzięczny losowi za to, że w rowie istniał przepływ powietrza, choć z powodu smrodu trudno było nazwać je świeżym. Wdzierało się do gardła i dusiło, ale zawierało tę potrzebną do życia odrobinę tlenu.

Wykop w ziemi przypominał wnętrze jednego z tych ogromnych ślimaków, które fale Nilu wyrzucają na brzeg. Każdy hałas był spotęgowany dziesięciokrotnie. Szuranie krzesła Gomby o klepisko podłogi przypominało huk wodospadu.

W znacznie gorszym położeniu jednak znalazł się Adonda Gomba. Choć nie była to pierwsza, i zapewne nie ostatnia, wizyta kapitana Ramanona, to jednak za każdym razem stary Murzyn miał bardziej zszarpane nerwy. Kiedy tylko chłopiec znalazł się pod podłogą, Gomba położył na stole dokumenty: listę narzędzi, przydziały materiałów i wiele innych rzeczy potrzebnych do administrowania kwaterami niewolników.

Kiedy kilka minut później kapitan wraz z oddziałami żołnierzy weszli do ciemnej izby, zastali Gombę skupionego nad swoją pracą.

Ramanon był z urodzenia Khemitą, choć płynęła w jego żyłach krew matki z Arabby. Widać to było po jego śniadej cerze i orlim nosie.

Gomba zarówno nienawidził Ramanona, jak i czuł do niego respekt. Przy każdym spotkaniu wił się jak piskorz, aby uratować własną skórę. Tym razem czuł jednak, że nie wykręci się sianem.

Jego obawy były tym większe, że wizyta Ramanona potwierdziła przepowiednię Ayshy. Widocznie Khai stanowił niemałe zagrożenie dla Khasathuta, skoro wysyłał za nim w pościg swojego najlepszego szpiega.

Nadejście Ramanona poprzedził głośny tumult na podwórzu przed domem. Do tego momentu gwardziści zachowywali się cicho, aby go nie spłoszyć i dopiero nogi obute w ciężkie sandały zdradziły ich obecność.

Gomba udał zaskoczenie na widok zwalistej postaci kapitana, który niepostrzeżenie wkroczył do izby z trzema gwardzistami.

Kapitan szczyrzył zęby w uśmiechu, co było złym znakiem. Żołnierze, którzy mu towarzyszyli, przypominali zwykłych rzezimieszków. Wyróżniał się może ten, który wszedł ostatni, bo miał na twarzy makijaż, którego nie powstydziliby się kobieta. Gomba od razu rozpoznał tę zniewieściałą kreaturę. Był to syn jednego z dostojników królewskich, Nathebol Abizoth. Widząc go, Adonda poczuł nieprzyjemne mrowienie w kręgosłupie. Mówiono, że jedną z jego ulubionych metod uzyskiwania informacji od przesłuchiowanych osób było usuwanie paznokci, wykluwanie oczu, kastracja, obdzieranie ze skóry i wiele innych okrutnych tortur. Żadna z osób, które dotąd przesłuchiwał, nie wyszła z tych operacji cało.

- Panie! - krzyknął Adonda Gomba, padając twarzą na lepiące się od brudu klepisko. - Cóż za zaszczyt, że zechciałeś wstąpić w moje skromne progi!

- Wstań, czarny psie! - odpowiedział Ramanon bez cienia złośliwości w głosie. Nie przestawał się też uśmiechać. - Chciałbym cię wypowiedzieć, przyjacielu, ale pragnę usłyszeć prawdę i tylko prawdę, jeżeli chcesz, abyśmy nadal się przyjaźnili.

- Pytaj panie, o co tylko zechcesz - odpowiedział Gomba - i jeżeli będę mógł...

- Będiesz mógł?! - przerwał mu raptownie Abizoth. - Przyszliśmy do ciebie, bo wiemy, że wiele możesz. - Mówiąc to, pstryknął palcami

z pomalowanymi na czerwono paznokciami i dwóch dryblasów posłusznie wywlokło Gombę na podwórze. Kiedy wychodzili z domu, dwunastu gwardzistów, którzy oczekiwali nadejścia swojego kapitana przykładowo mu zaszalutowało. Ramanon zignorował to jednak i kazał postawić Gombę twarzą w kierunku piramidy górującej nad dachami Asorbes.

- Czy widzisz grobowiec naszego wspaniałego faraona, Adondo Gomba? - zapytał.

- Tak, panie - wykrztusił z siebie Nubijczyk. - Oglądam tę piramidę z zachwytem przez całe moje życie. Jednak...

- Zamknij się! - warknął Ramanon. Popatrzył na swoje dłonie, udając, że nagle zainteresował go ich kształt. Potem znów spojrzął w przerażone oczy czarnego króla niewolników. - Zeszłej nocy uciekł z piramidy chłopiec. Zjechał w dół po ścianie, na którą teraz spoglądasz. Jest prawdopodobnie pokaleczony i bez pomocy nie uda mu się zbiec z miasta.

- Panie, bogowie świadkiem, że nie widziałem chłopca, o którym mówisz.

- Zaprowadźcie go z powrotem do domu - rozkazał Ramanon. Gwardziści natychmiast wykonali rozkaz kapitana.

- Gdzie jest twoja kobieta, czarny pies? - Gomba usłyszał pełen nienawiści głos Abizotha.

- Kobieta?! - Gomba udał zdziwienie. Od wielu miesięcy nie miałem kobiety, panie. - W głębi duszy dziękował bogom Khem, że kazał Nyooni opuścić dom z samego rana. Czuł, co się święci.

- Przecież twoim obowiązkiem jest mieć kobietę - zauważył Abizoth - aby rodziła niewolników na chwałę faraona.

- Kobieta, którą wziąłem pod swój dach, była bezpłodna. Odesłałem ją do kuchni w kamieniołomach, aby przyrządzała posiłki pracującym tam niewolnikom. Do tej pory nie udało mi się znaleźć odpowiedniej niewiasty. Jestem zbyt zajęty pracą, panie.

- Do diabła z twoją pracą - warknął Ramanon. - Nie udawaj, że nie wiesz, po co potrzebna jest mojemu przyjacielowi twoja stara i pomarszczona niewiasta. A może sądzisz, że chce umówić się z nią na randkę? - Ostatnie słowa wypowiedział, szczerząc ponownie swoje białe zęby w uśmiechu.

Gomba w odpowiedzi potrząsnął przecząco głową. Cały trząsał się ze strachu.

- Ja ci powiem, czarny psie, po co potrzebna jest mi twoja kobieta - odezwał się Abizoth. - Wiem z doświadczenia, że śpiewałbyś jak ptaszek, słysząc jej skowyt. No cóż, skoro nie mogę obedrzeć ze skóry czarnego cycka, zobaczę co da się zrobić z parą dorodnych jąder. - Abizoth rozejrzał się po pokoju.

- Połóżcie go na stole i rozbierzcie - rozkazał gwardzistom.

Żołnierze chwycili Gombę za ramiona i wlokąc go, zbliżyli się do stołu. Jeden z nich zgarnął zwoje papiirusu i rzucił na klepisko.

Czarny król, widząc to, bez wysiłku odepchnął od siebie żołnierzy i ukląkł nad porozrzucanymi dookoła dokumentami.

- Możecie zrobić ze mną, co wam się podoba! - krzyknął. - Ale jeżeli zależy wam na własnych głowach, zostawcie w spokoju ten papiirus. Są to dane o niewolnikach i o tym, gdzie który z nich ma pracować. Jeżeli zginą lub zostaną zniszczone, praca przy budowie piramidy będzie przerwana. Czy poświęcisz, panie, święte dzieło naszego władcy, aby odnaleźć jednego wyrostka? Daj mi szansę, kapitanie, bym odszukał go i przyprowadził do twojej kwatery.

- Stójcie! - krzyknął Ramanon.

Jego ludzie zdążyli już rozebrać Murzyna. Abizoth, ze wrokiem utkwionym w kroczu Gomby, zacierał swoje kobiece dłonie.

Ramanon pod wpływem słów Gomby przestraszył się gniewu faraona. Jego własna skóra była mu bliższa niż życie nieznanego chłopca. Khasathut prawdopodobnie nie miał najmniejszego pojęcia o istnieniu Gomby, ale gdyby tylko nastąpiły zakłócenia w pracy przy piramidzie, zapewne szybko wykryłby ich przyczynę.

- Zabierz te twoje wypielęgnowane rączki od ciała naszego drogiego króla niewolników, Abizoth! - rozkazał Ramanon, odzyskując nagle swój dobry humor. - Nie pozwolę, aby coś złego spotkało moje- go dobrego przyjaciela. Znamy się od lat i na pewno by mnie nie okłamał.

Potem zwrócił się do gwardzistów:

- Podnieście go ze stołu! On nic nie wie.

Kiedy gwardziści odstąpili od Gomby, Murzyn rzucił się do stóp Ramanona, lecz ten odepchnął go brutalnie:

- Zabierz się do swojej roboty i zapamiętaj sobie, że jeżeli prace przy grobowcu zaczną się opóźniać, będę wiedział, gdzie szukać winnego.

- A tymczasem - wtrącił się słodkim głosem Abizoth - lepiej miej oczy i uszy szeroko otwarte, czarny psie, póki jeszcze je masz. Szukamy jasnowłosego chłopca w wieku czternastu, piętnastu lat i jeżeli się okaże, że przyłożyłeś swoją łapę do jego ucieczki, to wrócę i własnoręcznie ci ją odrąbię!

III

Ucieczka z miasta

Kiedy zapadł zmierzch, Adonda Gomba zezwolił chłopcu opuścić kryjówkę. Jak się spodziewał, Khai omal nie postradał zmysłów. Chłopiec opowiadał mu potem, że zasnął i obudziły go łązące po nim szczury. Aby uchronić się przed ich ostrymi zębami, przełamał bochenek chleba na pół i rzucił jak najdalej od siebie. To jednak tylko pogorszyło sprawę. Kiedy bowiem szczury uporały się z jedzeniem, wróciły do niego po kolejną porcję i były przy tym jeszcze bardziej napastliwe. Wtedy, niemal w panice, wszedł między zwierzęta i podążył w kierunku zawalonego sufitu. Szczury, piszcząc niemiłosiernie, rozpierchły się po ciemnych tunelach i dziurach w ziemi. Chłopiec odzyskał równowagę. Odkrył, że póki będzie w ruchu, szczury nie będą mu dokuczać. Obszedł więc wszystkie korytarze dookoła. Ich wnętrza przypominały mroczną otchłań. Cudem nie zabłądził i trafił pod podłogę mieszkania Gomby, na krótko przed tym, jak ten odsunął kamień przykrywający wejście do kryjówki.

Chłopiec zwymyślał sobie od tchórzy i osłów za to, że bał się gromadki wyleniałych szczurów, podczas gdy czarnoskóry niewolnik ryzykował dla niego życie. Odetchnął z ulgą, kiedy mocne ręce Gomby wydobyły go z tego mrocznego grobowca pod podłogą. Chwilę potem usłyszał jego gardłowy głos:

- Brawo, chłopcze! Siedziałeś tam cicho jak mysz pod miotłą.

- Nie chcę słyszeć o myszach ani o szczurach - odburknął Khai drżąc.

- Rozumiem, rozumiem. - Pokiwał głową Gomba, poklepując chłopca po plecach. - Na szczęście jest już po wszystkim. Przykro mi, że musiałeś siedzieć tam aż tak długo chłopcze, ale nie było innej rady. W całej dzielnicy roilo się od węszących żołdaków. Mogą tu jeszcze wrócić, więc pozostaniesz w moim domu jeszcze przez tę noc. Jutro zabiorę cię stąd.

- Dokąd?

- Nad rzekę za miastem. Wkrótce, jeżeli dopisze ci szczęście, znajdziesz się daleko poza Khem. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. I jeszcze jedno, Khai.

- Słucham.

- Jeżeli złapią cię gwardziści, od tego, co im powiesz będzie zależało moje życie.

- Możesz być spokojny, czarny królu. Nawet nie wspomnę twego imienia. Choć z pewnością będą mnie przesłuchiwać, to jednak nie zrobią mi krzywdy. Faraon ma inne plany w stosunku do mojej osoby. Wymyślił dla mnie bardziej finezyjną torturę, między swoimi cherlawymi udami. Mówiłeś, że wszystko należyście przygotowalesz, więc moja ucieczka powinna się udać.

- To zależy tylko od tego, czy będziesz miał szczęście. A teraz, chłopcze, szybko ukryj się. - Widząc, jak Khai z przerażeniem spogląda na podłogę, szybko dodał: - Tym razem przygotowałem ci kryjówkę na strychu. - Wskazał ręką sufit. - Nad ranem robi się tam zimno, ale przynajmniej nie ma szczurów. To jedyne miejsce, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać, zanim zaśnieś. Mam dla ciebie wiele cennych wskazówek, które będziesz musiał wbić sobie do głowy. Wolę nie myśleć, co stanie się, jeżeli jutro cokolwiek przeinaczysz. Na początku powiedz mi, czy umiesz pływać?

- Jak ryba - odpowiedział Khai bez wahania.

- To dobrze, synu, bardzo dobrze. Przekonasz się o tym jutro, a tymczasem pokażę ci, jak wejść na krokiew...

Starając się jak najwięcej zapamiętać z tego, co mówił Gomba, Khai rozłożył się wygodnie na surowych deskach, łączących krokiew z sufitem pełnym pajęczyn, i zapadł w głęboki, zdrowy sen. Budził się jednak dwukrotnie, kiedy żołnierze znów nachodzili dom i dokonywali rewizji.

Zrzęczenie Gomby, że jutro nie pójdzie do pracy i osobiście powiadomi faraona o najściu na jego dom, tak się jednak dało gwardziście we znaki, że klnąc głośno, wynieśli się na dobre.

Nad ranem obudziły Khai poszturchiwania Gomby.

- Obudź się, chłopcze, i zejdź na dół. Mamy gościa.

Przeciągając się leniwie jak kocur na zapiecku, Khai spuścił w dół nogi, za które chwycił Murzyn, pomagając mu zejść.

Przybysz, o którym mówił Gomba, pochodził z Kush i był rówieśnikiem Khai. W momencie gdy Khai pojawił się w izbie, chłopiec,

szczękając zębami z zimna, rozbierał się do naga, a potem owijał kocem. Ibin zauważył też, że wejście do kryjówki pod podłogą było otwarte. Teraz Murzyn pomagał wejść tam chłopakowi z Kush.

Zanim jednak zakrył kamieniem dziurę w podłodze, Khai włożył w nią głowę i krzyknął w czarną czeluść.

- Dziękuję!

Gomba pośpiesznie zasypał ziemią i darniną szczeliny wokół kamienia i zapalił lampę.

W tym czasie Khai wciągnął na siebie rzeczy, które pozostawił przybylsz.

- Nie musisz owijać się tak szczelnie, bo zaraz obsypię ci sadzą twarz i włosy.

Zanim jednak to uczynił, wyciągnął z kieszeni kostkę węgla drzewnego i narysował „ankh” na czole Khai.

- Dla nich masz być zwykłym niewolnikiem.

Kiedy skończył, odsunął się nieco od chłopca i obrzucił go krótkim spojrzaniem.

- Niewolnik jak się patrzy. Może tylko za dobrze odżywiony. Czas na nas, chłopcze!

- Czy straż zatrzymała chłopca z Kush, w drodze do twojego domu, Gombo? - zapytał Khai, gdy wyszli na ulicę.

- Tak, i to nie raz. Tego się zresztą spodziewałem. Ci, co mnie budzili, ani na moment nie spuścili oczu z mojej chaty. Nie jest wykluczone, że nawet teraz nas obserwują. Wątpię jednak, aby próbowali nas zatrzymać. Wiedzą, że jesteś wyrostkiem z Kush, który przyszedł mnie obudzić i teraz idziemy, aby zagonić pozostałych niewolników do pracy.

Gomba mówił o setce mężczyzn, których wyznaczył do pracy w kamieniołomach w dole rzeki. Zostaną oni przetransportowani barką do drugiej katarakty, skąd, po obejściu wodospadu, zostaną zabrani na miejsca pracy następną barką. Jeżeli plan się powiedzie, do kamieniołomów powinno dotrzeć tylko dziewięćdziesięciu dziewięciu niewolników. Bez Khai, który bezpiecznie skryje się na drugim brzegu rzeki.

Khai nie był pierwszym, który próbował ucieczki. Niestety, udało się to tylko nielicznym; przede wszystkim tym, którzy znaleźli się w sporej odległości od granic Asorbes. Mogli wtedy skryć się w lasach lub na bagnach. Dla pechowców żołdacy faraona byli bezlitośni.

Nasadzali ich głowy na pale, które dla przestrogi umieszczano w dzielnicy niewolników.

Na śmiałków czyhały też inne niebezpieczeństwa, takie jak głodne krokodyle na moczarach czy jadowite węże wśród wysokich traw.

Szli bez słowa po pustych ulicach. Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca zaczęły rozświetlać niebo, stanęli przed domostwami niewolników i Murzyn, waląc pięścią w drzwi, zaczął wyczytywać nazwiska tych, których wyznaczył do pracy w kamieniołomach. Po chwili stu odzianych w łachmany mężczyzn powędrowało do centrum miasta, gdzie czekał na nich mały oddział złożony z sześciu żołnierzy. W ich towarzystwie pomaszzerowali czwórkami przez miasto do wschodniej bramy ozdobionej potężnymi arkadami.

To miała miejsce ta część planu, której Khai obawiał się najbardziej.

Otóż komendant straży przeliczał niewolników i sprawdzał ich ilość z listą Gomby. Dopiero gdy wszystko się zgadzało, zezwalał na otwarcie bramy.

Ku zaskoczeniu Khai, całą tę operację zaspany sierżant wykonał szybko i sprawnie, nie zwracając baczniejszej uwagi na twarze mężczyzn. Potem kazał otworzyć bramę i, zanim Khai się spostrzegł, byli już za potężnym murem okalającym miasto.

- Można wybaczyć sierżantowi, że niezbyt dokładnie sprawdził niewolników - wyjaśnił półgębkiem Gomba. - Biedaczysko przez całą noc nie zmrzył oka. Wzywano go bez przerwy do hulaków i awanturników. Ciekawe, kto ich nasłał pod bramę? - Gomba uśmiechnął się chytrze. W każdy razie był zmęczony. Spieszy się pewnie do swojej tłustej żonki, którą podejrzewa o to, że sypia z jego przełożonym. Zresztą, co nas to teraz może obchodzić, chłopcze? Najważniejsze, że opuściliśmy Asorbes!

IV

Barka z niewolnikami

Zanim wyruszyli w kierunku rzeki, musieli poczekać, póki strażnicy, którzy ich eskortowali, nie zostali zastąpieni kolejnym oddziałem dwunastu żołnierzy. Niewolnicy z łatwością nadążali za swoją eskortą, bo żołdacy byli wyczerpani całonocnym uganianiem się za awanturnikami, o których wspominał Gomba. Poruszanie ułatwiało im też to, że nie byli skuci łańcuchami ani związani liną; tylko wyjątkowy głupiec odważyłby się na ucieczkę w pobliżu Asorbes. Każdy z nich miał przecież na czole wypalony znak „ankh”, a w promieniu stu mil ziemi wokół miasta były zamieszkane przez wrogi im lud Khem. Ponadto czterech ludzi z eskorty należało do królewskiej gwardii łuczników i uciekający niewolnik byłby dla nich łatwym celem.

Gdy zbliżyli się do porośniętego palmami brzegu rzeki, poranna mgła rozrzedziła się i teraz z łatwością można było rozróżnić twarze poszczególnych niewolników. Khai był więc szczęśliwy, że dotarli na miejsce.

Barka, którą mieli płynąć, stała nieruchomo przy kamiennym nabrzeżu. Jej wysoka burta powoli wylańiała się z mleczno-białej mgły.

Niewolnicy weszli na pokład niemalże w marszu i rozsiedli się na drewnianych ławach ustawionych przy burcie. Chwilę potem na pokładzie pojawił się kapitan.

Menon Phadal, mężczyzna o niebywalej tuszy i ponurym wyglądzie strażnika więziennego, pochodził z Khem. Jego małe, świńskie oczka badały uważnie pasażerów odzianych w lachmany. Nie odrywając od nich wzroku, usiadł ciężko na swojej kapitańskiej ławie przy głównym maszcie.

- A gdzie są kobiety, Gomba? - zwrócił się do króla niewolników. - Mam ochotę zabawić się podczas podróży.

- Wybacz mi, panie, ale tym razem nie przyprowadziłem żadnej niewiasty. W następnym tygodniu przyjadę z kilkoma smakowitymi ślicznotkami. Masz moje słowo, panie - odparł Gomba i zaraz dodał

pod nosem: - Niedoczekanie twoje, ty tłusta świni! Chyba, że dam ci tę dziewczynę z Syry.

Dziewczynę, o której wspomniał Gomba, rok temu zgwałciło trzech ludzi zajmujących się balsamowaniem zwłok. Napadli na nią w środku nocy i kiedy rano znaleziono ją w krzakach, była ledwie żywa i plotła bez sensu. Jak się później okazało - postradała zmysły. Zresztą nawet lepiej, że tak się stało, bo jurni specjaliści od owijania truposzy bandażami zarazili ją syfilisem. Cała była w strupach, ale Gomba był pewien, że Phadał nie zauważy tego w swojej mrocznej kabinie. Podobnie jak nie przeszkodzi mu zapewne chichot i paplanina dziewczyny. Choroba na pewno ostudzi jego niecne żądze, a kiedy krosty pokryją tłuste ciało jego kłótniwej żony, życie zbrzydnie mu do reszty!

- Tylko nie zawieź mnie, Gomba! - zawołał kapitan.

- Masz moje słowo, panie. - Gomba wyszczerzył zęby w uśmiechu i obrzucił wzrokiem żołnierzy, którzy wybierali wachtowych. Wkrótce pechowcy, przeklinając los, rozsiedli się na dziobie.

Mimo że strażników było zaledwie trzech, byli oni jednak w stanie upilnować tak wielu niewolników. Każdemu z setki mężczyzn za pomocą grubego łańcucha z brązu przymocowano kamień ważący dobre dziewięć, dziesięć funtów. Tylko szaleniec próbowałby uciekać z takim łańcem przymocowanym do stóp.

Zanim kapitan nakazał odpłynąć, pokład przemierzył krępy sternik, by sprawdzić, czy kajdany są na swoim miejscu. Do pasa miał przywiązany klucz zwalniający zamki łańcuchów, ale używał go tylko wtedy, gdy podróż dobiegała końca.

Gdy zakończył obchód, pokazał kapitanowi linię horyzontu rozświetloną promieniami słońca. Była to już najwyższa pora, by odpłynęli.

- Odczep barkę, Gomba! - rozkazał Phadał, a Murzyn posłusznie zdjął cumy z pali i rzucił je na pokład.

W tym czasie niewolnicy siedzący najbliżej prawej burty pochylili głowy, aby uniknąć bolesnych razów bata strażnika.

- Powstać, łachmaniarze! - huknął strażnik. - Bierzcie się do wiosłowania. Tylko, żeby niektórzy nie wylądowali za burtą - zaśmiał się złośliwie i raz jeszcze strzelił batem.

Niewolnicy unieśli w górę długie żerdzie leżące dotąd pod masztem i powoli odpychali łódź od kamiennego nabrzeża. Sternik zaś ujął w dłonie potężny drążek i zaczął kierować barką wzdłuż nurtu rzeki. Żagli użyją dopiero w drodze powrotnej.

Khai usiadł pod sterburta, a raczej został tam wciśnięty przez młodego Nubijczyka z blizną na twarzy, który mrużąc znacząco oko, przymocował kamień do jego stóp.

Większość z niewolników była już nie raz w kamieniołomach i dobrze wiedzieli, co należy do ich obowiązków. Przede wszystkim zwracali baczna uwagę na te szczegóły, które w przyszłości pomogą im odzyskać wolność.

Przykładem tego był fałszywy bolec mocujący łańcuchy do stóp Khai.

„Oby to było prawdą - pomyślał chłopiec - bo jeśli nie, to ryby w Nilu będą miały zaraz niezłą wyżerkę.”

Kiedy byli już na środku rzeki, Khai odruchowo dotknął mosiężnego bolca. Wiedział, że aby go usunąć, musi mocno wykręcić stopy i szarpnąć. Odetchnął z ulgą. Kamień był niezwykle ciężki i z pewnością wyciągnąłby go na dno, gdyby nie udało mu się w porę od niego uwolnić.

Musiał wyskoczyć za burtę razem ze swoim kamieniem balastem, aby kapitan i strażnicy myśleli, że utonął.

Już chyba po raz setny powtórzył w myślach cały plan ucieczki. Po drodze powinni napotkać trzy małe kępy połamanej trzciny. Będą dryfowały na powierzchni wody, ale spłyną w dół rzeki, ponieważ będą przytwierdzone linami do dna. Trzecia kępa kształtem będzie przypominać okrąg. Khai musi cierpliwie zaczekać, aż barka zbliży się do niej, i wtedy dopiero powinien wyskoczyć.

Gdy znajdzie się pod wodą, musi pozwolić, aby kamień wciągnął go głębiej, a następnie powinien się od niego uwolnić i wypłynąć dokładnie w środku okręgu trzcin, które zasłonią go przed oczyma strażników z barki. Będzie musiał poczekać w tej nietypowej kryjówce, póki nie przepływie barka Mhyny.

W tym czasie barka z niewolnikami zbliżać się będzie do drugiej katarakty. Dla kapitana Phadala będzie w tym momencie już tylko zwykłym ścierwem dla ryb i krokodyli.

Chłopiec wzdrygnął się, widząc grzbiet olbrzymiego krokodyla drzemającego niedaleko brzegu.

Tak doskonale obmyślony plan Gomby niósł jednak pewne ryzyko, o którym Khai starał się za wszelką cenę zapomnieć.

Wilgotna biała mgła unosiła się nad powierzchnią wody. Przypominała kępki waty porozrzucane wokół łodzi. Barka płynęła powoli, prawidłowo reagując na ruchy steru.

Zerwał się łagodny wietrzyk, który zapewne wkrótce przepędzi mgłę, ale do tego czasu Khai powinien już opuścić barkę.

Chłopiec nie spuszczał oczu z zielonej tafli, wypatrując okręgu z trzciny. Napinał też mięśnie nóg, zastanawiając się, czy zdoła przejść wraz z kamieniem ponad wysoką burtą. Tak był pochłonięty własnymi myślami, że nie zauważył niewolników rozmawiających szeptem, ani też nie zwrócił uwagi na strażników kłócących się przy dziobie. Widział tylko ogromną postać kapitana, który siedział na mostku z głową nisko zwieszoną. Barka wraz z załogą przypominała ociężałego gada.

Jedyną osobą, która zachowywała czujność był sternik. Strażnicy zaś byli tak zajęci sobą, że mógłby ulotnić się z łodzi w każdej chwili. Poza tym zasłaniał go przed ich wzrokiem gruby maszt.

Wyrwała go z zadumy gęsta kępa dryfujących na wodzie trzciny. Zataczały koło, ale nie odpływały w dół rzeki. Zanim zdołał ochłonąć, dojrzał kolejną kępę. Ta znajdowała się nieco bliżej brzegu; jakies czterdzieści, pięćdziesiąt stóp od burty. Aby dojrzeć kolejną, trzecią kępę, Khai uniósł się z ławy.

- Ty tam! - krzyknął sternik. - Siadaj! Bo jeszcze wypadniesz za burtę!

Khai kątem oka widział strażnika, który badawczo mu się przyglądał. Kapitan Menon Phadal biegł po drewnianym mostku, wymachując łapskiem w jego kierunku.

- Przytrzymajcie go! - zagrzmiął.

- Hej, wy tam, niewolnicy, przytrzymajcie chłopaka, bo zaraz skoczy do wody!

W tym momencie Khai dojrzał wreszcie zbawczy okrąg z trzciny. Kołysała się na wodzie o dobre siedemdziesiąt stóp od łodzi. Niewolnicy zrobili zamieszanie, udając, że próbują zatrzymać chłopca. I wtedy Khai usłyszał szept Nubijczyka z blizną:

- Skacz, chłopcze! Na co czekasz?

Porwał ciężki kamień, jakby to było piórko, i skoczył w zieloną, piniącą się otchłań.

Gdy tylko poczuł na skórze znajomy chłód wody, zaczął gorączkowo uwalniać się od zbędnego kamiennego balastu. Przez cały czas zmagania z głazem nurt rzeki obracał chłopca. Khai za wszelką cenę próbował utrzymać równowagę i nie stracić poczucia kierunku.

Los jednak mu sprzyjał, bo nagle, pod wpływem kolejnego szarpnięcia, boleć pękł, uwalniając stopy od niebezpiecznego ciężaru.

Stało się to niemal w ostatniej chwili, gdy Khai dotykał stopami błotnistego dna. Ostatnim wysiłkiem woli odbił się od niego i poszybował w górę. Mimo że płuca domagały się dramatycznie niezbędnej do życia porcji tlenu, chłopiec postanowił nie wypływać na powierzchnię jeszcze przez kilka sekund. Pragnął, aby barka odpłynęła jak najdalej od miejsca zanurzenia.

Nieoczekiwanie jego dłonie natrafiły na linę mocującą znajomy krąg szuwarów do dna.

Khai powoli posuwał się w górę liny, póki nie wynurzył się wśród płataniny liści bambusowych do skórzanego worka wypełnionego powietrzem, dzięki któremu cała konstrukcja utrzymywała się na wodzie.

Khai resztkami sił przywarł do worka i rozsunął delikatnie okalające jego głowę trzciny. Barka z niewolnikami odpłynęła już na znaczną odległość, ale chłopak słyszał każde słowo niesione przez wodę.

- Kim był ten wyrostek? Dlaczego skoczył? - Gromkim głosem pytał Menon Phadal.

Odpowiedział mu niewolnik z blizną:

- Chłopak postradał zmysły, panie. Nie miał rodziny i pewnie dlatego targnął się na swoje pieskie życie.

Potem barka rozplynęła się we mgle i Khai nie słyszał już nic prócz plusku wody.

V

Mhyna

Barka Mhyny była niezwykła. Kształtem przypominała łódź służącą do przewozu niewolników, ale była od niej o wiele mniejsza.

Szeroka, a jednocześnie płytka - na wodzie przypominała liść o zawiniętych brzegach. Mimo niespotykanego wyglądu nadawała się do żeglowania jak mało która. Lewa burta i trzciniowe pomosty na sterburcie były przymocowane do kija wykonanego z pojedynczego, niezwykle grubego pala, który z kolei przytrzymywał centralny maszt z łańciskim żaglem.

Z dużego pierścienia z brązu umieszczonego na szczycie masztu rozchodziło się z tuzin naprężonych lin przymocowanych do okrężnie przy burtach.

Barka była tak skonstruowana, żeby towar po załadowaniu ciasno przylegał do boków i dna.

Kiedy Khai, leżąc na krokodylich skórkach między dzbanami wypełnionymi oliwą i dzikim miodem, spoglądał w górę na płataninę lin, łódź kojarzyła mu się z pajęczyną monstrualnego pająka. To wyobrażenie nie pasowało do właściciela barki - Mhyny: śniadolicej dziewczyny o prostych, ciemnych włosach i lekko skośnych, śmiejących się oczach. Miała wyjątkowo długie i zgrabne nogi.

W żyłach Mhyny płynęła krew kilku ras. Mimo że urodziła się w Khem, było w niej coś ze wschodu, jak i z obszarów porośniętych dżunglą na południu.

Była żeglarką z krwi i kości; znać to było po sposobie poruszania ciężkim sterem, który w jej rękach przypominał lekkie piórko.

Zapewne znawcy żeglowania z przyszłych stuleci bez wątpienia zaprzeczą istnieniu podobnej łodzi, a już na pewno temu, że pływała za pomocą żagla, którym ród Mhyny posługiwał się od przeszło czterystu lat. Oni jednak będą twierdzili, zgodnie zresztą z posiadanymi

dowodami, że żagla zaczęto używać dopiero po zjednoczeniu Egiptu, za panowania faraona Menesa.

- Czy widać jeszcze mury Asorbes? - Khai zapytał dziewczynę po długim, niemal godzinnym milczeniu; to jest od momentu, kiedy zabrała go na pokład swojej łodzi i przykryła skórą z krokodyli w obawie przed nieproszonymi gośćmi.

Mhyna udawała, że nie słyszy pytania. Ustawiła ster w pozycji neutralnej i przywiązała go liną do sterburty. Potem przemknęła jak kot po pomoście i stanęła w dużym rozkroku nad pasażerem na gapę. Patrzyła na Khai dużymi brązowymi oczyma, pełnymi kobiecej przekory. Chłopiec udawał, że nie patrzy na wąski skórzany pasek między udami, który krył gęste włosy na łonie. Zwrócił uwagę na ten pasek, gdy podmuch wiatru uniósł do góry jej krótką spódniczkę.

W porównaniu z innymi dziewczętami z Khem, które starały się odsłonić swoje ciało, Mhyna z zakrytymi piersiami wyglądała niemalże skromnie.

Na czole miała przewiązaną różową przepaskę z tego samego materiału co żagiel. W uszach tkwiły duże złote kolczyki. Paznokcie bosych stóp miała pomalowane na czerwono. Do złudzenia przypominała pirata z Wielkiego Morza.

- Leż spokojnie, mój mały - odezwała się w momencie, gdy próbował wstać i rozprostować kości. - Żołdacy faraona przeczesują brzegi. Ciekawe, kogo szukają?... Pewnie ciebie, co? - Przyjrzała się uważnie brzegom rzeki. W pewnej chwili pomachała jakiejś niewidzialnej postaci w trzcinach i powiedziała do Khai:

- Jeżeli pozdrawiam ich przyjaźnie, to schodzą mi z drogi.

Kiedy jednak chłopiec uniósł nieco tułów, aby przyjrzeć się im, odepchnęła go, kładąc mu stopę na klatce piersiowej.

- Nie podnoś głowy, mój mały, bo będzie z nami źle, kiedy cię zauważą.

Khai nie wiedział jeszcze, że Mhyna żartowała sobie z niego. Na brzegu nie było żywego ducha, prócz pastucha, który otworzył szeroko usta, zastanawiając się, kim jest dziewczyna, która pozdrawiała go przed chwilą.

- Dlaczego mi pomagasz? - zapytał Khai po chwili.

W odpowiedzi Mhyna przywarła plecami do masztu i kręcąc pojętnie biodrami, jeszcze szerzej rozstawiła nogi.

- Mam dwóch braci, którzy służą w piramidzie - odparła, - W drodze z Wad-Gahar spotkałam niewolników, którzy przynieśli mi wieści od nich razem z łukiem i strzałami dla ciebie. Ponieważ oni mi pomogli, teraz ja im się odwdzięczam.

- Twoi bracia są więc mordercami!

- Nie! - krzyknęła, ale po chwili spokojnie dodała: - Przypuszczam, że są członkami gwardii, i zapewne można by było ich tak nazwać. Oskarżono ich o to, że sypiali z córką pewnego dostojnika i, co gorsza, że nosi ich dziecko.

- Ich obu dziecko? - Khai uniósł brwi ze zdziwieniem.

Mhyna wzruszyła ramionami.

- Ta głupia gęś nie wiedziała, który z nich jest ojcem, więc oskarżyła obu. Ponieważ żaden z nich nie chciał pojąć jej za żonę, obaj zostali wtrąceni do lochów. Może wypuszczą ich niedługo za dobre sprawowanie - zaśmiała się. - Oni i dobre sprawowanie! Synowie Eddis Ihirra, największego łajdaka w okolicy, mieliby przypominać łagodne baranki.

- Eddis Ihirra? - Khai spojrzał pytająco na dziewczynę.

- To mój słodki tatulek. Jedyne co odziedziczyliśmy po nim, to krew. Burzy się na widok portek lub ponętnych tyłeczków. Wiesz, co mam na myśli?

- Nie - przyznał szczerze Khai. - Nie wiem, o czym mówisz.

- To ci dopiero - przechyliła filuternie głowę. Wiesz, prócz tych w lochach, mam jeszcze czterech braci i dwie siostry. Jedyne, co wiem o braciach, to to, że są starsi ode mnie, a o siostrach, że są mężatkami i mają furę dzieciaków. Dwaj bracia budują piramidę Khasathuta, zaś dwaj uganiają się za jego wrogami. Dam sobie jednak głowę uciąć, że wolą krótkie spódniczki i długie nogi dziewcząt z Khem.

- A więc są żołdakami faraona?

- Cztery lata temu zostali siłą wcieleni do armii, gdy uczyli się zawodu.

Khai znowu poruszył się, próbując oprzeć się o wręg kila.

- Nie ruszaj się! Przecież ostrzegałam, że mogą cię zauważyć żołnierze.

- Pozwól mi obrócić się na drugi bok - poprosił chłopiec. - Coś mnie ugniata w plecy. Och! Teraz lepiej - odetchnął Khai i przykrył się skórą.

- Nie rozumiem, dlaczego jest ci tam niewygodnie? - zapytała. - Może jest ci zimno? Jesteś jeszcze mokry?

Wsunęła stopę pod jedną ze skór, którą był przykryty, i uniosła ją nieco do góry.

- Niech cię słońce trochę ogrzeje.

Przyglądała się ciału chłopca, wydymając wargi i opierając się plecami o maszt.

- Jesteś taki blady - powiedziała. - Ale podobają mi się twoje oczy. Są takie tajemnicze. Wiesz, że nigdy jeszcze nie widziałam niebieskich oczu?

Khai poczuł się nagle nieswojo. Dziewczyna niedwuznacznie kpiła sobie z jego młodego wieku. Przecież sama nie miała więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat i była niższa od niego.

- Złócisz się na mnie, mój mały przyjacielu? - zapytała Mhyna, widząc, jak Khai gniewie zaciska zęby. Czyżbym powiedziała coś nie tak?

Tego już było za wiele.

- Nie jestem wcale taki mały! - wybuchnął Khai. - Nie jestem też twoim przyjacielem. Gdybym był szczeniakiem, za jakiego mnie uważasz, nie uciekłbym z piramidy i nie poprzysiągłbym faraonowi zemsty. Powiem ci jeszcze coś: w całym Khem nie ma drugiego lepszego ode mnie łuczника. Nie wspomnę już o śmiałku, który zjechałby w dół po ścianie piramidy!

- To ci dopiero śmiałek - kpiła dziewczyna. - Pewnie dziewczyny tęsknią za tobą, łuczniku? A może nawet leją ogromne łzy na swoje białe puchowe poduszki, Khai, bohaterze, który zjechałeś w dół piramidy, nie raniąc sobie przy tym tyłka.

- Jakie dziewczęta? - zapytał, oblewając się nagle purpurowym rumieńcem.

- No, chyba masz dziewczynę, z którą zabawiasz się od czasu do czasu? - zapytała. - Najwyższa pora! Masz już prawie szesnaście albo siedemnaście lat.

- Siedemnaście - skłamał. - I śpiam z dziewczętami.

- No cóż - odparła, kręcąc biodrami i unosząc połę jego przydługiego kaftana. - Jesteś wysoki i na pierwszy rzut oka wyglądasz na siedemnaście lat. Masz mocne nogi i pewnie to samo myślisz o moich. - Uśmiechnęła się zalotnie, widząc, jak chłopiec nie może odebrać oczu od wąskiego paska widocznego pomiędzy jej szeroko rozstawionymi nogami.

Napięła pośladki i mięśnie ud, aby rzemień głębiej wpił się w gęste włosy na jej łonie. Potem delikatnie wsunęła stopę pod kaftan chłopca, badając, czyjej zabiegi zrobiły na nim wrażenie.

Uśmiechnęła się, zadowolona z tego, co wyczuła pod stopą.

- Nie ruszaj się! - szepnęła, oglądając się nerwowo ze siebie. - W naszą stronę płynie ogromna łódź z żołnierzami na pokładzie.

Po tych słowach wskoczyła do niszy, w której leżał, i położyła się na nim, naciągając na plecy miękką krokodylą skórę.

- Nie próbuj nawet drgnąć - ostrzegła szeptem.

Khai wstrzymał oddech. W ciszy, jaka zapanowała, słyszał tylko bicie własnego serca. Przed oczyma przewijały się obrazy, jakich był świadkiem w ostatnim czasie; egzekucji rodziców i późniejszych okropności, jakie miały miejsce w komnacie zaślubin.

W pewnej chwili poczuł dłoń Mhyny, która niczym głowa węża wiła się wokół jego uda. Gdy wpiła palce w krocze chłopca, Khai aż podskoczył, uderzając głową o gliniany gar z olejem.

- Kazałam ci się nie ruszać - zachichotała. - Bo usłyszą nas żołnierze faraona.

Jeszcze przez moment zastanawiał się, czemu miało służyć delikatne uciskanie jego podbrzusza. Po chwili jednak poczuł uderzenie krwi do głowy i nagłym ruchem odsłonił twarz dziewczyny. Patrzyła na niego błyszczącymi oczyma, powtarzając w kółko: żołnierze już nadchodzą!

Khai wiedział, że nie ma żadnej łodzi. Drżąc na całym ciele, uniósł się na łokciach. Po chwili przewrócił się na bok, wsuwając dłoń między uda Mhyny. Miał wrażenie, że za moment młodzieńcze pożądanie rozsądzi jego ciało. Zanim jednak dotknął palcami jedwabistych włosów na łonie dziewczyny, jego ciałem wstrząsnęła potężna fala słodkiej rozkoszy i, ku zdziwieniu Mhyny, nastąpiło spełnienie. Khai krzyknął i bez tchu upadł na skóry.

Mhyna wstała powoli i wytarła dłoń o połą spódnicy.

- Nigdy jeszcze nie miałeś kobiety, prawda? - zachichotała.

Chłopcem nadal wstrząsały dreszcze. Nakrył swoje nagie ciało skórą i odwrócił głowę.

- Nie gniewaj się na mnie, Khai. - Mhyna uklękła i ujęła jego twarz w swoje dłonie. - Nie mam do ciebie żalu. Zawsze zastanawiałam się,

jakie to uczucie kochać się z prawiczkim. Nie przejmuj się, za moment znowu będziesz gotów i wtedy spróbujemy jeszcze raz. Na razie odpoczywaj.

Sprawnym ruchem ręki pchnęła potężny drążek steru i dziób barki znalazł się na wysokości kilku małych wysepek porośniętych wysokimi trzciniami papirusa.

Po chwili łódź przybiła do brzegu jednej z nich i otarła się sterburką o zwisające gałęzie wierzby.

Leżąc w chłodnym cieniu drzew, Khai przyglądał się z zaciekawieniem, jak dziewczyna nakryła łódź gałęziami i trzcina, osłaniając ją przed wścibskimi oczyma żeglarzy.

Nie odczuwał już palącego wstydu, kiedy nachyliła się nad nim. Mhyna uśmiechnęła się łagodnie. Jej włosy prześwieślały złote promienie zachodzącego słońca.

- Nie musisz się już niczym martwić, mój mały. - Usłyszał łagodny szept. - Tutaj jesteśmy bezpieczni.

Khai wstał bez słowa i podszedł do skór, które Mhyna wyjęła z kryjówki na barce. Następnie z tuzinem krokodylowych okryć wrócił pod wierzbę i umościł z nich przytulne gniazdko dla dwojga. Potem położył się nagi, patrząc dziewczynie odważnie w oczy. Brązowe źrenice Mhyny zwęziły się raptownie, upodabniając się do kocich oczu. Takie też były ruchy jej ciała, gdy zdejmowała z siebie odzienie. Potem nagie ciało oblała oliwą z garnca i wcierała ją w skórę, póki nie nabrała blasku. Wtedy też spojrziała na Khai i śmiejąc się, powiedziała:

- Miałam rację, co mały? Wkrótce będziesz gotów, aż miło popatrzyć.

Po chwili zbliżyła się i usiadła mu na udach, ściskając nogami biodra. Khai uniósł ramiona i objął dłońmi jej nabrzmiałe piersi. Mhyna nachyliła się, aby mógł ją pocałować. Ich ciała zwarły się w miłosnym uścisku.

VI

Rozstanie z Mhyną

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy Mhyna rozwinęła żagiel i opuścili swoją kryjówkę pod wierzbami. Przez te kilka godzin Khai poznał wiele tajników sztuki kochania.

Mhyna bowiem była mistrzynią w miłosnych zmaganiach.

„Dziwny jest ten chłopiec - myślała. - Ma błękitne oczy i cudowne ciało, które jest zarazem takie silne.” Przeciągnęła się z rozkoszą na wspomnienie niedawnych uniesień.

Za drugim razem Khai nie był już tak spięty. Szybko pojął ile przyjemności daje zbliżenie z kobietą. Nogi chłopca obejmowały jej biodra, a ręce pieściły błyszczące piersi. Na krótko przed spełnieniem, mimo że bronił się zawzięcie, wzięła do ust jego męskość i wypuściła ją dopiero wtedy, gdy opadł na krokodylowe skóry w miłosnych konwulsjach. W chwilę potem, wyczerpany przeżyciami, zasnął.

Dziewczyna niepokoila się, czy chłopiec poradzi sobie, kiedy za kilka godzin wysadzi go na brzeg w pobliżu Phemar. Było to małe miasteczko leżące na wschodnim brzegu Nilu.

Cel tej podróży nie był przypadkowy, ponieważ na łodzi brakowało wielu produktów spożywczych, które zamierzała zakupić w tamtejszych magazynach. Jednak nie mogła pójść tam razem z Khai, byłoby to zbyt ryzykowne. Miasteczko bowiem roilo się do rekrutów i żołnierzy, a widok młodego chłopca z pewnością przyciągnąłby ich uwagę. Musiała więc wysadzić go jakieś dwadzieścia mil przed miastem, gdzie będzie mógł szukać schronienia w gęstym lesie.

Od pewnego czasu na tereny te zapuszczają się wrogie oddziały wojowników z Kush i zarówno w Phemar, jak i w przyległych miasteczkach nad rzeką stacjonują duże kontyngenty armii faraona. Były to te oddziały, których Khai nie widział podczas parady. Na rozkaz Khasathuta mogło ich tu być dziesięć razy więcej. Mógł przecież wcielić do armii wszystkich bez wyjątku: kobiety, mężczyzn i dzieci.

Na razie jednak nie istniała taka potrzeba. Nie było armii silniejszej i potężniejszej.

Wiedzieli o tym władcy przyległych krajów i woleli unikać konfliktów z mocnym sąsiadem.

Jedynym cierniem w oku faraona było Kush, zamieszkałe przez rosłych wojowników, którzy na swoich rączych koniach, zapuszczali się aż po najdalej wysunięte strażnice faraona. Mówiono nawet, że Melebrin, dowódca armii i głowa państwa, szykuje wielką ofensywę na zachodnie ziemie Khem. Zwiastunem złych dla Khasathuta wieści były coraz częstsze ataki partyzantów Melebrina na forty w tamtej części kraju.

Napadano też w nocy, podczas snu, lub wtedy, gdy żołnierze odpoczywali przy ogniskach. A przecież dotąd te tereny były całkowicie bezpieczne!

Zaatakowano strażnicę w Peh-il. Po Kurag-forcie przy wielkich bagnach pozostały tylko kamienie. Drogi łączące Khem z Darot i Siwad również przestały być oazą spokoju. Khasathut był przekonany, że za tym wszystkich krył się Melebrin i jego hordy wojowników na koniach. Z tego też powodu do portów Phemar i Peh-il bez przerwy zawiąły łodzie, przywożąc coraz to większe posiłki wojska, które później podążało łądem do fortów w Tanos, Bhirra, Pethos i Afallah. Powszechnie sądzono, że tym razem Khasathut zamierza zadać Kush cios ostateczny.

Khai zamierzał wędrować na południowy wschód. Bał się wojowników z Kush. Było to poniekąd zrozumiałe, bo przecież byli oni przedstawicielami wrogiego kraju.

Po zejściu na łąd planował przedrzeć się przez dwieście mil gęstej dżungli i lasów do miejsca, gdzie rzeka płynie ze wschodu na zachód. Tam też, nad czwartą kataraktą, przejdzie granicę łączącą Khem z Nubią. Zgodnie z tym co utrzymywał Adonda Gomba, nieustępliwa postawa króla N'jakki burzyła sny faraona o zjednoczonym imperium.

N'jakkko był młodym, silnym i niezwykle upartym człowiekiem. Dlatego też z pewnością nie przymknałby oczu na tragiczny los swojego ludu pod jarzmem faraona, gdyby nie obawa przed jego armią.

Wiadomo było też, że gdyby Khasathut zdecydował się na potyczkę z Nubijczykami, miałby trudny orzech do zgryzienia. N'jako postaralby się o to.

Po przejściu granicy, Khai miał schronić się w Abu-han, gdzie Gomba miał wielu przyjaciół. Czy jednak tam dotrze, czas pokaże.

- Khai - szepnęła Mhyna, potrząsając chłopca za ramię.

On już nie spał. Obudziło go drżenie kila, kiedy dno łodzi otarło się o kamienne nabrzeże. Otrząsnął się z resztek snu, w którym kwiląc niczym ptak, leciał wysoko nad stromymi górami i dzikimi turniami.

Khai uniósł wysoko głowę i wyjrzał za burtę. Wyboista plaża kończyła się zaledwie kilka stóp od nich, przechodząc w łachę zlocistego piasku. Przed nimi rozciągało się potężne rozlewisko z mnóstwem małych wysepek porośniętych wierzbami i wysoką trzcina papirusa. Jedna z nich tak bardzo przypominała tę, na której spędził z Mhyną kilka godzin wypełnionych słodką rozkoszą, że jej wspomnienie znów pogrążyło go w błogim śnie.

- Wstań, kochanie. Czas na ciebie. - Usłyszał znowu słodki głos Mhyny.

Chłopiec przetarł oczy i spojrzął na dziewczynę, która nie przypominała wcale doświadczonej nauczycielki miłości, z jaką miał do czynienia wcześniej. Uniósł dłoń i dotknął jej uda. Chciał sięgnąć wyżej, ale stanowczo odsunęła jego rękę, mówiąc:

- Daj spokój, mój mały! W dole rzeki widziałam łodzie należące do... prawdziwych żołnierzy. Zaraz mogą tu przy płynąć, więc bierz swoje rzeczy i jak najszybciej schroń się w przybrzeżnych krzakach.

Khai nie wierzył własnym uszom. Kobieta, która oddała mu swoje ciało, a on zdążył ją pokochać, okazuje się być bez cienia serca, każąc mu wynosić się z bezpiecznej łodzi.

- Pewnie już nigdy się nie spotkamy - powiedział ze ściśniętym gardłem.

Dziewczynie widocznie zrobiło się żal, bo uklękła i pocałowała go czule w usta. Jednak powstrzymała go, kiedy próbował dotknąć dłońmi jej piersi.

- Khai, Khai! - mówiła, potrząsając jego głową. - Potraktujmy nasze spotkanie jako przelotną przygodę. Zrozum, że na razie nie możemy sobie pozwolić na nic więcej. Grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo i musisz uciekać!

Odwrócił gniewnie twarz i rzekł:

- Mój ukochany sokole, leć pod niebiosa. Przynies mi gałązkę mirtu...

- Och! - przerwała mu zaskoczona i odrzuciła włosy do tyłu.

- Jesteś poetą, mój mały?

W odpowiedzi jednak usłyszała:

- Położę ją sobie na piersi i będzie przypominać mi ciebie...

- Wiele bym dała, żeby zatrzymać cię przy sobie, ale wierz mi, nie mogę. Skąd znasz te słowa?

- Należą do pewnego mędrca - odparł. - Nie jest to jednak początek wiersza, lecz pieśni.

- Mojego Khai - dodała śmiejąc się.

- Nie... Mądrego króla.

- Króla?!

Khai zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie, jak się ów mądry król nazywał. Na próżno. Pamięć uparcie odmawiała posłuszeństwa. Czuł też, że nie będzie mu łatwo rozstać się z Mhyną. Była ostatnią z nici łączących go z Khem.

Nagle wstał i rzucił się na dziewczynę, przyciskając ją do masztu ciężarem swojego ciała. Potem ukląkł i całował jej brzuch, przyciskając rozpalone usta do zgrzebnego materiału spódnicy.

- Chodź ze mną do Nubii, Mhyno, i zostań moją kochanką! - prosił.

Dziewczyna spoglądała na Khai z niedowierzaniem.

- Czyżbyś zakochał się we mnie? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy. Widząc, że je wstydliwie chowa, dodała: - A co mam począć z moim mężem i z jego dzieckiem, które noszę w łonie?

Powinnam pozbyć się obu i rzucić się w twoje ramiona?

- Mężem? - Khai powoli wstał. - Dzieckiem?! - powtórzył, patrząc na zaokrąglony brzuch.

- Jeszcze tak bardzo nie widać - pogłaskała brzuch. - Ale moje maleństwo jest tam na pewno.

- Mąż... - powtórzył głucho, potrząsając głową z niedowierzaniem.

- Jest dużo starszy ode mnie - wyjaśniła. - I dobrze się ze mną obchodzi. To wspólnik mojego ojca.

Nie odezwał się słowem, tylko wpatrywał w Mhynę. Objęła jego twarz chłodnymi dłońmi.

- Pragnęłam, abys przeżył ze mną chwilę rozkoszy, mój mały. Nie chciałam ci łamać serca, a jedynie uwieść cię.

- Moje serce nie jest aż tak kruche! - odparł, odsuwając się od niej raptownie. Potem włożył na plecy kołczan ze strzałami, wziął do ręki łuk i bez słowa pożegnania ruszył w kierunku wysokich trzcin.

- Khai! - zawołała Mhyna, ale zaraz umilkła.

W pierwszej chwili chłopiec nie zareagował na głos dziewczyny, ale po chwili, przed wejściem w gęste zarośla na brzegu, odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Będiesz pamiętał o mnie?! - krzyknęła.

Pokiwał twierdząco głową, mimo że w jego oczach widoczny był gniew.

Mhyna ustawiła żagiel pod wiatr i barka zaczęła powoli dryfować na głębszą wodę. Chłopiec pragnął pomachać jej na pożegnanie, życzyć jej wszystkiego najlepszego, ale urażona duma nie pozwoliła mu na to.

Po chwili łódź zniknęła za zakrętem i pozostały po niej tylko niewielkie fale.

CZĘŚC SZÓSTA

I

Niewolnicy

Już tego samego dnia obraz Mhyny zdawał się zacierać w pamięci chłopca. Wprawdzie czuł jeszcze zapach jej błyszczącego ciała, ale mimo wysiłku nie mógł sobie przypomnieć jej twarzy. Wziął to za dobrą monetę. Jego gorące uczucia zaczynały tracić swoją moc.

Teraz jedynym zmartwieniem było pokonanie jak największej połaci lasu. Szło mu się nieźle, skoro od opuszczenia barki Mhyny przeszedł dobre dziesięć mil.

W lesie panowała niczym niezmacona cisza. Drzewa spowijała mgła, wyglądająca niezwykle tajemniczo na ciemnym tle gąszczu. W konarach drzew roilo się od ptactwa, które z furkotem podrywało się do góry, gdy nadchodził.

Idąc przez las, kierował się położeniem słońca. Starł się, aby przez cały czas świeciło mu w plecy.

W pewnej chwili Khai uległ dziwnemu złudzeniu. Nagle wydało się, że stoi na wysokiej wydmie, a pod stopami śmigają mu zielone jaszczurki. Gdy zmrużył oczy, widział ogromną ilość złotego piasku zasypującego las. Przestraszył się nie na żarty. Zastanawiał się, czy złudzenia się są efektem jakiejś choroby, której być może nabawił się w domu Gomby.

„Najlepszym wyjściem jest udawać, że niczego nie dostrzegam - pocieszał siebie. - Może dzieje się tak dlatego, że obecne poszycie lasu było przed wiekami ogromną pustynią.”

W pewnym momencie jego rozmyślenia przerwał podejrzany krzyk. W pierwszej chwili sądził, że było to głośne kwilenie dużego ptaka. Z czasem doszedł jednak do wniosku, że wysoki ton głosu i natężenie nie należało do żadnego ze znanych mu osobników ptasiego świata.

Powoli zbliżył się do źródła tych dziwacznych odgłosów. Po krótkiej przerwie ciszę przeciął przeraźliwy krzyk, a po nim usłyszał głucho trzask i znowu coś lub ktoś zawył głosem pełnym bólu.

Kilka minut później dotarł do polany. Ostrożnie rozsunął gałęzie leszczyny i zamarł z przerażenia.

Na gałęzi drzewa stojącego na środku polany wisiał młody Murzyn. Na szyi miał pętlę z grubego sznura. Całe jego ciało ociekało krwią, która wypływała z licznych głębokich ran. Gałki oczne spłynęły w dół twarzy i przylgły do policzków, a w pustych oczodołach roilo się od much. Konał w mękach.

Przy życiu pozostało jeszcze pięciu jego towarzyszy - trzech mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy byli przywiązani do drzewa, na którym wisiał Murzyn.

Zapewne byli niewolnikami lub wkrótce nimi zostaną. Stanie się to dzięki trzem oprawcom z Arabby. Jeden z nich wymachiwał właśnie długim batem, chłoscząc konające ciało.

W pewnej chwili pośladki Murzyna rozchyliły się i z odbytu wydostały się ekskrementy, które pociekły po jego nogach na trawę. Oprawca z Arabby zbliżył się do swojej ofiary z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Popatrzył chwilę na to, co pozostało po młodym czarnoskórym chłopcu i odwrócił się do swoich kompanów.

- Nie żyje! - oznajmił. - Pozostała nam jeszcze ta piątka czarnuchów. Mam nadzieję, że do końca życia zapamiętają, że nie warto uciekać.

Najmniejszy z prześladowców, który przypominał karła z koszmarnego snu, wziął bat z ręki mówcy i śmiejąc się głośno, zaproponował:

- Zapytajmy ich o to. Co wy na to, czarne psy? - zapytał, potrząsając batem w kierunku ludzi przywiązanych do drzewa. - Widzieliście, co się stało z przywódcą waszej rewolty. Straciliśmy trzy dni, aby wytropić was w lesie. Pewnie do tej pory nasi ludzie złapali resztę waszych towarzyszy, z którymi spotkacie się w Phemar. Zapewniam was, że zobaczycie ich po raz ostatni. Potem popłyniemy sobie rzeką do Asorbes, gdzie zamienimy was na sakiewki pełne złotego kruszcu. Wy trzej - pokazał batem na skulonych czarnoskórych mężczyzn - będziecie pracowali przy piramidzie faraona. Jest tam wielu waszych braci, nie będziecie więc czuli się samotni. - Zaśmiał się grubiańsko i wyciągnął krótkie ręce w kierunku piersi jednej z kobiet. - Wy dwie - dodał śmiejąc się - pójdziecie do domu rozpusty, gdzie będziecie sprzedawać swoje ciało grubym kupcom.

- Jak sami widzicie - dodał po chwili - los obejdzie się z wami łaskawie, jeżeli będziecie ulegli. W przeciwnym razie - złowrogo strzelił z bata - spotka was kara, jak to ścierwo wiszące na drzewie. - Wskazał palcem nieżywego Murzyna. - Jeżeli chodzi o was, ślicznotki, to zaraz dostaniecie namiastkę tego, czego nie dadzą wam nawet kupcy. - Po tych słowach rozluźnił ubranie i wyjął nieproporcjonalnie duży członek.

Twarze Murzynów stężały w jednej sekundzie, a ich oczy, dotąd obojętne, zaczęły ciskać błyskawice.

- Nie podoba wam się moje cacko, ogiery? - Karzeł śmiał się jeszcze głośniej. - Musicie się zacząć do tego przyzwyczajać, bo wasze damulki będą pieścić w Asorbes tysiące podobnych zabawek. - Wypiął się znacząco w stronę Murzynów.

Przedstawienie karła przypadło do gustu jego pozostałym dwóm kompanom, bo podparłszy się pod boki, szczyrzyli zęby w uśmiechu.

On zaś zbliżył się do jednej z dziewcząt, wsunął twarz między jej piersi i dotknął członkiem jej kolan. Murzyni przypominali w tym momencie dzikie pantery, gotujące się do skoku.

Khai napatrzył się już na gwałt i tortury w komnacie ślubnej faraona. Nie przepadał też za mieszkańcami Arabby, którzy gustowali w przemocy. Zakrwawione ciało Murzyna do złudzenia przypominało mu ciało ojca leżącego bezładnie u stóp piramidy. W oczach dziewcząt zaś widział ten sam paniczny strach, którego doświadczyły jego matka i siostra.

W swojej kryjówce w krzewie leszczyny nasadził strzałę na cięciwę, śledząc kątem oka handlarzy Arabby, zrzucających swoje odzienie.

Obie Nubijki krzyczały przeraźliwie, próbując zrzucić z siebie krępujące więzy. Postanowił nie zwlekać dłużej. W końcu więźniami byli Nubijczycy, i to właśnie w ich ojczyźnie miał szukać schronienia. Dla czego nie miałyby pojawić się tam jako bohater.

Mężczyźni o orlich nosach zdążyli już rozebrać się do naga, kiedy wypuścił pierwszą strzałę, trafiła pierwszego z brzegu handlarza niewolników w kręgosłup. Upadł na trawę, jakby mu ktoś podciął nogi. Drugi, widząc co się dzieje, rzucił się na ziemię, próbując krzykiem ostrzec karłowatego kompana. Ten jednak nie zdążył uchronić się przed strzałą, która trafiła go w pierś. Zakaszłał i wypluwając krew,

upadł na trawę, nie wiedząc nawet, kto był jego katem.

Ten, który pozostał przy życiu, pochwycił w ręce odzież i miecz i czym prędzej schronił się w gęste paprocie porastające brzeg lasu.

Khài poczekał jeszcze chwilę i wyszedł na polanę, niosąc w ręku łuk z napiętą cięciwą i nasadzoną strzałą. Zbliżał się do Nubijczyków i zanim tamci zdolali ochłonąć, rozciął nożem sznur, którym byli przywiązani do drzewa.

Murzyni zasypywali go pytaniami, których nie rozumiał, ponieważ nie znał ich języka. W pewnym momencie jeden z nich, krępy, dobrze po trzydziestce, krzyknął, co sprawiło, że niemal natychmiast zamilkli.

- Chłopcze - zwrócił się do Khài Nubijczyk. On jeden mówił w języku mieszkańców Khem. - Czy to twoje strzały pozbawiły życia te wściekłe psy?

Khài w odpowiedzi pokiwał twierdząco głową i zabrał się do rozcinania więzów na rękach młodej Nubijki.

- Tak, moje - odparł, starając się nie patrzeć na leżące pod drzewem ciała handlarzy.

- Nieźle! - Krępy przywódca pokiwał głową z uznaniem. - Jesteś wyborowym łucznikiem, mój chłopcze. Jesteśmy ci winni życie. Dlaczego nam pomogłeś? - Olbrzym objął Khài za ramiona. - Skąd jesteś? Nie pochodzisz chyba z Khem?

- Byłem z Khem - odparł szczerze Khài - ale uciekłem stamtąd. Pomógł mi w tym Adonda Gomba, król niewolników z Asorbes. Dał mi to... - Po tych słowach wyjął z kieszeni bluzy skrawek skóry z odciętym herbem rodzinnym Gomby.

- Gombę dobrze znają w Abu-han.

- Czy to cel twojej wędrówki, chłopcze?

- Pójdę wszędzie, byle jak najdalej od wielkiej piramidy Khasathuta. Zrobię też wszystko, aby znowu nie ujrzeć znieprawionej twarzy Anelupa, naczelnego kapłana faraona.

- A znasz drogę do Nubii? Nie zabłądzisz w lesie, nasz bohaterze? - zapytał olbrzym i zaraz dodał: - Na nas nie możesz liczyć, przez trzy dni i trzy noce prowadzono nas z opaskami na oczach. Dopiero dzisiaj handlarze powiedzieli nam dokąd idziemy, ale te wskazówki nie na

wiele się zdadzą. Nie znamy bowiem terenów rozciągających się na południe od Wielkiej Rzeki.

- Pozwólcie, że was poprowadzę - odpowiedział Khai. - Nubijczycy opisali mi dokładnie drogę. Nie powinniśmy zabiłdźić.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy dwóch młodszych Murzynów porwało zakrzywione miecze handlarzy i trzymając je w górze, rozpoczęli swój dziękczynny taniec wokół niego. Potem wszyscy rzucili się do jego stóp.

- Co wy robicie? - zapytał.

- Oddajemy ci cześć, młody wojownik - odparł olbrzym, ich przywódca. - Będzie cię wielbić cała Nubia, nasz bohaterze. Jak cię zwa?

- Khai.

- Odtąd zwać cię będą Khai z Khem. Khai-mściciel.

II

Zasadzka

Kiedy minęła pierwsza radość z odzyskanej wolności, Nubijczycy umilkli, oddając tym samym hołd swojemu bestialsko zamordowanemu bratu. Później urządzili mu skromny pochówek. Przez cały czas towarzyszył im cichy płacz dziewcząt. Młodsza od Khai przepiękna Nubijka co jakiś czas mdlała z rozpacz. Olbrzym tłumaczył chłopcu, że umęczony był jej bratem.

Ciała handlarzy pozostawiono dzikim zwierzętom na pożarcie. Nie minęła godzina, jak wyruszyli prowadzeni przez Khai w kierunku południowym, gdzie, jak przypuszczał, trafią do rzeki w miejscu, gdzie przebiega granica między Nubią a Khem.

Podczas marszu między Khai a Nubijczykami szybko zawiązała się nić przyjaźni. Zdawali się go nawet ochraniać, formując coś w rodzaju trójkąta, w którego centrum znajdował się on, a po bokach trzech pozostałych mężczyzn. Kobiety zaś stanowiły jego podstawę, zamykając pochód.

Szli nieprzerwanie, zatrzymując się jedynie na kilka minut co parę mil. Zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie stanowił dla nich zbiegły z leśnej polany handlarz. Wkrótce jego kamraci mogli wyruszyć za nimi w pościg.

Podczas jednego z krótkich postojów przywódca Nubijczyków, do którego jego czarni bracia zwracali się używając imienia Kindu, opowiedział Khai, jak to handlarze z Arabby przekroczyli granicę i zaatakowali pobliskie wioski północnej Nubii. Wyrznęli starców i dzieci, a kobietom i mężczyznom kazali budować tratwy.

Khai przypomniał sobie mapy, które rysował ojciec, aby pokazać mu, któredy handlarze niewolników sprowadzali Nubijczyków do Asorbes na targ. Oczyma wyobraźni widział tratwy wypakowane po brzegi ludźmi, spływające w dół rzeki do trzeciej katarakty, a stamtąd do samego Khem.

Ponieważ Nubijczycy byli prostym ludem i poza własnym krajem nie znali sąsiadujących z nimi państw, na obczyźnie czuli się zagubieni. Tym bardziej, że w czasie podróży nakładano im na oczy opaski, które zdejmowano dopiero, gdy dotarli do Asorbes - miejsca przeznaczenia oddalonego od ich domów rodzinnych o dobre dwieście mil.

W ten sposób handlarze niewolników kpili sobie jawnie z króla Nubii, młodego N'jakki. Faraon oficjalnie zaprzeczył, że jest mu znany ów nikczemny proceder. Gdyby N'jakkko spróbował oskarżyć Khem o sprzyjanie handlarzom, Khasathut zaprzeczyłby, obwiniając za to łowców niewolników z Arabby, a to tylko zwiększyłoby ilość napadów na bezbronne wioski.

Tym razem jednak handlarze przeliczyli się. Wzięli za dużo niewolników i część z nich zbiegła, wykorzystując postój w lesie w pobliżu Phemar. Zaraz też wyruszył za nimi pościg. Kinoke i jego przyjaciel pojmano na krótko przed pojawieniem się Khai.

Powoli zbliżał się wieczór i, kiedy dotarli do dużej przecinki w lesie, Nubijczycy zaproponowali rozbicie obozowiska. Khai przystał na to z ochotą. Po krótkiej naradzie mężczyźni pozostawili go z dziewczętami i rozpiezchli się w przeciwnych kierunkach. Po chwili słychać było gwizdanie, a zaraz potem trzepot skrzydeł unoszącego się nad ziemią ptactwa. Nie minęło kilka minut i Murzyni wrócili, informując Khai o polance otoczonej kolczastymi krzewami, na której będą mogli bezpiecznie przenocować.

Nubijczycy mieczami wyrąbali wąskie przejście w gąszczu i chwilę potem siedzieli już wokół ogniska. Nad ogniem piekła się dorodna sarna, którą Khai ustrzelił wtedy, gdy pozostali zbierali chrust i przygotowywali legowiska.

Na widok pieczystego chłopiec poczuł ssanie w żołądku. Jedynym pożywieniem, jakie miał dotąd w ustach był chleb, który dostał od Mhyny. Brakowało im jedynie wody, jednak nie zamierzali jej szukać po nocy. Rozsądniej było poczekać do świtu, gdy duże liście roślin napęlnią się poranną rosą.

Khai wyznaczył wartowników, nie wyłączając siebie, do pilnowania obozowiska. W wyniku losowania jemu właśnie przypadła pierwsza zmiana. Usiadł więc w pobliżu legowiska, trzymając w ręku jeden z mieczy odebranych handlarzom. Marzył jedynie o ciepłym posłaniu

i długim, słodkim śnie. Mimo że postanowił wytrwać do końca warty, nie minęło kilka chwil, jak wsparłszy głowę o kolana, usnął.

Obudziło go delikatne klepięcie w plecy. Zerwał się, próbując wszczać alarm.

- Cii... - uciszył go Kindu - wszystko w porządku, chłopcze. Teraz moja kolej. Połóż się obok Nundi i śpij dobrze.

Mgła biała jak mleko unosiła się nad wysoką trawą i srebrzyła w poświacie księżyca.

Khai trząsał się z zimna, na nosie wisiała mu kropelka rosy. Bez słowa oddał Kindu swój miecz i wczuł się na wskazane przez niego miejsce. Z ulgą wślizgnął się pod ciepły jeszcze koc i niemal natychmiast zaczął zapadać w sen.

O świcie czekała na nich nieprzyjemna niespodzianka.

Najpierw Nundi usłyszał podejrzane głosy i szczekanie psów w pobliżu kolczastych krzewów. Chwilę potem zaalarmował pozostałych.

Nie zwlekając, Nubijczycy puścili się pędem na przelaj przez polanę do miejsca, w którym rozpoczynał się gęsty las. Po drodze słyszeli skowyt psów.

Khai zobaczył, jak handlarze szli w ich kierunku, tuż za nimi widać było żółte mundury żołnierzy.

Widocznie handlarze niewolników poprosili o pomoc w pościgu jednostki stacjonujące w Phemar. Ku swojemu zdziwieniu zobaczył też kilkunastu innych Nubijczyków, którzy podążali za nimi dobre trzysta jardów. Zapewne także zatrzymali się na nocleg w kolczastych krzewach.

Tymczasem handlarze rozpierzchli się na boki, w środku pozostawiając żołnierzy. Ich manewr przypominał do złudzenia taktykę, jaką stosowali myśliwi w Khem, naganiając zwierzynę do zasadzki.

Zasadzka przygotowana była na większą ilość uciekinierów, ale tych kilku Nubijczyków z białym młodzieńcem na czele, też stanowiło nie lada kąsek i nagrodę za ich wysiłek.

Jednak Khai nie wiedział o tym. Czuł jedynie, że przed nimi w leśnej gęstwinie, czyha niebezpieczeństwo. Kiedy właśnie miał zamiar ostrzec uciekających przyjaciół, potknął się o wystający korzeń i runął twarzą w dół w stertę pożółkłych liści.

Uniósł głowę i dostrzegł sylwetki Nubijczyków, jak jeden po drugim znikali w gęstym zagajniku. Tylko Kindu, który widział jak chłopiec upadał, odwrócił się i zaczął biec w jego stronę.

W tym momencie drogę zastąpiło mu dwóch handlarzy, którzy wyrosli jakby spod ziemi. Murzyn rzucił się na nich i w mgnieniu oka pozbawił ich życia swoim długim, zakrzywionym kindżalem.

Wkrótce okazało się, że nie jest w stanie pomóc chłopcu, ponieważ oddzielający go od niego pas lasu zaroił się od żołnierzy. Spojrzał więc na niego z rozpaczą i pobiegł śladami swoich braci.

III

Powrót do rzeki

Gdy Khai odzyskał świadomość, usłyszał szelest liści i odgłos łamanych pod stopami gałęzi. Był na tyle przytomny, aby nie otwierać oczu. Leżał na zrobionych naprędce noszach, które dźwigało dwóch żołnierzy. Kiedy lekko unióśł powieki, przez wąskie szczelinki zauważył błękitne niebo, a w nozdrza uderzył go znajomy zapach, niesiony przez wiatr z północy - zapach Nilu.

Kiedy na powrót zamknął oczy, żołnierz idący z przodu, odezwał się do tego z tyłu:

- Dźwigamy tego chłopaka w upale przez dobre szesnaście mil. Ciekawe, jak nam to handlarze wynagrodzą?

- A co my ich obchodzimy? - odparł drugi. - Zabiorą tych uciekinierów i sprzedadzą na targu niewolników w Asorbes. Im dostały się czarne dziwki, a nam biały wyrostek, który z każdą milą wydaje mi się bardziej ciężki.

Ten z przodu zaklął i dodał:

- Jak myślisz, skąd jest ten chłopak?

- Nie jest Nubijczykiem, na pewno - odparł drugi.

- Kapitan Pan-em uważa, że wzięli go jako zakładnika, i ja się z nim zgadzam. Może jednak warto go nieść. W końcu uratowaliśmy mu życie. Wyobrażasz sobie, ile ten mały musiał znieść, obcując z nimi?

- Teraz współczujesz mu, widzę. A jak wytłumaczysz to, że miał przy sobie broń?

- Uciekał, nieprawdaż? - odpowiedział drugi z irytacją w głosie. - Przecież nie przed nami. Widocznie wymknął im się, zabierając łuk i nóż w momencie, gdy weszliśmy na polanę. Przypuszczam, że złapali go, kiedy polował z przyjaciółmi. Szkoda, że nie udało nam się dopaść tych czarnych psów!

- Gadaj sobie zdrów - odparł drugi żołdak. - Powtarzasz tylko słowa kapitana. Mówił o tym, zanim kazał szukać zamordowanych przyjaciół chłopca.

- Miał rację, co? Przecież znaleźliśmy ciała pod drzewem. A te lwy... Miały niezłą przekąskę. Zaskoczeniem było dla nas ciało czar-nucha, które wygrzebały z ziemi. Ciekawe, co tam się wydarzyło?

- Co mnie to obchodzi? - rzucił ten z tyłu. - Pocięszam się myślą, że zbliżamy się do rzeki i że wkrótce będziemy mogli odpocząć. Sły-chać ujadanie psów. Pewnie nadchodzą Khon-arl i Taphan. Czas, aby ponieśli trochę tego chłopca. Połóżmy go na ziemi i zaczekajmy na nich. Już rąk nie czuję.

Khai poczuł twardy grunt pod plecami. Po chwili usłyszał głosy zbliżających się zmienników:

- Niczego poza tą cholerną rzeką nie znaleźliśmy. Psy musiały oszaleć, bo zaprowadziły nas prosto do wody. Pewnie bawoły wzięły za ludzi.

- Mogły się pomylić. Czarne psy śmierdzą podobnie - odpowiedział żołnierz stojący przy głowie Khai.

Za chwilę jego uszu dobiegły odgłosy szamotaniny i skowyt psów w pobliskich krzakach. Przybyli żołnierze rzucili się w tamtą stronę.

- Znalazły coś! - krzyknął żołnierz, nie przestając pocierać obola-łych dłoni.

- Skądże - usłyszeli w odpowiedzi. - Psiaki urządziły sobie w gąsz-czu zabawę. Chętnie bym im porozwalał łby!

Khai otworzył oczy i zobaczył, że noszowi stali w sporej odległości odwrócenii do niego plecami. Podniósł się nie zwlekając, wziął łuk i nóż i stąpając najciszej, jak tylko mógł, zniknął w cieniu drzew.

Mimo potwornego bólu głowy i doskwierającego głodu, udało mu się obmyślić plan ucieczki.

Otóż musiał przepłynąć rzekę, potem przejść przez niewielki las i dotrzeć do sawanny. Stąd było już niedaleko do Nubii. Trasa ucieczki była tym bezpieczniejsza, że biegła przez słabo zaludnione tereny. Poza tym przeprawa przez rzekę sprawi, że w razie pościgu psy zgubią trop. Sprzymierzeńcem był również zapadający zmrok.

Khai biegł ile sił w nogach. Po jakiś dwustu jardach, zatoczył koło i ruszył w kierunku rzeki. Teraz wszystko zależało od tego, jak szybko psy podejmą świeży trop.

Okazało się później, że nie były aż tak głupie, jak to mogłoby wynikać z narzekań żołnierzy.

Kiedy Khai znalazł się w pobliżu miejsca, w którym Mhyna wysadziła go z barki na brzeg, usłyszał ich ujadanie. Towarzyszyły im przekleństwa żołnierzy. Zdażył tylko podbiec do brzegu rzeki i zanurkować w jej chłodnej toni, gdy psy z impetem wypadły z pobliskiego zagajnika.

Wyplłynął daleko poza zasięgiem ich węchu i dał się ponieść prądowi, który zaniósł go na rozlewiska, przez które przedtem płynął barką Mhyny. Wysokie trzciny papirusa i wiszące nisko nad wodą gałęzie płaczących wierzb skutecznie chroniły go przed oczyma żołnierzy.

Pamiętał, że były tu gdzieś łodzie rybackie, którymi teraz chciał przepłynąć rzekę. Zauważył je w samą porę, gdyż niedaleko na brzegu wzmogło się ujadanie. Był to znak, że psy nie dały za wygraną. Wybrał więc pierwszą z brzegu zmurszałą łajbę i starając się nie narobić hałasu, prześlizgnął się przez niską burtę i położył na dnie łodzi. Przez szpary na rufie widział czerwoną tarczę słońca chowającą się za czubki drzew.

Zaraz krokodyle wyruszą na łowy. Na początku będą ospałe, ale chłodna woda szybko rozbudzi ich apetyt.

Khai wzdrygnął się na wspomnienie rozwartych zielonych paszcz i białych ostrych zębów.

Nagle serce podeszło mu do gardła, ponieważ usłyszał głos, który dobiegł jego uszu z wysepki, do której była przycumowana łódź.

- Co to było, Gon? Wydawało mi się, że ktoś płynie niedaleko nas - powiedział pierwszy.

- Cicho, głupcze - skarcił go drugi. - Cóż to mogło być innego niż krokodyl.

- Daj spokój, Athom. A nawet gdybym się mylił, to co? Mamy zaprosić pływaka do nas? Może powinniśmy też podzielić się z nim naszą kolacją?

- Bardzo zabawne! - odparł pierwszy. - Sądzę... - Nie dokończył, ponieważ ten drugi przerwał mu raptownie:

- Zamknij się, głupcze! Nadchodzą ci cholerni żołnierze z psami. Jeszcze nas usłyszą.

Khai poznał po akcencie, że byli to mieszkańcy Therae. Wyglądali na zbiegów. Tylko skąd uciekali?

Wkrótce poznał prawdę, przysłuchując się rozmowie żołnierzy. Mieli oni za zadanie pochwycić dwóch najemników z Therae, którzy zeszłej nocy wtargnęli do willi jednego z dostojników i zgwałcili jego żonę. Potem na oczach męża podcięli jej gardło i opuścili willę. Wkrótce rozpoczęto pościg i żołnierze, idąc tropem niktzemników, dotarli aż tu, do rzeki. W pewnym momencie Khai stał się świadkiem ich kłótni.

- Mówię ci, że nie ma tu tych łajdaków. - Przekonywał jeden z żołnierzy. - Twój pies musiał oszaleć. Nie sądzisz chyba, że przepłynęli wpływ rzekę, w której roi się od krokodyli. W każdym razie, ja nie pójdę ich śladem. Wykluczone!

- Co mamy więc zynić? - zapytał drugi. - Nie dostaniemy ani jednej śmierdzącej sztuki złota, jeżeli wrócimy z pustymi rękoma.

- A jak wytłumaczysz zniknięcie chłopca?

Khai wstrzymał oddech.

- Jeżeli jest to ten sam smarkacz, którego szukają ludzie faraona, to marny twój los.

- Nie musisz mi o tym przypominać! - odparł drugi, zapewne ten, który niósł Khai na noszach. - Możemy przecież powiedzieć, że chłopak skoczył w gorączce do wody i pożarły go krokodyle.

- To na nic się nie zda. - Wtrącił się do rozmowy trzeci żołnierz. - Lepiej będzie, jak zostawimy tu kilku ludzi z psami, a jutro z samego rana dokładnie przetrząśniemy te trzciny.

Zaczęły zapadać ciemności, gdy zdecydowano, kto zostanie nad brzegiem. Żołnierze, przeklinając los, rozpoczęli przygotowania do całonocnego czuwania, Khai usłyszał cichy plusk wody i z kępy trzciny wypłynęło coś, co do złudzenia przypominało dużego krokodyla. Była to jednak druga łódź z dwoma zbiegami. Wiosłując rękoma, opłynęli jedną z wysepek i zniknęli chłopcu z oczu.

Najemnicy z Therae sprytnie wykorzystali nieuwagę rozsierdzonych żołdaków i czmychnęli im sprzed nosa.

Khai postanowił pójść ich śladem i podobnie jak oni wiosłując rękoma, dotarł do środka rzeki, i wykorzystując słaby w tym miejscu prąd i silną nocną bryzę z północy, popłynął kilka mil w dół rzeki i zacumował w bezpiecznym miejscu na przeciwległym brzegu.

IV

Najemnicy

Następnego ranka uciekinierzy z Therae popijali wodę nad brzegiem rzeki. Ich łódź leżała na piasku do połowy zanurzona w wodzie. Noc przespali pod palmami, a teraz powrócili do rzeki, aby się posilić. W trzcinach na przeciwległym brzegu widać było żółte mundury i słychać było poszczekiwanie psów.

Żołnierze z Phemar przeczesywali nabrzeże i pobliskie wysepki w poszukiwaniu zbiegów, których już tam nie było. Na szczęście najemnicy byli na tyle roztropnie że nie pozostawili żadnych śladów. Zaciekanie śladów nie było im obce, bo pochodzili ze szczepu myśliwych i rybaków. Od niepamiętnych czasów jadal też surowe mięso i teraz mogli posilić się, nie rozpalając ogniska, a tym samym, nie ściągając na siebie uwagi tropiących ich żołnierzy.

Czyhało na nich jednak jeszcze inne śmiertelne niebezpieczeństwo - spotkanie z wojownikami z Kush.

Ponieważ byli najemnikami na usługach Khem, na pewno nie uszliby z życiem. W nocy poczuli zapach gotującej się stawy i kiedy ostrożnie zbliżyli się do miejsca, z którego ów zapach się rozchodził, zobaczyli spory oddział partyzantów, którzy rozbili swoje obozowisko niedaleko rzeki. Woleli więc uniknąć ich długich, zakrzywionych włóczni i postanowili natychmiast ruszyć w drogę. Mieli nadzieję, że w ciągu kilku najbliższych dni uda im się przejść Darat i dotrzeć do mitycznych Wzgórz Obfitości, gdzie być może przeczekają najgorsze...

Launię - służąca księżniczki, nie na żarty przestraszyła się krokodyli pływających się w płytkiej wodzie przy brzegu. Krzycząc pobiegła za swoją panią, księżniczką Ashtartą.

Na horyzoncie widać było namioty partyzantów z Kush, a z pobliskich krzaków jak spod ziemi wyrósł wartownik i poklepując służącą, wskazał jej brzeg, którą przechodziła księżniczka. Przestrzegł ją też przed dzikimi zwierzętami i bagnami.

- Dzikie zwierzęta?! - krzyknęła Launia, rozglądając się nerwowo dookoła. Wśród gęstego sitowia zauważyła białą sukienkę Ashtarty.

Księżniczka bawiła się z nią w chowanego. Była wyjątkowo żywotną dziewczyną. Jej ojciec uważał, że powinna była urodzić się chłopcem. Załatwiłoby to problem następcy tronu.

Melebrin zabierał ją z sobą na każdą wyprawę. Pragnął, aby nauczyła się sztuki wojennej, bo gdy przyjdzie mu umrzeć, będzie umiała dowodzić armią.

Wśród doradców królewskich byli tacy, którzy uważali, że powinien ożenić się po raz drugi. Mieli mu za złe, że od śmierci Miriam, która skonała w bólach, dając życie Ashtarcie, nie spojrział nawet na inną kobietę. Tym bardziej, że mimo sędziwego wieku był jeszcze krzepki i pełen młodzieńczej werwy.

Jednak Malerabrin uparcie sprzeciwiał się radzie królewskiej. Miriam była miłością jego życia i nie miała sobie równych pod względem urody i mądrości.

Launia podejrzewała, że jej czternastoletnia podopieczna szuka ustronnego miejsca, aby się wykapać. Ashtarta uwielbiała się kąpać i za nic miała krokodyle. Launia była jednak odmiennego zdania. Nie był to ani czas, ani odpowiednie miejsce na kąpiel.

W głębi serca była zadowolona, że jest to ich ostatni nocleg nad brzegiem rzeki i że jutro z samego rana powrócą do twierdzy na wzgórzach.

Melebrin przywiódł swoją armię do zachodniej granicy z Khem, najeżdżając co ważniejsze przyczółki i forty. Khasathut był więc zmuszony rzucić do walki stacjonujące tam oddziały oraz bandy najemników z Therae.

Obecnie małe grupy żołnierzy faraona przycupnęły w pobliżu wschodniej granicy z zamiarem przepłynięcia rzeki i rozgromienia partyzantów Melebrina.

Gdy jednak następnego dnia znaleźli się po drugiej stronie Nilu, okazało się, że stary lis znowu ich przechytrył, kryjąc się wśród gór Kush.

Przełęcz, ufortyfikowane w górach, były zdolne powstrzymać atak całej armii. Bywało i tak, że całe oddziały ginęły pod lawiną kamieni i odłamków skalnych.

Melebrin był jednak świadom, że pewnego dnia Khasathut podbije wszystkie kraje sąsiadujące z Khem, połączy ich armie i zaleje Kush niczym powódź. Ale póki to nie nastąpi, Melebrin poprzysiągł dotkliwie nękać sprzymierzeńców faraona. Mścił się w ten sposób za te tysiące ludzi z Kush, z których Khasathut uczynił niewolników i zmusił do budowy swojej piramidy. Ich przodkowie rozpoczęli budowę grobowca i byli świadkami śmierci jego ojca, którego już pochowano.

Melebrin obiecał swojemu ludowi w niewoli faraona, że siłą zwróci im wolność. Ich los był o tyle bardziej tragiczny, że urodzili się w niewoli i nie znali innego życia. Doszły go słuchy, że na jedno jego skinienie może dojść do krwawego powstania w Asorbes, ale tego Melebrin wołał unikać.

Launia była wyjątkowo wdzięczna królowi Melebrinowi za to, że zdecydował się wycofać wojska do fortecy w górach. Nie było tam krokodyli i Ashtarta mogła bezpiecznie zażywać kąpeli w górskich strumieniach.

Służąca kątem oka zauważyła, że Ashtarta stoi w niskiej kępie trzciny i robi do niej jedną ze swoich złośliwych min. W pewnej chwili (ku swojemu przerażeniu) zobaczyła mężczyznę, który podkradł się do księżniczki od tyłu i zakrył jej ręką usta. Potem, nie zważając na to, że dziewczyna broni się zaciekle, zaciągnął ją w trzciny.

Launia ledwie złapała powietrze, aby zawołać o pomoc, gdy jakaś ręka zakryła jej usta, a na szyi poczuła zimny chłód metalowego ostrza!

V

Gwałt

Launia nie mogła krzyknąć, ponieważ miała gardło pełne krwi. Nie przestawała myśleć o księżniczce i o smutku, w jakim pograży się jej ojciec, kiedy dowie się, że została zgwałcona i zamordowana.

Gon nie spuszczał wzroku z dziewczyny, póki jej ciałem nie przestały wstrząsać drgawki. Następnie wytarł sztylet o jej spódnicę i spoglądając łakomie na jej obnażone piersi, przeklinał bogów, że musiał ją zabić. Miałby z tą kobietą niezłą zabawę. Była wysoka i miała szerokie biodra, takie jakie lubił. Nachylił się i dotknął jej piersi. Były jeszcze ciepłe. „Ale za chwilę ostygną” - pomyślał z żalem.

Obok usłyszał przekleństwa kompana, który niezłe dostawał w kość, próbując zdławić zaciekły opór kolejnej ofiary. Dziewczyna była prawie dzieckiem. Miała o wiele mniej krzepy niż jej starsza towarzyszka. Zresztą, mniejsza o to, czy młoda, czy stara, silna czy słaba; i tak będą musieli ją potem zabić.

Athom miał ochotę pozbawić ją życia od razu. Ale bardzo pragnął kobiety, a z martwej nie miałby tyle pożytku. Wiedział o tym z własnego doświadczenia, gdyż był uczniem specjalisty od balsamowania ciał z Therae i nieraz odbywał stosunki ze świeżo zmarłymi kobietami. Mógł równie dobrze to robić z martwą świnią lub krową. Było to równie nieapetyczne. Zgodnie z tym, co utrzymywał jego mistrz, ciała nieboszczyków toczyły różnego rodzaju choroby. Sam zresztą miał syfilis. Ten potwór o wiecznie zaropiałych oczach był dobrą pożywką dla robaków, zarówno przed śmiercią, jak i po niej.

Athom próbował po raz kolejny uciszyć dziewczynę, przykrywając jej usta ręką. Kiedy go ugryzła, znowu zaklął pod nosem i uderzył ją w twarz, a potem chwycił ją za ręce. Gon pośpieszył mu z pomocą, przytrzymując Ashtarcie nogi. Potem chwycił ją za kolana i rozwarł je brutalnie. Zrobił to tak raptownie, że kusa spódniczka zakrywająca jej

dziewczęce wdzięki rozleciała się na kawałki. Teraz Athom chwycił ją za szyję i trzymał tak długo, aż straciła przytomność. Później zerwał bluzkę i zakneblował nią jej usta. Na koniec wykręcił ręce do tyłu i bił po twarzy, dopóki nie przyszła do przytomności.

Patrzyła na Athoma oczyma szeroko otwartymi z przerażenia. „On jest taki owłosiony” - myślała.

Młody balsamownik rzeczywiście miał ciało pokryte gęstymi czarnymi włosami. Przypominał złego demona. Jego towarzysz, który pochylił się nad nią, był starszy od niego o dobre pięć lat. Miał opaloną twarz. Kiedy uśmiechnął się do niej czuła jego nieświeży oddech i widziała zepsute zęby z resztkami mięsa.

- Na bogów! - jęknął, wpatrując się w kępkę rzadkich włosów, porastających łono młodej księżniczki. - Sądziś, Athom, że ona wie, co ją za chwilę czeka?

- Chyba kpisz sobie - mówił Gon, nie przestając szczerzyć zębów w uśmiechu. - To jeszcze dziecko. Popatrz na jej piersi. Widziałem chłopców z większymi cyckami. Och! - Gon oblizał wargi i włożył obydwie dłonie między uda Ashtarty, rozchylając delikatnie wargi sromowe. - Zobacz, przyjacielu, jakie smakowite mamy tu gniazdko...

- Bierzmy się do roboty, Gon - zachichotał Athom. - Szkoda czasu - mówiąc to, przycisnął ramiona Ashtarty do podłoża, a Gon ukląkł na szeroko rozwartych udach dziewczyny. Potem szybkim ruchem ręki pozbył się opaski na biodrach i oczom dziewczyny ukazał się duży, sterczący członek. Podobny widziała u kuca górskiego, który szykował się do pokrycia klaczy. Teraz jednak ona była klaczą dla tych opryszków.

Ashtarta zaczęła raptownie unosić biodra, aby zrzucić z siebie intruzów, Athom wykorzystał moment i chwycił ją za pośladki. Potem uniósł je w stronę klęczącego na jej udach Gona. Dziewczyna poczuła, jak członek owłosionego mężczyzny ociera się o jej nogi. Przerażona zamknęła oczy, a z kącików popłynęły łzy.

- Płaczesz, bo pewnie jesteś zawiedziona, że Gon ma takie małe cacko, co? - zapytał Athom. - Poczekaj cierpliwie, a zaraz zobaczysz moje. Gon nie zrobi ci krzywdy. On tylko nieco powiększy twoje gniazdko dla mnie...

Nagle przerwał w pół słowa i uniósł ręce, próbując wyszarpać strzałę, która utkwiała mu w oku.

Ashtarta poczuła, że coś ciepłego oblało jej twarz. Otworzyła oczy w momencie, gdy Athom bez tchu padł na ziemię. Zobaczyła Gona, który z nożem w rękę czołgał się w stronę mężczyzny stojącego w trzcinach. Potem nagle poderwał się do góry, pragnąc zapewne rzucić się na intruza. Nie zdążył jednak, bo w pierś ugodziła go strzała.

Gon klęknął, zakłósał się i upadł twarzą w trawę.

Wszystko stało się tak nagle, że Ashtarta nie zdążyła się nawet poruszyć. Nie miała też siły podnieść się i zakryć swoich wdzięków, od których jej wybawca nie mógł oderwać oczu. Spuścił jednak oczy, gdy dziewczyna zaczęła gniewnie kopać nogami.

Młodzieniec miał przy sobie łuk i kołczan ze strzałami. Ashtartę zaskoczyła jego biała skóra, jasne włosy i błękitne jak toń Nilu oczy. Teraz, kiedy była już bezpieczna, drażniły ją właśnie te oczy, a to dlatego, że tak uparcie zerkwały na jej wstydlive miejsce.

Chłopak zbliżył się do księżniczki i wyjął z jej ust knebel. Zaraz potem dziewczyna splunęła na ziemię i zapytała:

- Kim jesteś?

- Mam na imię Khai - odpowiedział.

VI

Pojawienie się Khai

- Rozwiąż mnie, mój wybawco - powiedziała księżniczka. - Na co czekasz? - dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Khai odwrócił się nagle, widząc, jak ciałem Athoma wstrząsają konwulsje. Podbiegł do obydwu mężczyzn, aby upewnić się, że nie żyją.

- Moje ręce! - powtórzyła Ashtarta, nie spuszczając z niego oczu. - Rozwiąż je!

- Czy ty nie znasz słowa „proszę”? - zapytał Khai opryskliwie.

- Co takiego? - otworzyła usta ze zdziwienia.

- Uratowałem ci życie. Oni by cię zabili, kiedy byłoby już po... po wszystkim.

- Posłuchaj mnie, chłopcze. - Dziewczyna z trudem tłumila gniew.

- Natychmiast uwolnij mnie z więzów albo każę cię wychłostać! Kim jesteś do diabła? Nigdy przedtem cię nie widziałam. Mówisz też z dziwnym akcentem.

- Jestem Khai - powtórzył chłopiec, kłękając przy niej. - Khai z Khem, którego Nubijczycy nazywają Khai - mścicielem.

Dziewczyna aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Jesteś z Khem? To dlaczego...?

- Uratowałem cię? Bo jesteś niewinną dziewczyną, a oni wytrawnymi zabójcami, zwierzętami w ludzkiej skórze. Poza tym muszę uczyć się zabijać po to, aby, gdy wrócę do Asorbes, rozprawić się z faraonem, by nie zdrząła mi ręka. Z tymi poszło mi łatwo. - Wskazał na ciała najemników i odwrócił się z odrazą. - Z tamtym potworem będę musiał się nieźle namęczyć. Ale czas na mnie. - Rozchylił trzciny z zamiarem wejścia w ich gęstwinę. - Powiedz swoim przyjacielom partyzantom, żeby nie trudzili się tropieniem jednego mężczyzny. Nie jestem waszym wrogiem.

- Też mi mężczyzna - mruknęła Ashtarta. - Jesteś jeszcze chłopcem. Ale rozwiążesz mnie w końcu czy nie?

- A dlaczego miałbym to zrobić, mała nierządniczo?

- Nierządniczo?! - krzyknęła oburzona. - Jestem Ashtarta, córka Melebrina.

- Córka Melebrina? - Khai pokiwał głową z niedowierzaniem. - A ja jestem jego synem - odparł kpiąco i spojrzął na jej nagie ciało. - Chcesz, abym uwierzył, że ten stary lis pozwolił ci biegać nago po lesie?

- Ty... ty!

- Żegnaj.

- Zaczekaj, Khai. Posłuchaj. Rozwiąż mi ręce, a dam ci wszystko, czego zapragniesz.

- Teraz pragnę jedynie świętego spokoju - odparł Khai. - Jeżeli zdejmę z twoich rąk więzy, zaraz pewnie pobiegiesz do obozu i dasz znać partyzantom, że tu jestem.

- Nie...! Nie pisnę ani słówka. Obiecuję - wysapała. - Dam ci wszystko, czego...

- Zapragnę?

- Tak.

- Odwróć się.

Wyjął nóż i przeciął więzy na jej nadgarstkach. Ashtarta zaś pośpiesznie naciągnęła spódnicę. A kiedy Khai uśmiechnął się dwuznacznie, zerwała się na równe nogi i wymierzyła mu siarczysty policzek.

- Tak wygląda wasza, ludzi z Kush, wdzięczność? - burknął chłopiec, masując dłonią obolałą szczękę.

- Jestem księżniczka Ashtarta i skoro ci przyrzekłam dać wszystko, czego...

- Zapragnę - dokończył Khai, nie spuszczać z niej wzroku.

- To dotrzymam słowa. - Mówiąc to splunęła pod jego nogi i pokazała w uśmiechu swoje śliczne ząbki.

- Daj mi więc to, czego chcieli od ciebie najemnicy.

- Co? - otworzyła szeroko usta, a jej policzki oblał purpurowy rumieniec. - Jak śmiesz?!...

Dziewczyna do złudzenia przypominała te młodociane nierządnicze, które Khai widywał w Asorbes. Mimo że nie dorastała Mhynie do pięt w doświadczeniach z mężczyznami, to jednak zapewne potrafiła dać mu choć odrobinę rozkoszy. A może jednak mylił się co do profesji tej dziewczyny?

- Jeżeli jesteś dziewicą - powiedział - to zwolnię cię z przyrzeczenia.

Po tych słowach obrócił się plecami, wyraźnie ją ignorując.

W tym momencie czyjaś mocarna dłoń chwyciła go za ramiona i obróciła twarzą do słońca. Oślepiony jasnym światłem sięgnął po nóż.

- Nie, Ephrais, nie zabijaj go! On uratował mi życie! - usłyszał krzyk Ashtarty.

Wystarczyło, że Khai poczuł na szyi ostrze olbrzymiego szczerbca z brązu, a ugięły się pod nim kolana i z ręki wypuścił nóż, który z pluskiem wpadł do wody. Potem poczuł mocne uderzenie w skroń i stracił przytomność.

Ephrais zarzucił go sobie na ramię i rzekł:

- Chodź, moja mała księżniczko. Będziesz musiała opowiedzieć ojcu, co tu się wydarzyło. Ci dwaj zabici to pewnie mieszkańcy Therae. Jest ich tu więcej?

- Nie! - krzyknęła Ashtarta, próbując dogonić olbrzyma. Niosła w rękę nóż Khai, który wyjęła z mułu rzecznego. Kiedy zrównała się z wartownikiem zobaczyła krwawą pręgę na skroni chłopca.

- Zabiłeś go?!

- Nie, ale zrobiłbym to, gdybyś mnie nie powstrzymała.

- On zabił tych opryszków, którzy na mnie napadli.

- Nie wiedziałem o tym. Zresztą fakt, że nasi wrogowie walczą z sobą, nie oznacza, że są nam przychylni.

Wartownik zatrzymał się na chwilę, a potem skręcił w zarośla, mimo że droga wiodła prosto do obozowiska.

Ashtarta podejrzliwie zerknęła za siebie. Zobaczyła ciało służącej przysypane częściowo darnią.

- Co z Launią? Dlaczego...?

- Ona nie żyje - wyjaśnił ponuro Ephrais. - Szła za tobą do rzeki, a ja podążałem jej śladem. Gdybyś nie uciekała jej tak szybko i gdybym ja był ostrożniejszy, pewnie byłaby tu teraz z nami zdrowa i cała.

- Gdyby nie ten niebieskooki chłopiec z Khem, pewnie leżałabym martwa obok niej. Och, Launia! - Dziewczyna zaczęła płakać.

- Trochę za późno na płacz, moja panno - rzekł ponuro wartownik. - Zostaw trochę łez na później. A tymczasem powiedz mi, co o

nim wiesz. - Zjrzał jej w oczy i dodał: - Widzę, że jesteś nim bardzo przejęta.

- Uratował mi życie, a ja obiecałam mu za to...

- Co takiego mu obiecałaś?

- Że nie spadnie mu włos z głowy - skłamała. Resztę dopowiedziała w myślach: - „Przyrzekam ci Khai z Khem, że kiedy zostanę królową Kush, mianuję cię generałem mojej armii”.

W tym czasie Ephrais, patrząc na nią kątem oka, zastanawiał się, dlaczego dziewczę tak podejrzanie się rumieni.

CZĘŚĆ SIÓDMA

I

Klątwa śmierci

W czasie gdy Ephrais niósł Khai do obozowiska partyzantów Membrina, Anelup stał przed faraonem ze spuszczoną głową, wysłuchując pokornie gróźb i oskarżeń pod swoim adresem.

- Uciekł?! - zagrmiał faraon. - Tak po prostu?! - Usiadł wzburzony na tronie. - Nie ma go od kilku dni, a ja dopiero teraz dowiaduję się o tym. To jakiś twój kolejny podstęp, Anelupie, co? Chcę zobaczyć chłopca, a ty rozkładasz bezradnie ręce i mówisz, że go nie ma.

- Uciekł, panie, w noc twoich ostatnich zaślubin - wybełkotał Anelup. Stał z głową nisko spuszczoną i zerkał lękliwie na jego drobną postać. - Wydostał się z piramidy i popłynął w dół rzeki.

- Dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział?! - zawył faraon, ciskając oczami błyskawice.

- Miałem nadzieję, że uda mi się go pojmać, sprowadzić z powrotem do grobowca i dać mu nauczkę. Nie chciałem niepokoić cię, panie, taką drobnostką.

- Mylisz się, Anelupie! - krzyknął faraon. - Bardzo zależało mi na tym chłopcu. Jak mogło dojść do tego, że uciekł? I gdzie jest teraz? Wezwij do mnie magów. Muszą odpowiedzieć na moje pytanie. - Rozmawiałem już z nimi, panie - odpowiedział Anelup i zbliżył się o kilka kroków do tronu. - Od momentu gdy chłopiec opuścił piramidę, byłem z nimi w stałym kontakcie. Nie wiedzą, jak do tego doszło. Znają jedynie miejsce, w którym się schronił.

- Tak? - Khasathut pochylił się w jego stronę, przewiercając go na wylot swoimi małymi oczkami. - Mów, gdzie!

- Spotkał się z oddziałami z Kush na południe od rzeki - odparł Anelup, drżąc na całym ciele. - Przygarnęli chłopca do siebie. Magowie widzieli to w swojej szklanej kuli.

- Kush! - wysapał Khasathut. - Znowu te przeklęte psy z Kush! - Uchwycił dłońmi oparcie tronu, aż zbiały mu czubki palców.

- Magowie mówią, panie, że sam Melebrin dowodzi tym oddziałem. Ten stary lis już od miesięcy nęka przygraniczne forty Khem.

- Od miesięcy? Mam wrażenie, że od lat! - krzyknął wściekły Khasathut. - A my, co uczyniliśmy, aby położyć kres jego swawoli? Nic!!!

- Panie! Czuję, że wybiła ostatnia godzina dla Melebrina - powiedział Anelup niepewnie.

- Co przez to rozumiesz, mój kapłanie?

- Pamiętasz, wszechpotężny, że kazałeś wysłać oddziały na zachód, aby wzmocniły obronę na granicy naszego państwa. - Anelup wydawał się z każdym słowem odzyskiwać pewność siebie. - W tej chwili znajdują się tylko o krok od obozowiska Melebrina...

- Powiadasz, że ten chłopiec, Khai, jest teraz z nim? - przerwał mu faraon.

- Tak twierdzą magowie.

Khasathut umilkł i przez chwilę siedział rozparty na tronie, wpatrując się w jedną z rzeźb w centralnym punkcie sali tronowej.

- Kush... - Anelup usłyszał jego jadowity głos. - Dlaczego co drugie słowo wypowiedane w mojej obecności, ma związek z tym przeklętym krajem? Dość tego! - Faraon poderwał się z tronu. - Chcę, aby moja armia rozniosła w pył te górskie szczepy z Kush! Nie obchodzi mnie, ile ofiar pochłonie ta wojna i jak długo będzie trwała. Kush musi przestać istnieć! Niech świat się dowie, co znaczy potęga faraona.

- Jak sobie życzysz, wszechpotężny. - Anelup znowu dotknął czołem posadzki.

- Wstań, kapłanie, i przekaż mój rozkaz generałom. Najpierw rozprawimy się z Melebrinem, a potem dobiore się do skóry, królowi N'jakk. Ma złoto, którego potrzebuję do ukończenia piramidy.

- Tak też się stanie, mój władco - rzekł Anelup i kłaniając się w pas, zaczął wycofywać się do wyjścia.

- Wracaj tu, Anelupie! - krzyknął Khasathut. - Na kolana!

Kapłan podbiegł do tronu i klękając położył głowę na stopach faraona, który dotknął palcami jego połyskującej czaszki i przemówił łagodnie:

- Gdybym choć przez jedną chwilę podejrzewał, że to ty, w obawie przed utratą moich łask i swojego stanowiska, pomogłeś chłopcu w ucieczce... - mówiąc to, wbił swoje długie paznokcie w białą skórę na głowie Anelupa - znalazłbyś się w niezłych tarapatach...

- Panie, ja... - wyjąkał kapłan.

- ...przy których - kontynuował faraon - obdzieranie ze skóry byłoby niewinną igraszką. - Khasathut przesunął dłoń do czoła Anelupa, pozostawiając na jego głowie pięć głębokich, krwawych rys. Potem odepchnął go od siebie i krzyknął: - Dopilnuj, aby wszystko odbyło się zgodnie z moją wolą!

Cela magów przypominała gniazdo kobry. Mimo że kapłan był tu już wiele razy, to nadal ich wygląd oraz bulgoczące retorty i szczątki mumii napawały go strachem i obrzydzeniem.

- Czemu zawdzięczamy twoją kolejną wizytę? - Głos jednego z magów przypominał pomruk grzechotnika.

- Przyszedłem... - zaczął kapłan, dotykając obwiązanej świeżym bandażem głowy.

- Nie jesteśmy lekarzami - przerwał mu drugi mag, przyrządzający w wielkim glinianym garze jakiś cuchnący wywar.

- Na waszym miejscu uważałbym, aby was nie spotkało coś podobnego z rąk faraona! - warknął Anelup.

- Czy coś nie tak, czcigodny kapłanie?

- Wiecie, że nigdy nie przychodzę do was bez powodu. Otóż faraon podejrzewa i mnie, i was, że go oszukujemy.

Magowie zaczęli chichotać.

- Nawet gdyby to było prawdą, nie ma najmniejszej szansy, aby to nam udowodnić.

- Mylicie się. Doskonale wiem, że mogliście odszukać chłopca jeszcze w Asorbes, ale nie kiwnęliście nawet palcem.

- Nic nie wiedzieliśmy o istnieniu chłopca, póki nam o nim nie wspomniałeś - mruknął kolejny mag. - Cóż nas, którzy służą nieśmiertelnym bogom, może obchodzić jakiś tam chłopiec.

- A gdybym tak szepnęła faraonowi, że wiecie, kto pomógł mu w ucieczce? - powiedział Anelup, uśmiechając się chytrze.

- Nie musisz nam grozić, nadworny kapłanie - odparł jeden z magów. - Nigdy nie zawiedliśmy cię i tym razem nie powiemy faraonowi o twoim oszustwie.

- Spróbujcie tylko - nasrożył się Anelup. - Nie przeżyjecie ani chwili dłużej, zginiecie w piekielnych mękach, razem ze mną.

- Mówiłem już, że nie musisz nam grozić.

- Grozę wam - zasyczał Anelup - bo boję się o własną skórę. Spójrzcie na moją głowę. To sprawa Khasathuta. Następnym razem mogę stracić życie. Dobrze wiecie, ile przyjemności daje mu zabijanie. Jedno nierozważne słowo i... - Anelup przeciągnął palcem po gardle.

- Rozumiemy, Anelupie - odparł ten, którego głos przypominał pomruk grzechotnika. - Nie musisz się nas obawiać. Nie życzymy ci źle.

- Mam taką nadzieję - odburknął kapłan i zaczął wycofywać się do wyjścia. - Jeszcze jedno. - Zatrzymał się w połowie drogi i zwrócił do magów: - Wiem, że potraficie rzucać klątwy.

- To prawda - odpowiedział kolejny mag przypominający do złudzenia nieboszczyka.

- To dobrze - pokiwał głową Anelup. - Ponieważ tym razem Melembrin może wpaść w szpony Khasathuta, a zgodnie z tym co utrzymujecie, chłopiec jest w jego obozowisku. Chcę, aby go zabito. Rzućcie swoją najokrutniejszą klątwę, aby Khai Ibin nie powrócił żywy do Asorbes.

- A jeżeli stary lis i tym razem wymknie się faraonowi? - zapytał jeden z siedmiu magów.

- Wówczas nie zależy mi na losie chłopca. Pragnąłem jedynie, aby opuścił Khem. Nie chcę, aby w przyszłości zastąpił mnie syn jakiegoś nędznego architekta.

- Rozumiemy. - Magowie pokiwali głowami.

- Cieszy mnie to. Wiedźcie też, że to ja w pewien sposób dopomogłem chłopcu w ucieczce. Pokazałem mu bowiem rzeczy, które wpłynęły na jego decyzję opuszczenia piramidy. Miałem nadzieję, że Khai zginie w trakcie zjazdu ze ściany. Stało się jednak inaczej. Następnego dnia rozkazałem żołnierzom gwardii królewskiej, aby odnaleźli chłopca. Mieli go dyskretnie doprowadzić do mnie, a ja pozbawiłbym

go życia. Ich poszukiwania spelzły na niczym.

- My znaleźlibyśmy go bez kłopotu - powiedział ten z głosem przypominającym pomruk grzechotnika.

- Wiedziałem o tym. Jednak przy okazji odkrylibyście moje knowania. Dzięki wam zaś dowiedziałby się prawdy faraon. Kto wie, może on kazałby wam pokrzyżować moje zamiary zabicia Khai. Zresztą teraz nie jest to już takie ważne. Ostrzegam was jednak, że jeżeli Khasathut dowie się czegokolwiek, wasze chwile będą policzone. Już ja się o to postaram.

- Mówiliśmy ci już, że z naszej strony nie musisz się niczego obawiać, kapłanie - zapewnił jeden z magów.

Anelup bez słowa pokiwał głową na znak aprobaty i opuścił celę.

Kiedy jego postać rozplynęła się w mrocznym korytarzu i umilkły odgłosy obutych w skórzane sandały stóp, przemówił mag o wyglądzie nieboszczyka:

- Khasathutowi nie uda się wziąć Melebrina do niewoli. Temu chłopcu też nic nie zagraża.

- Prawdę mówisz, czarny bracie - odezwał się ten ze złowrogim pomrukiem. - Chłopiec będzie żył.

- Jeżeli pozwolimy na to - dodał trzeci, którego głos przypominał dźwięki, jakie wydawałyby puste kadzie, gdyby kilka z nich zrzuciono na posadzkę.

- Wątpię, czy uda się nam wyrządzić mu jakąkolwiek krzywdę - dołączył się do rozmowy czwarty mag. - Los sprzyja temu chłopcu. Czuję to w moich starych kościach.

- Ja mu tam źle nie życzę, ale przygotuję klątwę na wszelki wypadek, gdyby zechciał powrócić do Khem.

- Tak bardzo boisz się Anelupa? - zapytał mag o wyglądzie trupa.

- Zgadłeś bracie. Czuję przed nim większy strach niż przed samym faraonem. Złe postęпки Khasathuta biorą się stąd, że on jest chory psychicznie, Anelup zaś jest zdrowy na ciele i umyśle i dlatego o wiele bardziej niebezpieczny...

Gdy Anelup powrócił do swojej celi, wyjął ze skrytki w ścianie małą drewnianą kasetkę. Otworzył inkrustowane złotem wieko i z lubością przyglądał się sztucznej szczęce, wykonanej z brązu. Została ona wykonana przez najlepszego odlewnika z Khem, trzy lata temu, kiedy

to Anelup był często i dotkliwie bity przez faraona. Odlewnik zresztą wkrótce zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, zabierając do grobu tajemnicę istnienia szczęki kapłana.

Z nieukrywaną satysfakcją Anelup włożył ją sobie do ust. Pasowała idealnie i przyjemnie chłodziła pomarszczone dziąsła. Musiał uważać, aby nie przytrzasnąć sobie języka, ponieważ zęby były ostre jak brzytwa!

Jeszcze przez chwilę kapłan rozkoszował się nimi, głaszcząc się przy tym po obolałej głowie. Wyjął szczękę z ust i na powrót włożył ją do kasetki, gdzie czekała na ten wyjątkowy dzień, kiedy to faraon zdecyduje się mianować kogoś innego na jego miejsce. Kapłan wiedział, że wtedy będzie musiał zginąć i już on się postara, żeby faraon miał powód zabić go.

Anelup raz jeszcze spojrzął na lśniące zęby i uśmiechając się pod nosem, zamknął kasetkę.

II

Khai mieszkańcem Kush!

Khai odzyskał przytomność dopiero wtedy, gdy oddział partyzantów rozbił obozowisko na sawannie, jakieś dwadzieścia mil na zachód od rzeki.

Podróżował na czymś w rodzaju potężnych noszy, których jedno końce wsparte były o zad konia, a drugie spoczywały na ziemi. Przypominał dużych rozmiarów pakunek, wciśnięty między toboły z żywnością i odzieżą. Większość siniaków i zadrapań, które odkrył po przebudzeniu, nabył w trakcie jazdy po niezwykle nierównym terenie.

Wszystkie zapasy Melebrina przewożono w ten sposób, gdyż w czasach gdy Saharę porastała bujna roślinność, nie znano jeszcze kół.

Khai z grymasem bólu rozcierał guzy na głowie. Bolała go każda najdrobniejsza kosteczka. Ashtarta pomogła mu wstać i podtrzymując pod ramię, poprowadziła przed oblicze ojca.

Król przed powrotem do warowni w Hartaph miał zamiar roznieść w pył jeszcze jeden z przygranicznych fortów faraona.

Z tego, jak Ashtarta zachowywała się przy Melebrinie, Khai wywnioskował, iż rzeczywiście jest jego córką. Poczul się nieswojo, zwłaszcza gdy przypomniał sobie ich rozmowę nad brzegiem rzeki.

Teraz, rozparty na miękkich poduszkach, siedział wygodnie naprzeciw Melebrina, który w milczeniu spoglądał na niego spod krzaczastych brwi.

Chłopiec nie pasował do wyobrażeń starego króla. Był za szczupły i za błydy jak na przeciętnego młodzieńca z Khem. Prawdę mówiąc, Melebrin pierwszy raz w życiu widział podobne stworzenie płci męskiej. O zawrót głowy przyprawiały go jego niebieskie oczy i płowa czupryna. Nie był przecież albinosem. Mimo drobnej budowy ciała był niezwykle silnym i wytrzymałym młodzieńcem i zapewne wkrótce wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Miał szerokie ramiona, takie

jak król lubił. Był też inteligentny i miał ten górski żar w oczach, gdy mówił o faraonie i o tym, jak kazał zamordować jego rodzinę. W jego błękitnych oczach nie było łez, a jedynie srogi gniew i determinacja.

Znacznie różnił się charakterem od gołowąsów w jego wieku. Dowod na to można była znaleźć niedaleko brzegu Nilu, w niskich trzcinach, gdzie leżały ciała najemników. To, jak rozprawił się z nimi, ujawniało jego instynkt zabójcy niegodny syna wielkiego architekta z Asorbes. Dzięki temu instynktowi uratował życie Ashtarcie, następczyni tronu Kush!

- Czy ludzie, których zabiłeś w lasach za rzeką, byli z Khem? - zapytał Melebrin po dłuższej chwili.

- Nie. Byli handlarzami niewolników z Arabby na usługach Khem.

- Powinieneś zwracać się do mojego ojca „panie”. - Ashtarta upomniała Khai.

- A ci najemnicy nad brzegiem rzeki pochodzili z Therae, nieprawdaż?

- Prawda - odparł Khai i syknął z bólu, dotykając skroni.

- Prawda, „panie” - przypomniała Ashtarta z naciskiem.

- Nie mam zamiaru zwracać się do twojego ojca w ten sposób, papugo! On nie jest przecież moim władcą! Nic mu przecież nie zawdzięczam. Przeciwnie. To twój ojciec powinien być mi wdzięczny za to, że ocaliłem cię z rąk tamtych szubrawców.

Na twarzy Ashtarty malowało się zdumienie.

- Miecz Ephraisa pozbawił cię rozumu! - syknęła.

Twarz Melebrina pociemniała z gniewu.

- Czy nie za bardzo interesujesz się tym młokosem, Sh'tarro! - krzyknął do córki. - Życzę sobie, abyś nie przeszkadzała nam w rozmowie!

- Mylisz się, ojczu - zaprotestowała. - Ten źle wychowany gbur nie zasługuje na moje zainteresowanie.

- Uratował ci życie, córko! Jesteś niewdzięczna! Sam nie wiem, czy dziękować mu za to, czy go przeklinać. A ty, chłopcze - zwrócił się do Khai - jeżeli nie będziesz okazywał należnego mi szacunku, każę cię stracić. - Ostatnie słowa króla Khai słyszał jakby z oddali, ponieważ jego uwagę przykuło to, jak Melebrin nazywał swoją córkę - Sh'tarra. Gdzieś już słyszał to zdrobnienie, tylko nie mógł sobie przypomnieć, gdzie.

- Posłuchaj mnie Khai Izbynie, czy jak się tam zwiesz! - mówił dalej Melebrin. - W moich szeregach brakuje dobrych łuczników. Proponuję ci, abyś zapomniał o Nubii i przyłączył się do mnie. Może w ten sposób z czasem nauczysz się zwracać do mnie właściwie. Co ty na to, chłopcze? Słyszysz mnie?

Khai spojrział mętnym wzrokiem na króla. W jego głosie dzwięczało jak echo:

„Sh'tarra!, Sh'tarra!, Sh'tarra”.

Z tym imieniem miało związek coś istotnego, czego nie mógł sobie przypomnieć.

Próbował wstać, ale zachwiał się i, gdyby nie nagła reakcja Ashtar-ty, upadłby na twardą podłogę namiotu.

Khai jednak odsunął się od niej i ponownie, choć nie bez wysiłku, stanął na nogi.

- Nic mi nie jest - wyjaśnił. - Zakręciło mi się tylko w głowie.

- Nie przejmuj się, chłopcze - przemówił łagodnie Melebrin. - Jesteś wyczerpany długą podróżą, brakiem snu i jedzenia. Musisz odpocząć. Później wrócimy do naszej rozmowy. Ashtar-ty! Pokaż Khai jego namiot.

- Zgoda... panie, ale najpierw powiem ci, co myślę o twojej propozycji - powiedział Khai, stojąc już pewnie na nogach. - Otóż przyłączę się do ciebie, mój królu, aby walczyć z faraonem. Będę zabijał jego żołnierzy, tak samo jak wojowników z Arabby czy Therae. Pozbawię życia każdego, kto odważy się służyć tyranowi z Khem.

- Wierzę ci, Khai - odparł Melebrin, uśmiechając się na widok szczerego gniewu chłopca. - Jak powiedziałem, porozmawiamy o tym później. Do tego czasu - zwrócił się do córki - Sh'tarro, daj naszemu gościowi jadła i dopilnuj, aby dobrze wypoczął. Jako zaciekle wróg faraona, zasłużył sobie na naszą specjalną troskę!

Khai przespał cały dzień i obudził się dopiero w środku nocy. Jego namiot przypominał wigwam indiański, którego centrum stanowił pień drzewa. Jako okrycie służył mu ciepły koc, który teraz chronił go przed chłodem. Mógł więc uważać się za szczęśliwca; w tak krótkim czasie zdążył zaprzyjaźnić się z potężnym królem Melebrinem, dostał pożywienie i świeżą odzież. Tej starej, którą miał na sobie, nie zmieniał odkąd opuścił Asorbes. Mógł też wypaść się do woli bez

obawy, że po przebudzeniu zostanie poćwiartowany przez żołdaków albo najemników Khasathuta.

Tak rozmyślając, poczuł nagle głód spotęgowany zapachem gotującej się nad ogniskiem stawy.

Wstał i nabrał do płuc orzeźwiającego powietrza. Prostując obolałe członki, usłyszał znajomy głos, dobiegający jego uszu z cienia, jakie rzucało na ziemię drzewo, pod którym stał.

- Nie śpisz już, Khai? - zapytała Ashtarta, podchodząc bliżej. - Przy ognisku czeka na ciebie kolacja. Będiesz też mógł porozmawiać ze starszymi wojownikami o dyscyplinie panującej w obozowisku. Od jutra bowiem rozpoczniesz swoją służbę u boku mojego ojca. Młodzi żołnierze będą jakiś czas dokuczać ci, ale na pewno dasz sobie z nimi radę.

- Wiele potrafię znieść - odparł Khai ziewając - z wyjątkiem babskiej paplaniny.

- Ty niewdzięczniku! - krzyknęła Ashtarta i zbliżyła się do niego. Jej twarz przypominała chmurę gradową.

Tym razem ubrana była w strój godny księżniczki: krótkie skórzanospodnie i zieloną tunikę z jedwabiu, ciasno związaną w tali. Jej piękne, długie włosy sięgały niemal, do bioder. W rękę trzymała mały bat, używany do konnej jazdy wierzchem. Szpicruta pasowała do długich, czarnych skórzanych butów. W uszach tkwiły dwa złote kolczyki w kształcie kół. Trzeci, podobny, zdobił jej czoło.

Zajrzała Khai głęboko w oczy i wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Tym razem posunąłeś się za daleko, Khemito!

- Ty również, księżniczko - wymówił to ostatnie słowo, jakby wypływał z siebie truciznę. Było w tej dziewczynie coś, co nie pozwalało mu traktować jej przyjaźnie. - Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? - zapytał.

- Jak śmiesz?! - Spojrzała na niego oburzona.

- To raczej ja powinienem cię o to zapytać. W końcu uratowałem ci życie i postanowiłem służyć twojemu ojcu. W zamian chcę jedynie odrobinę świętego spokoju.

- Ja tylko... - Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Grozisz mi złym traktowaniem ze strony wojowników. Otóż lepsze ich razy niż gadulstwo jakiejś zepsutej księżniczki z krokodylim temperamentem.

- Krokodylim temperamentem?! - Ashtarta krzyknęła z impetem.
- Jeszcze się przekonasz, jaki mam temperament! - Łzy jak grochy popłynęły z jej dużych oczu. - Dostaniesz za swoje, ty... ty...

Zanim chłopiec zdążył zareagować, uniosła rękę i smagnęła go końcem szpicruty po policzku, zostawiając na nim krwawą pręgę.

Khai stracił równowagę, zachwiał się i runął na ziemię, pociągając za sobą dziewczynę. Ashtarta uniosła rękę, zamierzając po raz drugi uderzyć go szpicrutą w twarz. Nie zdążyła jednak, bo otrzymała potężny cios kolanem w przeponę.

W mgnieniu oka uniosła się do góry, lecz za chwilę upadła plecami na twarde w tym miejscu podłoże.

Ich szamotanina przyciągnęła uwagę mężczyzn siedzących przy ognisku. Młody żołnierz, starszy od Khai o dobre dwa lata, zbliżył się do nich i odciągnął księżniczkę obejmując ją w pól.

- Manek Thotak, zostaw mnie! - krzyknęła. - Jeszcze nie załatwiłam porachunków z tym pętakiem.

- Co takiego?! - krzyknął żołnierz. - Nie pozwolę ci pobrudzić rąk w walce z tym znajdującym z Khem! Zaraz wygarbuję mu skórę prawdziwym batem! - Mówiąc to, rozwiązał długi bat i przygotował się do walki.

Khai nie stał jednak z założonymi rękami. W oka mgnieniu sięgnął po łuk i zanim Manek zdążył zareagować, nałożył strzałę i napiął cięciwę. Potem grot strzały wycelował w pierś żołnierza.

- Zobaczmy, wściekły psie, kto kogo szybciej zgładzi - wysapał.

- Cóż wy wyprawiacie? - Ich uszu dobiegł głos Ephraisa. - Odłóż bat, młody człowieku, a ty, przybyszu z Khem - zwrócił się do Khai - przestań się popisywać umiejętnością strzelania z łuku.

Po tych słowach jego wzrok padł na Ashtartę, nastroszoną jak kogut przed walką.

- To ty, moja panno? Czyżbyś znów wodziła chłopców na pokuszenie?

Zanim Ashtarta zdążyła dać upust swojej złości, usłyszeli w oddali tętent kopyt i na polanę, na której płonęło ognisko, wpadło trzech

jeźdźców. Bez chwili zwłoki poprosili o widzenie z Melebrinem. Byli wyczerpani długą jazdą. Nie lepiej wyglądały też zajęchane wierzchowce.

- Po co ten pośpiech? - zapytał jeden z siedzących przy ogniu żołnierzy.

- Czyżby sam diabeł was ścigał? - dodał drugi.

- Gorzej, przyjacielu! - odparł jeden z jeźdźców. - Zaraz będzie tu połowa armii Khasathuta; niemal wszystkie oddziały z fortów Afaltah i Kurag. Obawiam się, że w ich szpony wpadli już nasi chłopcy na północy. Ci na południu będą mieli dużo szczęścia, jeżeli uda się im dotrzeć do domu. Radzę pójść w ich ślady, i to zaraz, bo jutro może być za późno!

III

Ucieczka na wzgórze

Nie minęło kilka minut, gdy doniesiono o wszystkim Melembri-nowi. Pozostało mu jedynie zebrać ludzi przy ognisku i powiedzieć im o zaistniałej sytuacji.

- Żołnierze - rozpoczął. - Wygląda na to, że tym razem dotkliwie użądaliśmy jego wysokość faraona Khem. Nigdy dotąd bowiem nie zapuszczał się na te tereny. Tym razem postanowił nas dopaść. Jak wam wiadomo, jesteśmy oddziałem dowodzącym i każdy na miejscu Khasathuta starałby się pozbawić naszą armię jej dowódców, a przede wszystkim naczelnego wodza. Jest tu was przeszło setka. - Rozejrzał się dookoła, próbując wyłowić z ciemności twarze dowódców. - Nie damy rady stawić czoła psom faraona.

- Będziemy walczyć do ostatka! - zaproponował któryś ze stojących przy nim żołnierzy.

- Proszę bardzo - zgodził się Melembri. - Tylko co by to dało, skoro armia naszego wroga nie odniosłaby w starciu najmniejszych nawet strat? Zapewne doszło już do walki z naszymi doborowymi oddziałami, każdy po trzystu ludzi. Skoro dochodzą mnie słuchy, że wojska Khasathuta posuwają się nieprzerwanie w naszą stronę, oznacza to, że albo nasi wspaniali chłopcy polegli, albo wycofali się. Już wcześniej wydałem rozkazy, żeby w przypadku przeważających sił wroga zarządzić odwrót w stronę wzgórz.

- Sześciuset doborowych żołnierzy uciekło jak banda tchórzy - mruknął zwalisty oficer, siedzący najbliżej ognia.

- Moje rozkazy były jasne - odparł Melembri. - Nie chcę, abyście powiększali grono sług bogów w niebie, czy też na ziemi, przy budowie piramidy dla tego potwora!

- Chcesz, panie, odplacić faraonowi pięknym za nadobne? A co z naszą zapłatą za zniewolenie naszego ludu?

- Nie tu i nie teraz! - odpowiedział król. - Zaczekamy na jego armię w naszej warowni na wzgórzach. Od lat liczyliśmy się z faktem,

że któregoś dnia Khasathut zechce podbić nasz kraj i jesteśmy dobrze przygotowani na jego przybycie.

- Nie zgadzamy się, panie! - odpowiedziało mu kilka głosów. - Chcemy walczyć z nim tu.

- Melebrinie, królu nad królami - odezwał się jeden z wojowników siedzących w pierwszym rzędzie. - Każesz nam odwrócić się plecami do hien. Nie wyobrażam sobie, abym mógł uciec przed jakimkolwiek psem z Khem!

- Daj spokój, Thotak! - ryknął Melebrin. - Posłuchaj, chłopcze, głosu rozsądku. Nie jest sztuką dać się tu zabić garstce żołdaków z Khem, kiedy możemy schronić się za murami naszej warowni w Har-taph i stamtąd rozgromić całą tą parszywą armię!

- Ale...!

- Dość! - Melebrin przerwał Manek Thotakowi w pół słowa i uniósł gniewnie brwi. - Jeżeli mianuję cię generałem, jak twego ojca przed tobą, to wtedy będziesz mógł mi się sprzeciwić, ale póki co, masz wykonywać moje rozkazy bez dyskusji, rozumiałeś!

W odpowiedzi Manek kiwnął twierdząco głową i usiadł na swoim miejscu.

- Straciliśmy już i tak wiele czasu. - Melebrin rozejrzał się dookoła. - Pozbierajcie, co się da, i przytroczone do wierzchowców. Resztę spalcie razem z namiotami. Ogień przyciągnie jednostki faraona jak ćmy. My pojedziemy ogon przy ogonie, nie oświetlając drogi pochodniami. Zaraz powinien wzejść księżyc. Nie pobłądzimy więc. Jak tylko będziecie gotowi - ruszamy!

Kiedy Melebrin skończył mówić, żołnierze pośpieszyli wypełnić jego rozkazy. Pozbierali jedynie broń i rzeczy osobiste, a namioty, nie wyłączając królewskiego, podarli na kawałki i wrzucili do ognia.

W chwili gdy Khai uporał się z własnymi tobołkami, przyprowadzono konie i chwilę potem stu ludzi, uzbrojonych po zęby, ruszyła na zachód.

Khai próbował bezskutecznie dosiąść konia, który kręcił się nerwowo na widok strzelających w górę płomieni.

- Ashtarto! - krzyknął w stronę przejeżdżającej obok dziewczyny.

- Dla ciebie jestem księżniczką Ashtartą! - odparła, ściągnając lejce wierzchowca. - Wskakuj!

Khai uchwycił się wyciągniętej ręki dziewczyny i omal nie zrzucił jej z siodła.

- Kiepski z ciebie jeździec, chłopcze! Ostrożnie, bo zostaniemy tu na zawsze!

- W Asorbes nie ma koni - odparł gniewnie Khai, obejmując Ashtartę wpół. Jego głowa, wsparta na jej ramieniu, podskakiwała rytmicznie.

- To żadna sztuka jeździć konno - wyjaśniła mu księżniczka. - Musisz ściągnąć kolanami grzbiet konia i uchwycić się rękoma jego grzywy, a nie moich nóg!

Ominęła zręcznie stos palącej się odzieży i dołączyła do kolumny. Wkrótce tuż obok nich wyrosła olbrzymia postać Ephraisa.

- Widzę, księżniczko, że zmiękło ci serduszko i nie zostawiłaś naszego gościa na pastwę okrutnego losu - wyszeptał. - Aż miło patrzeć, jak się czule do siebie tulicie.

- Mylisz się, Ephrais. Ten gbur nigdy w życiu nie siedział na koniu. Ocaliłam mu skórę i tym samym w pełni spłaciłam swój dług.

- Z tego co pamiętam, to splata twojego długu miała wyglądać zupełnie inaczej - szepnął Khai Ashtarcie do ucha. - Pozwól, że ci przypomnę...

- Nie waż się! - syknęła i szturchnęła go łokciem w żołądek, a potem celowo przyspieszyła galop.

Khai ponownie uwiesił się na niej rozpaczliwie. Nie czuł nawet bólu, jaki powodowały uderzenia jej ramion o jego szczękę. Ashtarta zaś śmiała się w duchu, słysząc jego siarczyste przekleństwa. Po chwili jednak ulitowała się nad nim i ściągnając lejce, zmusiła konia, by zwolnił.

Ephrais zdążył jeszcze zauważyć, jak patrzyli na siebie, potem zawrócił konia i pojechał na sam koniec kolumny. Po drodze obserwował czerwoną lunę na niebie, bijącą od palącego się obozowiska. Olbrzym potarł dłonią chropowaty podbródek i rzekł do swojego konia:

- Nasza mała Sh'tarra durzy się w chłopcu z Khem. Co do tego możesz być pewny, staruszk. Wygląda na to, że Manek Thotak będzie miał rywala!

Piętnaście minut później kolumna żołnierzy dotarła do pagórkowatego terenu porośniętego gęstymi krzewami i wysoką trawą.

Ashtarta nie spuszczała oczu z pomalowanych w białe pasy zadków koni jadących na przedzie.

- Spójrz na zady jadących przed nami koni - powiedziała cicho księżniczka do Khai. - Obserwujący nas teraz zwiadowcy faraona są święcie przekonani, że jest nas tu zaledwie garstka. Z tymi białymi pasami ozdabiającymi nasze konie, przypominamy ogromnego węża.

- Masz rację, księżniczko. Pierwszy raz widzę podobną sztuczkę - odpowiedział chłopiec, mimo że głowę miał zajętą innymi myślami.

Myśli te wywołał zapach włosów Ashtarty i wypięte pośladki, które nieświadomie przyciskały się do jego brzucha oraz grzbiet konia między nogami. To wszystko sprawiło, że złość, którą czuł do dziewczyny, odleciała gdzieś z wiatrem. Nie czuł już bólu żeber w miejscu, gdzie otrzymał porcję kuksańców. Oczywiście wyobraźni powrócił do lasu, gdzie najemnicy z Therae próbowali zgwałcić Ashtartę. Leżała tam prawie naga z szeroko rozwartymi udami. Przypomnił sobie jej małe piersi, płaski brzuch i długie zgrabne nogi... Czuł, że miłość z nią przypominałaby zmagania z samicą krokodyla. Byłaby to jednak walka z pełnym rozkoszy zwycięstwem.

Czując, że bliskość dziewczyny i jego własne myśli rozpalają zmysły, rozluźnił się nieco i odsunął od niej o kilka cali.

- Nie odsuwaj się ode mnie! - rozkazała Ashtarta. - Nawet nie zauważę, jak spadniesz z konia, gdy będę musiała nagle przyspieszyć!

Khai przysunął się posłusznie bliżej. Ashtarta znów napała pośladkami na jego podbrzusze i nagle znieruchomiła. Khai uśmiechnął się. Był przekonany, że dziewczyna wyczuła owo tajemnicze męskie napięcie, i teraz czekał na jej reakcję, która jednak nie nastąpiła. Dojechali bowiem do szczytu wzgórza i widok, jaki się stamtąd rozciągał, zaparł obojgu dech w piersiach.

IV

Niebezpieczna przełęcz

Przed nimi w odległości dwóch, trzech mil rozciągała się przełęcz. Przejście między wzgórzami oświetlało światło z tysięcy pochodni! W ich stronę podążało kilka dużych oddziałów wojska. Echo niesło złowrogi śpiew i odgłos bitewnych trąb regularnej armii Khasathuta.

Ashtarta spięła konia ostrogami i zrównała się z potężnym wierzchowcem ojca. Melebrin w swoim hełmie na głowie przypominającym czaszkę jakiegoś przedpotopowego gada wyglądał jak okrutny barbarzyńca, a nie jak mądry i szanowany władca.

- Jak sądzisz, ojcze, ilu ich jest? - zapytała.

- O wiele za dużo, córko - odparł. - Musimy dojechać do przełęczycy przed nimi. W przeciwnym razie... - urwał w pół zdania.

- Ojcze, posłuchaj!

- To ty mnie posłuchaj, Sh'tarro. Bez względu na przebieg wydarzeń, musisz przedostać się do Kush. Unikaj walki za wszelką cenę. Wiem, że gdy zajdzie potrzeba, potrafisz walczyć do końca. Ktoś jednak musi bronić ojczyzny. I nie zapominaj też, że pewnego dnia zostaniesz królową, a trudno rządzić zburzonym krajem. Zrozumiałaś?

Ashtarta w odpowiedzi tylko pokiwała głową i krzyknęła:

- Ojcze, dojadę do Kush! Wszystkim nam się to uda!

- Mam taką nadzieję - odparł Melebrin. - Nie uda ci się jednak uciec z chłopcem za swoimi plecami. Daj go do mnie.

Khai uchwycił się mocnego ramienia króla, który uniósł go lekko jak piórko i posadził na grzbiecie swojego konia. Khai objął go wpół. Odczuwał paniczny strach, podobny do tego, który towarzyszył mu, kiedy pierwszy raz dosiadł konia Ashtarty.

- Przyssałeś się do mnie jak kleszcz, chłopcze - stwierdził król. - Stary Piorun nawet nie zauważył, że ma jeszcze jednego pasażera na grzbiecie. Nie ma się czego bać, chłopcze. Zresztą możesz do woli

trząść się jak galareta. Lepsze to niż spacer po trawie. Dalej, Piorun! Naprzód! - zagrział Melebrin.

Wierzchowiec pognął jak strzała w stronę przełęczy, która przypominała gardło olbrzymiego krokodyla.

Kiedy granitowe ściany przełęczy otoczyły partyzantów, zwolnili nieco i zapalili pochodnie. W górze, ponad szczytami, widać było miliony gwiazd.

Khai znów przyłgął do pleców Melebrina, które dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Rytmiczne uderzenia kopyt wierzchowca zaś przypominały do złudzenia grzmot bitewnych bębnow. Czuł, jakby to on, a nie król, był owym wspaniałym jeźdźcem dowodzącym doborową armią żołnierzy. Widział siebie w zbroi, z tarczą w jednej ręce i lancą wycelowaną w pierś pędzącego w jego kierunku jeźdźca w drugiej. Jeszcze chwila, a połyskujące ostrze przebije na wylot wroga...

- Przed nami koniec przełęczy, chłopcze. - Głos Melebrina wyrwał go z marzeń. - Nie widać tu żadnego z twoich ziomków. Nie traćmy czasu. Naprzód!

Z okrzykiem na ustach, zwielokrotnionym przez echo, oddział partyzantów wypadł na porośniętą rzadką trawą równinę. Pędząc utworzyli szyk bojowy z Melebrinem na czele i księżniczką Ashtarą w środku. Ich nagłe pojawienie się zaskoczyło Khemitów. Szybko jednak ochłonęli i po chwili w pośpiechu kompletowali rynsztunek bojowy, zamierzając przystąpić do kontrnatarcia. Słychać było trąbienie słoni.

Faraon po raz pierwszy użył tych zwierząt do walki. Żołnierze poganiali je, aby jak najszybciej odcięły drogę podstępnemu Melebrinowi.

Głośnie komendy dowódców mieszały się z odgłosem bębnow i trąb.

- Odrzućcie pochodnie i jedźcie na oslep - rozkazał Melebrin. - Nie zapomnijcie też osłaniać się tarczami.

Ta ostatnia komenda padła na kilka sekund przed wypuszczeniem w ich stronę gradu strzał.

Po chwili słychać było, jak odbijały się od skórzanych zbroi i twardej tarcz z brązu. Wolna przestrzeń zmniejszała się raptownie. Na szczęście blokowali ją jedynie piechurzy i łucznicy.

- Jedźcie prosto na nich! - zagrział król, zmuszając swojego Pioruna do jeszcze szybszego galopu.

Zaraz potem kilku Khemitów odbiło się od boków wierzchowca i znikło w ciemności. Khai uniósł wysoko głowę. Poprzez wznoszący się kurz widział mocarne ramiona króla. Melebrin wywijał maczugą na lewo i prawo, siejąc wokół śmierć i przerażenie.

Partyzanci, dzięki zaciętej walce, posuwali się naprzód, pozostawiając za sobą stratowane ciała żołnierzy faraona. Z prawej i lewej strony słychać było jeszcze świst strzał, którym towarzyszył krzyk nacierających wojowników.

Melebrin popędził do grupy swoich ludzi czekających, aby dać mu zbrojną osłonę.

W tym samym czasie łucznicy faraona napięli cięciwy i wypuścili długie strzały w kierunku majaczących w ciemności sylwetek uciekających partyzantów. Kilka sekund później znaleźli się oni nieoczekiwanie pod gradem strzał.

Khai poczuł potężne uderzenie w plecy i piekący ból. Zobaczył też strzały w plecach Melebrina. Wokół słychać było jęki konających, których również dosięgły strzały oprawców z Khem.

Khai poczuł, że krew ścieka mu po plecach. Zacisnął z bólu zęby. Inni jeźdźcy, widząc, że Piorun podejrzanie zwalnia bieg, pośpieszyli do króla w obawie przed najgorszym. Starali się uspokoić i pomóc rannemu królowi.

Na szczęście wojska faraona zostały daleko z tyłu. Z tej odległości ich łucznicy nie byli tak groźni.

Po dobrych dziesięciu milach Melebrin poczuł, że ręce chłopca słabną. Doszedł do wniosku, że opresja z jakiej właśnie wyszli, była ponad jego siły. Zwolnił więc i nakazał swoim ludziom zdjąć Khai, a sam zeskoczył z siodła. Zatoczył się jednak i z pomocą stojących najbliżej wojowników położył się na trawie. Pozostali zapalili pochodnie, oświetlając nimi króla.

- Wyciągnijcie mi z pleców tę przekłątą strzałę! - rozkazał. - Tylko pospieszcie się, bo... - Nie dokończył, widząc, że w plecach chłopca również tkwi śmiertelna strzała.

- To dlatego chłopiec tak nagle osłabł - zamruczał. - To była strzała przeznaczona dla mnie... Mattasi - krzyknął - Gdzie jesteś, ty cholerny rzeźniku? Musiałem chyba oszaleć, że zaufałem medykowi, który bardziej nadaje się do łamania kości niż ich leczenia. Khai, chłopcze, żyjesz?

Khai uniósł się na łokciach i pokiwał twierdząco głową.

Wkrótce pozostali jeźdźcy zeskoczyli z koni i otoczyli rannego króla tak ciasnym kołem, że Ashtarta z medykiem Mattasem z trudem dotarła do ojca.

- Nie, Sh'tarro! - poprosił Melembryn, odpychając ją od siebie delikatnie. - Lepiej zajmij się chłopcem. Ja sam sobie dam radę. Odsuńcie się! - krzyknął do żołnierzy. - Zróbcie miejsce dla Mattasa! Niech ktoś zrobi nosze; jedno dla mnie, a drugie dla tego chłopca. A ty, mój połowy rzeźniku - zwrócił się do medyka - kiedy poskładasz nas dwóch do kupy, wyciągnij strzałę Piorunowi. Utkwiła w jego boku... ach! - krzyknął w momencie, gdy Mattas odchylił połę jego płaszcza i bez zbytich ceregieli wyrwał z ramienia długą, ociekającą krwią strzałę.

Potem, kiedy medyk odwrócił się do Khai, chłopiec ujrzał najpierw czerwone mroczki przed oczyma, a po chwili stracił przytomność.

V

Warownia w Hartaph

Khai otworzył powoli oczy, słysząc stłumiony płacz. Obok klęczała Ashtarta i przyciskając do policzków róg skóry, którą był okryty, pochlipywała cichutko. Próbował się poruszyć, ale jego ciało przeszył paraliżujący ból, a głowę niczym wulkan rozsadzała od środka potężna siła. Rozejrzał się dookoła. Odkrył, że leży w jaskini, której mrok rozjaśniało światło słoneczne, padające z otworu w niskim suficie.

- Otwórz oczy, chłopcze z Khem. - Dobiegł jego uszu głos dziewczyny. - Choć na tę jedną chwilę, aby mogła podziękować ci za to, że ocaliłeś życie mnie i mojemu ojcu. Jak mam ci się odwdzięczyć, skoro umierasz?

- A jednak - odezwał się cicho Khai - przynajmniej, że nadal masz dług wobec mnie?

Ashtarta spojrzała na chłopca i pospiesznie wstała. Jej oczy były pełne łez, a na twarzy pojawił się purpurowy rumieniec. Na próżno próbowała ukryć radość i zażenowanie.

- Mam dług wobec ciebie, to prawda - odpowiedziała - ale nie tego rodzaju dług wdzięczności, jaki masz na myśli. Uratowałeś życie mnie i mojemu ojcu.

- W takim razie - odparł Khai - nie jesteście mi nic winni. Pragnę jedynie otrzymać pożywienie i miejsce do spania. Zresztą już o tym mówiłem. Jeżeli zaś chodzi o twojego ojca, to tylko przypadek sprawił, że uratowałem mu życie. Sądziś, że siedziałbym spokojnie na koniu, gdybym wiedział, że w moją stronę szybuje strzała?

- Strzała, która mogła zabić mojego ojca!

- Czy ja wiem? - Khai wzruszył ramionami. - Mnie przecież nie zabiła.

- O mały włos, a zginąłbyś... Uratował cię kołczan ze strzałami, który miałeś na plecach. Strzała przebiła go i utkwiała w plecach, blisko kręgosłupa. Bogom dzięki, że płytko. Od tamtej pory leżałeś

nieprzytomny w gorączce. Czasem bełkotałeś coś bez sensu, a czasem byłeś tak błady i cichy jak nieboszczyk!

- Och - westchnął Khai. - Czuję się już o wiele lepiej. Nie bołą mnie już plecy i jestem głodny jak wilk. To pewnie dobry znak?

- Jasne! Masz ochotę na mięso? Dużo lepsze niż te papki, którymi cię karmiłam - wybuchnęła śmiechem, a Khai jej zawtórował, póki nie poczuł bólu w plecach.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał pojękując. - Dlaczego tu tak cicho? Przecież wy, mieszkańcy Kush, jesteście wyjątkowo hałaśliwi...

- Potrafimy też zachować spokój, jeżeli wymaga tego sytuacja - odpowiedziała. - Oplakujemy dzielnych wojowników, którzy zginęli w obronie północnej granicy kraju.

- A co z pozostałymi - zapytał Khai. - Co bronili południowej granicy?

- Uszli z życiem. - Twarz Ashtarty pojaśniała. - Spotkaliśmy się z nimi pod murami warowni. Wszyscy uważają, że mamy teraz ciszę przed nadciągającą burzą.

- Pod murami warowni? O jakiej warowni mówisz?

- Jesteśmy na wzgórzach Hartaph - odpowiedziała. - Żołnierze faraona deptali nam po piętach. Zresztą ułatwiliśmy im to, zostawiając ślady, które dostrzegłby nawet ślepiec. Rozbili teraz obozowisko u podnóża naszej twierdzy. Lada chwila mogą zaatakować.

- Co takiego? - krzyknął Khai, próbując usiąść. - Hartaph? Przecież wzgórza te leżą w sercu Kush. Muszę to wszystko zobaczyć na własne oczy!

- Wykluczone! - zaprotestowała, przytrzymując go za ramiona. - Nie po to karmiłam cię łyżeczką przez tydzień, abyś teraz w ciągu kilku minut zmarnował cały mój wysiłek.

W odpowiedzi Khai zacisnął tylko zęby i, niepomny na jej prośby, nadal próbował wstać. Tym razem ból w plecach stał się znośniejszy, choć głowa ciążyła mu nadal. Wysunął nogi spod pledu i postawił boscie stopy na zimnej kamiennej posadzce.

- Jesteś słaby jak kociak - oznajmiła. - Przynajmniej wesprzyj się na mnie - mówiąc to, objęła go za ramiona.

Nie biorąc pod uwagę bandaży, którymi były owinięte jego plecy i klatka piersiowa, Khai był nagi. Z oznakami zażenowania na twarzy

pozwolił jej nałożyć sobie koszulę, potem wsunął na stopy skórzane sandały, a biodra okrył męską spódnicą.

- Jeżeli znajdziesz mi kij, żebym mógł się podpierać, nie będę potrzebował twojej pomocy - zaproponował. Ashtarta pokiwała głową i odparła:

- Dopiero wtedy, gdy zgodzi się na to Mattas, a póki co, będzie ci musiało wystarczyć moje ramię. - Odrzuciła włosy do tyłu i dodała:

- Chyba że moja obecność jest ci niemiła?

- Nie, księżniczko - odparł, wzruszając ramionami, a potem uśmiechając się do niej, rzekł: - Twoja obecność sprawia mi przyjemność po warunkiem, że nie każesz mi jeździć z sobą konno.

- O ile pamiętam, jazda za mną sprawiała ci przyjemność...

- Zależy, co masz na myśli, księżniczko? - Uśmiechnął się pod nosem.

- Doskonale wiesz, co, ty paskudny lubieżniku.

- Pogódźmy się! - zaproponował Khai, wyciągając w jej kierunku dłoń. - W końcu powinienem być ci wdzięczny za troskliwą opiekę, jaką mnie otoczyłaś, przysła królowo Kush.

- Karmiłam cię jedynie z rozkazu ojca - odparła.

- Ojciec... - powtórzył za nią. Przypomniawszy sobie nagle, że Melebrin również był ranny. - Co z nim?

- Niestety, nie jest już młody - odparła smutno. - Łotr, który strzelał do niego, pewnie maczał grot swojej strzały w nieczystościach, bo nie czuje się najlepiej. To z jego powodu płakałam, kiedy odzyskałeś przytomność.

- Domyśliłem się - odpowiedział, uśmiechając się ponownie, ale zaraz spoważniał. - Gdzie teraz jest król? - zapytał.

- Możesz spotkać się z nim w każdej chwili. Tylko zachowuj się poprawnie, bo zyskałeś sobie jego wielki szacunek, a to oznacza, że możesz zająć wysoko w naszej armii. Wciąż dopytywał się o twoje zdrowie. Chętnie porozmawia z tobą.

Kiedy wychodzili z jaskini, Ashtarta podtrzymywała Khai pod ramię, a on, powłócząc nogami, wzbijał tumany piasku. Khai przetańczył oczy i spojrzął na horyzont. Dookoła, jak okiem sięgnąć, panowała pustka. Miejsce, gdzie stali, otoczone było potężnymi głazami, które -

jak się chłopcu zdawało - sięgały samego nieba. Wzgórza Hartaph jawiły mu się jako dach całego świata.

To jest łańcuch górski Gilf Kebir - powiedziała. - Te głazy są naturalnymi murami obronnymi, potężniejszymi niż otaczające Asorbes. Dziesięć mil dalej wzgórze rozchodzą się i są pełne wąwozów i zdradliwych przełęczy. Samo Hartaph jest potężnym kanionem, który powstał, kiedy świat był jeszcze bardzo młody.

Zaprowadziła go na najwyższy punkt wzgórza, skąd widać było wojowników z Kush, którzy usadowili się grupkami na stromych zboczach. Ich brązowe kurtki i tego samego koloru spodnice zlewały się barwą z głazami i drobnymi skałami.

- Spójrz w dół! - powiedziała Ashtarta. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zakreśliło mu się w głowie.

Przed nim, niemal pionowo w dół, opadała ściana skalna. U jej podnóża płynął wąski strumyczek. Wypływał spod Gilf Kebir i wił się między skałami w kierunku południowym. Po obu stronach strumienia rozciągała się porośnięta trawą i krzewami dolina. Z góry widać było kolorowe kwiaty i szare hałdy gruzu i kamieni.

- Lepiej cofnij się, Khai - poradziła Ashtarta. - Ziemia w tym miejscu mogłaby się z łatwością obsunąć. Czuję, że coś niedobrego wisi w powietrzu - dodała, rozglądając się nerwowo. - Wygląda na to, że wojska faraona szykują się do ataku.

- Zaczekaj, Ashtarto - poprosił Khai, kiedy księżniczka ruszyła przed siebie. - Podaj mi ten kij, który leży w trawie przed nami; ten z rozwidleniem na końcu. Żadna z niego kula, ale lepsza taka niż... Prowadź mnie do ojca, Ashtarto!

- Nie mamy czasu.

- Wiesz co, księżniczko?

- Słucham, Khai.

- Mimo że patrzyłem uważnie, nie dojrzałem żadnego z żołnierzy Khasathuta.

- Bo spoglądałeś na warownię. To samo czynią żołnierze faraona, którzy przycupnęli u stóp góry. O czym myślałeś, kiedy patrzyłeś w dół? - zapytała.

- Próbowałem ocenić, jaka jest wysoka.

- Co jeszcze? - nalegała.

- Widziałem potężną bramę stojącą otworem i dwóch wartowników wystawiających twarze do słońca. Niedaleko pasterz wypasał owce, a w powietrzu czuć było zapach przygotowywanej strawy. Odniosłem wrażenie, że za parowem leży mała, spokojna wioska.

- Świetnie. Tak samo uważa horda Khasathuta. Hartaph to nie nazwa wioski, a strumienia. Za parowem zaś nie ma żadnej wioski, a jedynie strome skały. Na ich szczyt można dostać się bezpiecznie jedynie przy pomocy drabin, które w mgnieniu oka zostają potem wciągnięte na górę. Chodź ze mną...

Ashtarta poprowadziła Khai wzdłuż niskiego kamiennego muru, za którym stał rząd wojowników wpatrujących się uważnie w dno wąwozu. Khai dostrzegł też kopce usypane z kamieni, podparte drewnianymi kłodami. Oczyma wyobraźni widział lawinę kamieni zasypujących intruzów zbliżających się do bram warowni. Khai zastanawiał się, jakich diabelskich sztuczek użyje Melebrin, aby wprowadzić w zasadzkę ludzi faraona.

Sto jardów dalej ujrzeli Melebrina, jak z garstką żołnierzy obserwował kanion. Khai poznał go po gęstej brodzie i krzaczastych brwiach.

- Khai! - pozdrowił go wesoło król. - Zbliź się do mnie, młodzieńcze. Tylko trzymaj głowę nisko! Widzę, że nieźle cię urządzili ci przekłeci łucznicy faraona. Jesteś cały w bandażach. Jak się czujesz?

- Jestem głodny i bolą mnie wszystkie kości, panie.

- Miałeś szczęście, chłopcze. Mnie ugodzili zatrutą strzałą. Czuję, jak to ścierwo niszczy mnie. - Po tych słowach Melebrin znów utkwił wzrok w dole wąwozu.

Khai przez chwilę przyglądał się jego twarzy. Król miał podpuchnięte oczy i żółtą, niezdrową cerę. Idąc za jego wzrokiem, dostrzegł na wzniesieniu, niecałe pół mili od bram warowni, obozowisko swoich byłych ziomków. Nie palono ognisk i prawie nie dawano oznak życia.

Z ilości namiotów wywnioskował, że było tam dobre tysiąc żołnierzy.

- Trzy tysiące. - Melebrin wydawał się czytać w myślach chłopca. - Nie widać ich stąd, bo ukryli się za gęstym lasem. Ale nie martw się, chłopcze, nasze mury są nie do zdobycia.

- Mury?

- Tak nazywamy te wysokie głazy zamykające parów. Widzisz, chłopcze, faraon ze swoją armią po raz pierwszy zapuścił się w te strony. Od lat spodziewaliśmy się ataku jego wojsk. Dlatego na obszarach naszego kraju rozciągających się aż po Nil nie ma ani jednej ludzkiej sadyby. Rozkazałem moim podwładnym osiedlać się na wzgórzach Gilf Kebir i na zachodnich stepach.

- Więc wejście do parowu jest niezamieszkane? - zapytał Khai.

- Niezupełnie. Są tam niewielkie osady, ale każda z nich jest dobrze strzeżona.

- Zaraz rozpoczną atak, królu - przerwał Melebrinowi Mattas. - Oto nadjeżdża nasza przynęta.

VI

Śmierć w wąwozie

Do wąwozu wjechało na koniach z tuzin jeźdźców. Mieli przy sobie lekką broń, a do siodeł przytroczone lupy.

Przypominali oddział powracający z jednego z wypadów poza granicę Khem.

Wojownicy śmiali się i rozmawiali głośno, nieświadomi - jak się wydawało - czyhającego niebezpieczeństwa.

Około pięćdziesięciu jardów dalej za drzewami w gęstej wysokiej trawie leżeli żołnierze z Khem potowi w każdej chwili ruszyć do ataku.

Khai niemal namacalnie wyczuwał napięcie, jakie im towarzyszyło.

- Twój ludzie, panie, nie wiedzą, że żołnierze faraona czyhają na nich jak koty na mysz? - zapytał szeptem Khai.

- Zdają sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, chłopcze - odparł Melebrin. - Jak mówił medyk, są przynętą. Do tej pory Hartaph było dla żołnierzy jedną z wielu zwyczajnych osad, jakiegoś na wpół koczowniczego szczepu. Teraz jednak doszli do przekonania, że jest to baza partyzantów. Spójrz tylko... Wojownicy skręcili na dobrze ubity trakt biegnący w kierunku bramy warowni. Strażnicy na ich widok potrząsnęli radośnie włóczniami.

W pewnym momencie dwaj partyzanci zatrzymali wierzchowce i zaczęli głośno żartować i śmiać się.

- Widzisz, chłopcze - odezwał się Melebrin. - Żołnierze faraona są teraz pewni, że wrota, które widzą przed sobą, nie chronią jakiejś zagubionej w górach wiejskiej osady, lecz potężnej warowni partyzantów.

- Ruszają do ataku! - krzyknął Mattas.

Żołnierze faraona, krzycząc i uderzając włóczniami w tarcze, pościgali za partyzantami. Widząc, co się dzieje, wartownicy pośpiesznie

zamknęli bramę i dołączyli do oddziału partyzantów. Pasterze również rzucili się do ucieczki i nie minęło kilka sekund, jak zniknęli w załomach skał.

Ludziom Melebrina udało się szczęśliwie uniknąć gradu strzał i zdystansować wroga oddziały z Khem.

Żołnierze faraona z impetem natarli na bramę, która pod naporem tysiąca ciał rozpadła się na dwie części. Nie minęło kilka sekund, jak olbrzymia masa wojska niczym powódź zalała wąwóz u stóp góry, na szczycie której stali żołnierze Melebrina.

- Spuście kamienie! - ryknął Melebrin niczym słoń.

Na tę komendę wojownicy zsunęli się nieco ze skarpy w kierunku blokujących głazy belek. Dokładnie pod nimi znajdowało się około dwustu żołnierzy Khasathuta, którzy miotali się wściekle, próbując odnaleźć przeciwników, którym mogliby stawić czoła!

Wojownicy Melebrina za pomocą zmyślnych dźwigni uwolnili setki ton kamieni, które potoczyły się z hukiem wprost na głowy zaskoczonych żołnierzy. Ci, których nie zasypała lawina kamieni, rzucili się do ucieczki, próbując wydostać się przez bramę na zewnątrz.

Niestety, ich wysiłek okazał się daremny, gdyż był on zbyt wąski, aby pomieścić tak potężną ilość ludzi. Ponadto napierali na nią stojący na zewnątrz żołnierze, nieświadomi tragedii, jaka rozegrała się za murami. Zresztą oni też nie byli bezpieczni.

Kolejne drżenie skał otaczających wąwóz, zwiastowało nadejście kolejnej śmiertelnej lawiny. Tym razem dno parowu wypełnionego oszalałymi z trwogi ludźmi przykryła następna warstwa kamieni, które posypały się również na żołnierzy skupionych pod bramą. Lawinie głazów towarzyszyły wielkie tumany kurzu.

Wojownicy na szczycie wzgórz nie ustawali w pracy, póki ostatni głaz nie stoczył się w dół na głowę wroga.

- Dostali za swoje - zawyrokował Melebrin, chwytając mocno ramię Khai. - Zaczekamy, póki kurz nie opadnie, aby nacieszyć wzrok zwycięstwem,

Po tych słowach przyjrzał się uważnie Khai i powiedział:

- Czyżbyś, chłopcze, nie lubił zabijania? Podejrzanie drżysz na całym ciebie!

- Jestem jeszcze słaby po chorobie, panie - odparł Khai. - Od tygodnia przecież nie wstawałem z łóżka. Co do zabijania, to doskonale

wiesz, królu, że faraon wymordował moją rodzinę i śmierć całej armii nie jest w stanie wynagrodzić mi bólu i cierpienia, jakich doświadczyłem. Jeszcze raz ci, panie, przyrzekam, że nie spocznę, póki nie zgładzę samego Khasathuta, jego nadwornego kapłana Anelupa i czarnoskórych gwardzistów.

- Dobrze to ująłeś, chłopcze - rzekł Melebrin i dodał: - Spójrz na ten rodzinny grobowiec wściekłych psów z Khem. To może choć trochę ukoi twój ból.

Kurz zdążył już opaść, odsłaniając potężną masę kamieni, wymieszanych z darnią i ziemią zagarniętą ze zboczy. Tym niezwykłym rumowiskiem wypełniony był cały parów.

Zaległa głucha cisza, której nie zakłócały już ani okrzyki bojowe wrogiej armii, ani uderzenia włóczniami o tarcze.

Pod gruzami bez najmniejszych oznak życia leżało ponad połowę żołnierzy, którzy przybyli do wzgórz Gilf Kebir, aby na rozkaz Khasathuta ostatecznie rozprawić się ze starym lisem i jego partyzantami.

Strumyk, który do tej pory płynął spokojnie po dnie wąwozu, zaczął nagle tworzyć coraz większe rozlewiska. Działo się tak z powodu kamieni, które nagle znalazły się na jego drodze.

Kiedy poziom wody uniósł się nieco, po drugiej stronie rumowiska pojawił się znowu wąski strumyczek, wijąc się uparcie tą samą drogą co poprzednio. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie jego czerwony kolor! Woda nie zmieniła tej barwy przez następne dwa dni.

- Spójrz, Khai! - Ashtarta pociągnęła chłopca za rękaw, wskazując ręką mężczyznę. Stał na potężnym kamieniu, nie opodal miejsca, w którym oficerowie kazali ustawić się swoim podwładnym w szeregach i liczyli zabitych.

- Ojczy, czy ty także widzisz tę kreaturę?

- Tak, córeczko - odpowiedział Melebrin. - Wiele bym dał, żeby ten skunks leżał teraz pod kamieniami na dnie wąwozu.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał Khai, przyglądając się mężczyźnie, który wymachiwał pięściami w ich stronę i obrzucał Melebrina stekiem najwymyślniejszych przekleństw. Miał na sobie szkarłatną tunikę i czarne spodnie, które nawymowniej świadczyły o jego pochodzeniu z Arabby. Miał też przy sobie ich sławetny, zakrzywiony kindżał.

- Zwą go Czerwonym Zodbą - uprzedził króla Mattas. - Jest najemnikiem z Arabby na usługach faraona. To on jest odpowiedzialny za większość krwawych rajdów poza granice Nubii w celu pojmania niewolników. Wiemy też, że od dawna ostrzył sobie pazurki na mieszkańców Gilf Kebir. Wiele by dał, aby móc uczynić z nas niewolników. Po to zresztą tu przybył. Te jego złorzeczenia nie są pustymi słowami. Gdybyśmy kiedykolwiek dostali się do niewoli faraona, Zodba dopilnowałby, aby do reszty obrzydło nam życie!

- Pragniesz jego śmierci, panie? - zapytał Khai.

- Bardziej niż setki jego kamratów - odparł gniewnie król.

- Każ, panie, przynieść mój łuk i strzały.

- Daj spokój, chłopcze - zaśmiał się medyk. - Chcesz go ustrzelić z tej wysokości? Postradałeś chyba zmysły! Nie znam łuczника, który byłby zdolny dokonać podobnego wyczynu.

- To zaraz poznasz - odciął się Khai.

Ashtarta chwyciła chłopca za ramię i zajrzała mu w oczy. Były zimne jak górski strumyk.

- Przyniosę ci twoją broń - powiedziała - wiem, gdzie jest.

Pobiegła w stronę niskich zabudowań po drugiej stronie płaskowyżu.

- Wyjdiesz na głupca, jeśli nie trafisz - powiedział Melebrin.

- A jeżeli trafię, panie?

- Wówczas pozwolę ci trenować moich łuczników. W takim przypadku najlepszy z nich nie dorastałby ci do pięt.

- Zgoda. Jak wysoko jesteśmy, panie?

Melebrin potrząsnął głową.

- Trzysta, może czterysta stóp od dna wąwozu. Uda ci się trafić Zodbę z tej wysokości?

- Przez większość drogi dobrze wycelowana strzała będzie opadała pod wpływem własnego ciężaru - odparł Khai. Mówiąc to, wilgotnym palcem zbadał kierunek wiatru. - Mówiłeś panie, że zostanę wielkim mistrzem łuczników?

- No cóż - westchnął Melebrin. - Nie mam w swojej armii stanowiska, o którym mówisz.

- Najwyższy czas, abyś je panie ustanowił, skoro twoi łucznicy są niewiele warci. A w jakim stopniu byłby ów wielki mistrz łuczników?

- Co najmniej kapitana. - Melebrinowi spodobała się propozycja chłopca.

W tym czasie przybiegła Ashtarta i ciężko sapiąc podała Khai łuk i strzałę. Chłopiec w mgnieniu oka nałożył strzałę, napiął cięciwę i wymierzył w maleńką, ledwie widoczną postać łowcy niewolników.

Khai stał przez chwilę w bezruchu, majestatycznie niczym królewski Gilf Kebir, po czym z charakterystycznym świstem wypuścił strzałę.

Teraz wszystkie oczy wpatrzone były w Czerwonego Zodbę, który miotał się na dole jak wściekła małpa.

W pewnym momencie, złorzecząc, uniósł pięść do góry, zastygł na kilka sekund w tej pozycji, a następnie, chwając się, runął twarzą w dół na trawę.

Strzała przeszła serce Zodbę na wylot.

Khai odwrócił się do Melebrina stojącego z otwartymi ustami i zapytał:

- Mam nadzieję, panie, że dotrzymasz słowa i mianujesz mnie kapitanem łuczników?

Zanim Melebrin zdołał cokolwiek z siebie wykrztusić, Ashtarta objęła Khai za szyję i mocno przytuliła do siebie.

Pół godziny później do miejsca, w którym leżało ciało Zodbę, zbliżył się wódz wszystkich jednostek faraona przybyłych do Hartaph. Zasalutował Melebrinowi i wbił sobie miecz w serce. Wolał sam zadać sobie śmierć niż osobiście zameldować faraonowi o haniebnej klęsce.

Oficerowie z należytą czcią owinęli jego ciało w sztandar i niosąc je, podążyli na południe.

Od tamtej pory żadna stopa obuta w ciężkie wojskowe sandały z Khem nie ważyła się stanąć u podnóża Gilf Kebir.

CZĘŚĆ ÓSMA

I

Awans Khai Ibzina

Gdyby później zapytano Khai o to, jak mu się wiodło w Kush przez pierwsze lata, jego odpowiedź byłaby niejasna. Pomimo że był kapitanem i szanowanym mistrzem łuczników, szykanowali go zarówno starsi oficerowie armii Melebrina, jak i rówieśnicy. Po części było to zrozumiałe. Był przecież żółtodziobem i na domiar złego pochodził z wrogiego kraju. Najbardziej dokuczał mu Manek Thotak, który z czasem awansował do stopnia kapitana oddziałów konnych i przy tej okazji manifestował swoją wrogość wobec przybysza z Khem.

Khai udało się jednak zaprzyjaźnić z kilkoma osobami. Do tego grona należała z pewnością księżniczka Ashtarta. W Khem łatwo nawiązywał nowe przyjaźnie, tu wyraźnie stronił od ludzi. Winą za swoją samotność obarczał nie tylko tubylców i ich stosunek do niego, ale także koszarne sny, nawiedzające go noc w noc. One też sprawiły, że ponad wesołe rozmowy z rówieśnikami przedkładał samotne wędrówki po dzikich stepach Kush, z dala od obozowisk i osad.

Po zwycięstwie w wąwozie u stóp Gilf Kebir Melebrin przeniósł się w głąb kraju, gdzie świeże powietrze i soczysta zieleń na pewno miała szybko przywrócić mu zdrowie i siły. Zatrzymał się w Nam-Khum, miejscu swoich narodzin. Tam też zezwolił swoim ludziom na powrót do domów, do swoich żon i dzieci. Mimo to wszyscy oni byli gotowi stanąć natychmiast u jego boku w przypadku ataku wojsk faraona lub któregoś z przygranicznych państw.

Szczęśliwie się jednak złożyło, że ów atak nie nastąpił i wojownicy czy partyzanci na powrót stali się miłującymi pokój rolnikami.

Khai miał teraz mniej obowiązków. Mimo to jego samotność z miesiąca na miesiąc pogłębiała się. Koszarne sny nawiedzały go teraz nie tylko w nocy, ale i za dnia, kiedy ucinął sobie krótkie drzemki.

Jeszcze jako dziecko, często miewał koszmary, ale teraz powracały one ze zdwojoną siłą. Często śniło mu się, że leci w przestworzach albo jedzie z ogromną szybkością w jakichś dziwnych pojazdach po czarnych pasach równo ubitej drogi. Po przebudzeniu nigdy nie pamiętał szczegółów, a jedynie mgliste obrazy czegoś wyjątkowo przerażającego.

Zdarzały się jednak chwile, kiedy te dziwne wizje stawały się pomocne.

Tak było w przypadku zawodów luczniczych, kiedy to wygrał we wszystkich czterech dyscyplinach. Potem przyszła kolej na posługiwanie się batem. Zmierzył się wtedy z samym mistrzem Manek Thotakiem i zajął drugie miejsce. Na koniec przyszło mu wypróbować swoich sił w zapasach. Mógł wziąć w nich udział każdy młodzieniec, który wyraził na to ochotę.

Walka toczyła się wewnątrz ringu, który otoczony był niewysokim murem usypanym z kamieni. Wygrywał ten, kto ostatni pozostał na ringu.

Przed zmaganiem mężczyzn, Khai obserwował dzieci, które przez cały ranek bawiły się na ringu w zapasy. W pewnym momencie pojawiła się jedna z jego kolejnych wizji.

Zobaczył na ringu małych żółtych ludzi, którzy szczerząc zęby w uśmiechu, kłaniali się sobie nawzajem, a chwilę potem rzucili się na siebie, walcząc zaciekle.

Khai potrząsnął głową i wizja ustąpiła. Ale nie upłynęło kilka sekund, gdy ponownie ujrzał mężczyzn o żółtej karnacji skóry. Tym razem jednak on sam walczył z nimi na ringu. Już po pierwszym starciu wiedział, że ma do czynienia z mistrzami. Wydawało mu się, że istoty te, w rzeczy samej, uczą go sztuki walki i że dzięki nim sam stał się mistrzem. Wyglądał też jakoś inaczej. Miał potężne ramiona i silnie umięśnione ciało. Poruszał się z szybkością błyskawicy. Był dojrzałym mężczyzną! Świadomość tego sprawiła, że poczuł się dziwnie w swoim obecnym młodzieńczym ciele. I kiedy po chwili zadziwiająca wizja minęła, poprzysiął sobie, że zacznie trenować zapasy.

Ze wszystkich młodzieńców, którzy późnym popołudniem pojawili się na ringu, Khai był najmłodszy. Poza wiekiem różnił się też od nich budową ciała. Był szczupły, gibki, ale słabo umięśniony. Miał w sobie jednak coś, co sprawiło, że był godnym przeciwnikiem. Ściągał też

na siebie uwagę wszystkich siedzących dookoła obserwatorów. Nawet sam Melebrin, złożony chorobą, usadowił się na kamiennym podium i wzrokiem pełnym podziwu spoglądał na chłopca. Obok niego przycupnęła Ashtarta, zaskoczona widokiem Khai w roli zapaśnika.

Na początku zmagania starsi zawodnicy ignorowali Khai. Jednak wkrótce, kiedy usunął z ringu kilku słabszych zapaśników, stał się poważnym przeciwnikiem. Trzech z nich, z przepaskami na biodrach, spojrzęło na siebie znacząco i zaatakowało kapitana łuczników.

Jeden z nich niezgodnie z przepisami uderzył Khai łokciem w twarz.

Drugi wymierzył mu cios w plecy, a trzeci - potężnym kopniakiem w nogi powalił na ziemię.

Wtedy w Khai nastąpiła przemiana. W jednej sekundzie stał się zupełnie innym człowiekiem. Brocząc krwią, zerwał się na równe nogi i ze zdwojoną siłą uderzył pięścią w nos najwyższego z napastników. Zanim tamten zdążył ochłonąć, Khai wykonał w powietrzu obrót i uderzył łokciem w twarz tego, który poprzednio zadał mu podobny cios. Jeden z napastników chwycił Khai od tyłu za gardło i wraził mu kolano między łopatki. W tym momencie powietrze przeszył krzyk Khai i chłopiec, niczym mistrz wschodnich sztuk walki, wykonał nagły obrót ciałem w powietrzu, a napastnik poszybował za kamienny mur okalający ring. Potem nastąpiła seria ledwie dostrzegalnych ciosów rękami i nogami, wycelowanych w pozostałych zawodników.

- Sh'tarra, spójrz tylko na tego chłopaka! - krzychał Melebrin, wstając z podium. - Za młodu walczyłem tak jak on. Khai to urodzony morderca!

- Tego nie można nazwać zapaśnikami, ojciec - odparła Ashtarta. - Cali ociekają krwią. Przecież oni walczą na śmierć i życie, i jest to przede wszystkim wina Khai.

- Mylisz się, córko! - wysapał Melebrin. - To oni go podstępnie zaatakowali.

Widząc, że Khai rozgromił tak wielu zawodników, pół tuzina zapaśników rzuciło się na niego, próbując go wypchać z ringu. Poradził sobie z nimi błyskawicznie, rozrzucając ich na lewo i prawo, póki nie stanął twarzą w twarz z Manek Thotakiem. Przez chwilę chwiali się,

wyczerpani do granic ludzkiej wytrzymałości, spoglądając na siebie przekrwionymi oczyma. Pierwszy doszedł do siebie Manek i napinając mięśnie, resztką sił rzucił się na Khai i obaj, szamocząc się, wypadli poza ring.

- Remis! - krzyknął Melebrin. - Co ty na to, Sh'tarro?

- Sądzisz ojcze, że po tej walce zostaną przyjaciółmi?

W odpowiedzi król obrzucił młodzieńców spojrzeniem. Obejmowali się wpół, próbując wstać z ziemi. Do uszu Melebrina dobiegł ich głośny śmiech.

- Jestem tego pewien - odpowiedział po chwili. - Muszą pozostać przyjaciółmi. W ich rękę, podobnie jak pozostałych oficerów, spoczywają losy naszego wspaniałego kraju.

Od tamtej chwili upłynęły trzy lata. Khai wyrósł na wspaniałego mężczyznę.

W tym czasie do Kush zaczęły napływać niepokojące wieści o walkach na granicy Nubii z Khem. Król N'jakkó w końcu otwarcie sprzeciwił się oddziałom Khasathuta plądrującym jego kraj w poszukiwaniu coraz większej liczby niewolników. Czarnoskóry lud nie tylko przepędził wojska faraona ze swojego państwa, ale dokonał szeregu udanych ataków na warownie Peh-il i Phehar.

Khasathut w odwecie rozkazał wznieść fortece wzdłuż rzeki, między Pah-il a Subor. Zawarł też trwałą sojusz z Arabą i zażądał wypłacenia mu lenna od Siwadu i Syry, którego to potrzebował do sfinansowania planowanej melioracji.

W powietrzu wisiała burza i w Kush zaczynało się odczuwać jej złowrogie tchnienie.

Manek i Khai bardzo się z sobą zaprzyjaźnili. Mimo to Thotak nadal odnosił się z rezerwą do Ibizina, traktując go z pewną wyższością.

Dla Khai był dobrym człowiekiem, ale pochodził przecież z Khem; w jego żyłach płynęła zdegenerowana krew. Były momenty, kiedy Thotak traktował go bardziej jak najemnika na usługach Kush niż sprzymierzeńca.

Obaj awansowali do stopnia pułkownika. Melebrin bardzo sobie cenił ich zdanie w sprawach wojskowych. Czuł też w starych kościach, że zbliża się dzień, kiedy jego armia znowu będzie musiała stawić czoła wojskom faraona.

Król tracił siły z dnia na dzień. Był świadom, że umiera. Trucizna, która przedostała się do organizmu, drażyła go niczym kornik pień starego drzewa.

Ashtarta zajęta przygotowaniem do koronacji, w wolnym czasie zapoznawała się ze swoimi powinnościami przyszłej królowej Kush.

Khai przestały nękać upiorne sny, te, które miewał obecnie, pamiętał po przebudzeniu ze wszystkimi szczegółami. Śnił o kołach i o czarnym metalu ukrytym w ziemi.

Melebrin wkrótce umarł i Ashtarta została następczynią tronu.- Jednak koronacja odbyła się dopiero po miesięcznej żałobie, w czasie której dziewczyna przekształciła się w ostateczną królową, a jej rządy przyjęto bez najmniejszych oznak sprzeciwu.

II

Pojawienie się magów

W tym też czasie Khai odważył się opowiedzieć sędziwemu czarownikowi Imthrze o swoich snach. Przyjaźnili się z sobą od dwóch lat. Im więcej Imthra dowiadywał się o przybyszu z Khem, tym bardziej fascynowała go jego postać. Różnił się od tubylców nie tylko kolorem włosów i oczu, ale poglądami na życie oraz wiedzą wojskową. Największą jednak uwagę czarownika przyciągały sny Khai.

Ten niezwykle mężczyzna z Khem opowiadał starcowi o metalu w ziemi, nazywając go „żelazem”. Nazwę metalu kojarzył za słowem: „Mer-ow-eh”. Tak zwało się miasteczko, leżące w Nubii, na południe od Nilu.

Młodzieniec wspominał też o kole i nawet narysował Imthrze powóz wyposażony w te okrągłe cudeńka. Wymówił przy tym słowo „Hyrksos”, które stanowiło nazwę ludu zamieszkującego tereny kilkaset mil na zachód od Kush.

Imthra, najmądrzejszy człowiek w całym Kush, zdał sobie sprawę, że Khai jest o wiele bardziej zagadkową postacią, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Podzielił się tymi uwagami z resztą czcigodnej starszyny i w ten właśnie sposób wieść o nadprzyrodzonych zdolnościach młodego pułkownika obiegła cały kraj. Zresztą udowadniał na każdym kroku, że to co o nim mówiono, było prawdą.

Kiedy bowiem strzelił z łuku, strzała leciała prosto do celu. W zapasach zaś nie miał sobie równych. Dzięki zmaganiom na ringu, jego ciało oplotły potężne mięśnie, które nadawały jego sylwetce godny wygląd. Wkrótce bowiem, zgodnie z przyrzeczeniem Ashtarty, miał awansować na generała. Młody wiek nikogo nie dziwił, ponieważ wszyscy dowódcy w armii byli młodzi.

Dzięki młodzieńczemu zapałowi i jasności umysłu wojska wychodziły zwycięsko z każdej potyczki.

To właśnie między innymi było powodem wizyty, jaką złożyło Ash-tarcie siedmiu wielkich magów. Przybyli ze wszystkich krajów graniczących z Kush. Niektórzy z nich, aby ominąć Khem, musieli jechać tysiąc mil po morderczych stepach. Zaskakujące było jednak to, że przybyli tego samego dnia, a nawet w tej samej godzinie.

Imthra czuł, że stanie się coś niezwykłego, gdy w swoim magicznym kryształce dostrzegł siedem dziwnych cieni. Nie sądził jednak, że dożyje czasu, kiedy sędziwi magowie, wszyscy razem, przestąpią próg jego skromnego domostwa w Nam-Khum.

Z całej siódemki znamienitych mężów znał jedynie magapustelnika z Kush, z którym często się spotykał. Pozostałych znał jedynie ze słyszenia.

Po uroczystym powitaniu, kiedy magowie spoczęli na ławach w skromnie umeblowanym salonie, Imthra zapytał czcigodnych gości o cel wizyty, najwidoczniej ważny, skoro zdecydowali się na tak długą podróż, aby się z nim spotkać. Magowie odparli, iż pragną, by nadworny czarownik Ashtarty złożył królowej hołd w ich imieniu i zaproponował jej ich usługi. Chcieliby też spotkać się z generałem Khai Ibinem, który jeszcze jako chłopiec, przybył z Khem.

- Ależ Khai Ibin nie jest jeszcze generałem - oponował Imthra.

- Po naszej jutrzejszej rozmowie z królową, zostanie nim na pewno - odpowiedział jeden z nich.

Następnego popołudnia królowa zwołała posiedzenie rady, w skład której wchodziła jej doradcy (włącznie z Imthrą) oraz przywódcy szczepów. Między innymi obecni też byli pułkownicy Khai i Manek, którzy rankiem powrócili z polowania na wzgórzach.

Ilość osób świadczyła o tym, że narada dotyczyć będzie problemów znacznie ważniejszych niż właśnie szczepowe.

Magowie spotkali się z królową wcześniej i rozmawiali z nią kilka długich godzin. Widzieli się też z Khai i wypytawali go o jego wizje i dziwne sny. Interesowali się też, czy chciałby powrócić do Khem, aby zabić faraona. Na pożegnanie zaskładowali Ibinowi, zwracając się do niego „generale”.

Przed wyjściem mag z Nubii, zauważywszy znak Adondy Gombi na jego szyi, gdyż Khai nigdy się z nim nie rozstawał, nazwał go mścicielem.

W czasie spotkania z królową panowała niezwykle napięta atmosfera.

- Drodzy wojskowi, moi czcigodni doradcy i przyjaciele - rozpoczęła Ashtarta. - Jest to jedno z naszych nadzwyczajnych posiedzeń. Doniesiono mi bowiem, że faraon Khasathut znów zamierza zaatakować nasz kraj!

Jej słowa wywołały poruszenie wśród wszystkich zebranych. Ashtarta uniosła dłoń i, kiedy rozmowy ucichły, mówiła dalej:

- Moi dowódcy, musicie być świadomi, że armia faraona przewyższa dziesięciokrotnie nasze oddziały partyzantów: liczebnością wojsk i uzbrojeniem. Tym razem ich dowódcy nie dadzą się zapędzić w zasadzkę. Poradzono mi więc, aby nasz kraj zrezygnował z obrony!

- Mamy się poddać bez walki?! - krzyčili dowódcy, wymachując pięściami. - I tak radzi nam córka wielkiego wodza Melebrina!

- Za radą mędrców - kontynuowała Ashtarta, ignorując uwagi oficerów - nie zamierzam, przynajmniej na razie, walczyć z Khem. Zostawimy nasze domostwa i schronimy się poza granicami Kush.

- Opuścimy nasz kraj?! - Na twarzach dowódców widać było oznaki najwyższego oburzenia.

- Taka jest moja wola - odparła stanowczo Ashtarta.

- Sami zniszczymy i splądrujemy nasz kraj, aby wrogie wojsko nie znalazło tu nic prócz ruin i zgliszcz!

- O to musicie zapytać Khai Ibzina - odparła królowa - a raczej generała Khai Ibzina, gdyż postanowiłam awansować go do tego stopnia, podobnie jak pułkownika Manek Thotaka. Drogi generale, odpowiedz swoim dowódcom w moim imieniu.

Decyzja królowej tak bardzo zaskoczyła Ibzina, że nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Natychmiast wykorzystał to jeden z najbardziej napastliwych oficerów i głośno powiedział:

- Popatrzcie tylko! Przybysz z Khem wyniesiony do rangi generała. Cóż z niego za wódz armii, skoro nawet nie potrafi przemówić do swoich żołnierzy?

Khai na szczęście w porę odzyskał głos i przerwał oficerowi:

- Skoro jesteś taki waleczny, Dori Antoshin, to czy stawisz czoła w ringu sześciu największym mocarzom? Coś mi się wydaje, że nie.

Khai oparł się o stojącą przed nim ławę i już uspokojony kontynuował:

- Zabiorę pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy do Nubii. Tam mam przyjaciół, którzy u mojego boku będą walczyć z Khasathutem. Jest tam też w ziemi czarny metal, z którego każę wykonać broń. Generał Manek Thotak ze swoimi oddziałami wyruszy do Siwadu, skąd uderzy na siły faraona. Tam też pozna tajniki walki na bagnach. Przyda nam się ta umiejętność, kiedy zaatakujemy Khasathuta w Asorbes, które jest zewsząd otoczone bagnami.

Poza tym lud Siwadu to doskonali garbarze i wykonują dla nas pewne przedmioty, które we właściwym czasie przywiezie z sobą generał Thotak.

Khai przerwał, spojrział na królową i na Imthrę siedzących na końcu ławy.

- Nasza królowa i czcigodny czarownik - mówił dalej - udadzą się na zachód, do ziem zamieszkałych przez lud Hyrksos. Poprowadzą tam z sobą kobiety i dzieci. Będzie ich ochraniać kilka naszych zbrojnych pułków. Hyrksos są przyjaźnie nastawieni do obcych, ponieważ do tej pory nikt im nie zagrażał. Są wspaniałymi rzemieślnikami i wybudują dla nas wozy, które będą jechały na czymś, co się zwie kołami. Królowa powróci wkrótce w wozach bojowych, jakich świat do tej pory nie widział.

- O bogowie! - przerwał Ibinowi kolejny z dowódców, którego zwano Gendhur Shebbithon. - Cały ten plan jest szaleństwem, strategią opartą na wizjach szarlatanów i snach jakiegoś cudzoziemca, który doszedł do władzy w naszym kraju. Pytam więc wszystkich tu zgromadzonych: czy mamy być mu posłuszni? Kim są ci podstępni słudzy ciemnych mocy, że udało im się omamić córkę Melebrina do tego stopnia, że każę nam opuścić ojczyznę? Ciekawe, co ma do powiedzenia generał Manek Thotak? Tylko jemu możemy zaufać, bo, podobnie jak jego szlachetny ojciec, udowodnił, że kocha swój kraj.

Manek zerwał się na równe nogi i powiedział:

- Ucisz się, Gendhur Shebbithonie. Zaczekaj, aż wszystko zostanie wyjaśnione do końca.

- Ale kto to wszystko ma nam wyjaśnić? - zapytał oficer siedzący obok Shebbithona. - Szarlatani, których podszeptom uległa królowa?

- Dosyć! - krzyknęła wzburzona Ashtarta. - Nie pozwolę obrażać moich gości! Sądźcie, że bez wahania przystałam na ich propozycję? Ja, która podobnie jak wy, umiłowałam ten kraj! Wiem jednak, że jeżeli nie opuścimy Kush, zginiemy lub dostaniemy się w łapy siepaczy faraona. Zrozumieliście?

- Tak pani, ale... - odezwał się jeden z oficerów.

- Żadnych „ale”! - krzyknęła Ashtarta i dłonią nakazała powstać jednemu z siedmiu magów. - Wysłuchajcie teraz, co mają do powiedzenia ci zacni mędrcy, a potem osądźcie moją decyzję.

III

Posłanie magów

Nikt nie zna prawdziwych nazwisk siedmiu magów. Ten, kto by to odkrył, znacznie osłabiłby ich potęgę. Staliby się bowiem łatwym łupem złych mocy.

- Ja jestem magiem władającym siłami pozazmysłowymi. Tak przedstawił się mag, którego wskazała Ashtarta. - Wiele lat temu - kontynuował mag - ojciec Khasathuta sprowadził na swój dwór siedmiu czarowników władających złymi mocami. My również jesteśmy magami, czy - jak wolą inni - szarlatanami, ale my, w przeciwieństwie do magów Thanopeta, zajmujemy się czystą magią. Stary faraon wezwał ich do siebie, ponieważ się obawiał, że mogą zwrócić się przeciwko niemu. Poza tym był już stary i rozumiał, że jego synowi - Khasathutowi - potrzebni będą potężni sprzymierzeńcy. Nakazał więc swojemu nadwornemu kapłanowi zadbać o ich wygody i zlecił im odkryć tajemnicę nieśmiertelności. Wkrótce jednak Thanopet zmarł i na tron wstąpił ostatni z jego dynastii - Khasathut, który na swojego kapłana wyznaczył Anelupa. Póki co, możemy być poniekąd wdzięczni obu faraonom, że znaleźli magom zajęcie, które pochłonęło ich bez reszty. W ten sposób uchronili świat od klęsk, które zapewne byłyby ich dziełem. Moi bracia i ja żywimy głęboką odrazę do pracy, jaką wykonują dla faraona. Mamy też świadomość, że póki tych siedmiu znajduje się pod jednym dachem, w każdej chwili można spodziewać się najgorszego. Wiemy też, że nigdy nie uda im się pogwałcić praw natury i rozwiązać zagadki nieśmiertelności. Oznaczałoby to bowiem koniec nie tylko dla samego Khem, ale dla całego świata, włącznie ze słońcem i gwiazdami na niebie. Nawet jeżeli odkryją ścieżkę prowadzącą do rozwiązania tajemnicy, to nigdy nie będą mieli wystarczającej odwagi, aby na nią wstąpić. Jeśli chodzi o Khasathuta, to jego dni są policzone, traci nie tylko siły witalne, ale i cierpliwość. Jego czarni sprzymierzeńcy obiecali mu przecież nieśmiertelność i dotąd nie

wywiązali się ze swojego zadania.

Jego nadworny kapłan również nie traci czasu, wymyślając coraz to nowe intrygi, które osłabiają potęgę monarchy. Aby go ukarać, Khasathut postanowił, że Anelup umrze razem z nim. Jego decyzja z pewnością nie podoba się kapłanowi.

Kolejnym problemem faraona są kraje ościenne - Siwad i Nubia, które powstały przeciwko niemu. Musi zatem bronić swoich granic. Dowiedział się też, że w Kush doszedł do władzy człowiek, który przysiągł powrócić do Khem i zabić go.

Faraon postanowił więc, co następuje: będzie bronił zaciekle swoich granic, bo wszczynanie wojny i najazd na ościenne kraje jest nieopłacalnym ryzykiem. Następnie podbije Kush, do którego żywi wielką nienawiść. Aby tego dokonać, jego armia otoczy Gilf Kebir i uderzy na stolicę. Faraon zaplanował też, że żołnierze zaatakują Nam-Khum od zplecza, gdzie nie ma potężnych skał.

Po zdobyciu Kush faraon zamierza podzielić swoją armię na dwie części. Jedną poprzez bezbronne Darot uderzy na Nubię, drugą zaś podąży na północ i zniemacka zaatakuje Siwad. W tym też czasie ogłosi powszechną mobilizację i wzmocni armię, wcielając do niej najemników z Therae i Arabby po to, aby ograbili podbite kraje ze złota i kosztowności... - Mag zrobił pauzę, którą wykorzystał Dori Antoshin, aby mu zadać pytanie:

- Skąd o tym wszystkim wiecie, skoro tak wiele czasu spędziliście w drodze?

- A skąd ty, oficerze, wiesz, kiedy wschodzi słońce? - odpowiedział mag pytaniem na pytanie.

- Widzę je na własne oczy i czuję na skórze ciepło jego promieni. - Po dłuższej chwili odparł oficer.

- Prawdę mówisz, synu. - Pokiwał głową mag w żółtym habicie. - My zaś widzimy i czujemy rzeczy, których nie dostrzegają inni. - Mag umilkł na chwilę ponownie, ale tym razem nikt już nie zadawał pytań. - Jeżeli za radą obecnego tu Khai Ibzina opuścicie granice Kush, żołnierze faraona, którzy tu przyjdą, stracą wiele cennego czasu, zanim to odkryją. A co najważniejsze - z braku pożywienia nie zostaną tu zbyt długo. Wierzcie mi, że żołnierze tyrana z Khem pośpiesznie

powrócą do swojej ojczyzny, by bronić jej przed agresją Nubii i Siwadu. Wielu z nich straci życie na bagnach w Siwad i w rwących wodach Nilu, który wystąpi z brzegów. W tym czasie, a dokładnie za trzy i pół roku, nastąpi ponowne zjednoczenie wszystkich szczepów Kush. Tym razem jednak będą one uzbrojone w stalowe miecze z Nubii, nosić będą zbroje z twardej skóry z Siwad, jeździć będą wozami bojowymi z Hyrksos. Z taką siłą armia Kush uderzy na gniazdo samego Khasathuta.

Niestety, nie wiemy, co nastąpi później. Wiadomo nam jednak, że Khasathut nakłoni czarnych bogów do próby pogrążenia świata w chaosie. Ponieważ ten człowiek jest szaleńcem, jego obłąkańcza choroba drażni go niczym kornik pień starego drzewa. Zrobimy zatem wszystko, aby zniszczyć faraona, zanim on zniszczy świat i ludzi.

Kiedy wasze szczepy rozdzielią się, idąc każdy w swoją stronę, my również udamy się na wędrowkę do miejsca, o którego istnieniu nie wie nikt ze śmiertelników. Potem, po zjednoczeniu, powrócimy, aby służyć królowej Ashtarcie w walce przeciw Khem... Taka jest nasza wola.

Kiedy mag w złotym habicie skończył mówić, nastąpiła długa cisza, którą przerwał Gendhur Shebbithon.

- Skąd mamy pewność, że spełnią się, panie, twoje przepowiednie?

- Zaraz, oficerze, na własne oczy i uszy przekonasz się o ich trafności - odezwał się mag umiejący odczytywać sny. Jego oczy płonęły ogniem, którego nie dostrzegali zgromadzeni w sali tronowej słuchacze. - Zeszłej nocy przyśnił mi się posłaniec, który lada moment ma przybyć ze wzgórz Gilf Kebir i oznajmić królowej, że faraon wraz ze swoją armią maszeruje na Kush.

- Naprawdę? - uśmiechając się niedowierzająco, zapytał Shebbithon. - Gdzie jest ten posłaniec?

- Oto i on - odparł mag. - Za chwilę powtórzy moje słowa.

W tym momencie do sali tronowej wpadł zdyszany strażnik pilnujący bramy, wołając już od progu:

- Królowo, przybył posłaniec z Gilf Kebir! Ma pilne wieści...

IV

Złość faraona

Minęło co najmniej pięć godzin, zanim rozkazy Ashtarty dotarły do wszystkich szczepli Kush. Wypełniono je jednak natychmiast. Część dobytku przytroczono do koni, a część spalono lub ukryto w niedostępnych miejscach. Zwierzęta domowe zabito.

Kiedy więc pierwsze oddziały wojska z Khem przekroczyły granicę, zastały pustki i zgliszcza. Całe dwanaście tygodni zajęło wojskom faraona przeczesywanie okolic Gilf Kebir. Co krok odkrywali wypaloną ziemię, puste lub zburzone domostwa i rozkładające się szczątki zwierząt, nieczynne studnie i ogromne rozlewiska, które świadczyły o tym, że tamy na rzekach zostały przerwane.

Dowódcy doszli do wniosku, że lud Kush opuścił swój kraj i rozkazali swoim żołnierzom rozbić obozowisko i posilić się skromnymi racjami żywnościowymi. Czym prędzej też zawiadomili faraona o sytuacji, doradzając mu, aby zatrzymał ofensywę swojej armii, której groził po prostu głód.

Więści te dotarły do Khasathuta, który uradował się, że wojownicy Ashtarty przestraszyli się jego potęgi i niczym śmierdzące skunksy pochowali w swoich norach. Gdy jednak Nubia i Siwad rozpoczęły kolejną krwawą ofensywę, faraon wpadł w szal.

W ten sposób spełniła się przepowiednia siedmiu magów, że Khasathut rozdzieli swoją armię na dwie części: jedna uderzy na południe, a druga wyruszy na północ z zamiarem szybkiego podbicia krajów ościennych. Sądził, że szybko rozprawi się z wojownikami Nubii i Siwad. Przeliczył się jednak, a to w wyniku niesprzyjającej aury.

Po ciągłych opadach deszczu Nil wystąpił z brzegów, zalewając nisko położone tereny Siwadu. Wysoki poziom wody uniemożliwił nawigację. Niesprzyjające warunki dla potężnej armii były wprost wymarzonymi dla oddziałów partyzantów, które nękały liczne

obozowiska i forty na zachód od rzeki. Dochodziły do tego ataki całych grup Nubijczyków na zamieszkałe tereny Khem.

Khasathut, spoglądając z przerażeniem na strugi lejącego się deszczu, doszedł do przekonania, że taki stan rzeczy trwać będzie wiecznie. Wtedy też o audiencję poprosili czarni magowie, odkrywając przed władcą fakt, że winę za niekorzystną aurę ponosi siedmiu potężnych magów królowej Ashtarty.

Faraon już jako dziecko, słyszał o władcach czystej magii i przez całe swoje życie nie szczędził trudu, aby sprowadzić ich do siebie, by, podobnie jak sprzymierzeńcy w czarnych kapturach, służyli mu swoją wiedzą i potęgą. Nie raz wysłał swoich gwardzistów do krajów sąsiadujących, aby odnaleźli potężnych magów. Mędrcy jednak byli nieuchwytni. Przypominali cień, który widać, a jednak nie można go dotknąć. Nie można też było nakłonić ludzi, którzy znali miejsce ich pobytu, aby towarzyszyli żołnierzom. Uważali ich bowiem za świętych i chronili ich.

Obecnie, gdy dowiedział się, że to prawdopodobnie magowie spowodowali deszcz, wpadł w szał i rozkazał swoim doborowym oddziałom wyruszyć do Daraaf, Syry, Arabby i Therae, aby odszukać złoćców.

Czas mijał. Następnego lata pogoda poprawiła się nieco. Zaczęli też powracać gwardziści, których wysłał na poszukiwanie magów, niestety, z pustymi rękoma. Oddziały, które wyruszyły do Daraaf, nie powróciły wcale.

Nie zawiedli go jedynie gwardziści powracający z Syry. Wprawdzie nie przywieźli z sobą magów, ale potwierdzili domysły czarnych szarlatanów, że siedmiu ich przeciwników stanęło po stronie Kush, wspierając tym samym Ashtartę.

Na domiar złego, wojownicy z Siwad zniszczyli fort w Tanos i rozgromili tysiące jego doborowych oddziałów.

Lud Daraaf też nie pozostał faraonowi dłużny. Wysyłano bowiem regularne grupki partyzantów na południowo-zachodnie krańce Khem.

Faraon ze swoją potężną armią znalazł się w ślepym zaułku. Wojna trwała już blisko trzy lata i nie było widać oszalamiających rezultatów, jakich Khasathut spodziewał się przed jej rozpoczęciem. Postanowił więc zmienić taktykę.

Skoro owych siedmiu magów wspierało Kush niczym banda płatnych najemników, to on wyjdzie im naprzeciw i również nakłoni nieziemskie siły, aby go wsparły. Kazał więc Anelupowi wezwać czarnych magów i zarządzić naradę wojenną, na której mieli być również obecni generałowie, administratorzy, dostojnicy królewscy i ambasadorzy.

Na samym początku posiedzenia rozkazał magom zmienić pogodę. Pragnął, aby ciągle deszcze przestały nękać armię. Zagroził im, że jeżeli nie uda się tego dokonać, zemści się okrutnie. Następnie ogłosił mobilizację na niespotykaną do tej pory skalę. Rozkazał, aby pułki stacjonujące w Kush opuściły ten kraj natychmiast, powróciły na zachodnią granicę i wzmocniły istniejące tam warownie.

Wreszcie zaproponował Therae, Arabbie i Syrze, by wsparły go w ataku na Siwad, Nubię i Daraaf. Pomiął w swoich rozkazach Kush, bo nie było w tym kraju już nic, co mogłoby go zainteresować.

Nie wiedział wtedy jeszcze o istnieniu dziwnych, czerwonych ognii, które płonęły w Nubii. Kuto tam miecze i tarcze z nieznanego metalu. I o tym, że w Hyrksos powstawały wozy bojowe z kołami zamiast płóz, które przewyższały szybkością i zwinnością jego rydwany. Sama Ashtarta sprawdzała ich skuteczność i szkoliła woźniców. Nawet gdyby doniesiono mu o dziwnym postępowaniu królowej Kush i o tym, że rymarze z Siwad wykonują tysiące siodłań i lejców, uznałby to za fakt bez znaczenia.

Ale czy tak było naprawdę, miał się wkrótce przekonać.

Minęło trzy i pół roku odkąd faraon wysłał swoje oddziały do Kush i jego sprawy nadal nie wyglądały najlepiej. W przypadku powodzenia ofensywy, jaką Khasathut planował, wróg otrzymałby druzgocący cios.

Utwardził się w tym przekonaniu, gdy po interwencji czarnych magów słońce ponownie zaświeciło nad Khem, osuszając bagna i moczary. Postanowił wtedy nie zwlekać i zaatakować Nubię.

Tymczasem Khem pełen był żołnierzy, którzy czekali beczynn timer na rozkazy. Mniej było potyczek z partyzantami na granicy. Faraon zaczynał podejrzewać, że wróg stracił wolę walki w obliczu klęski, którą tak czy owak musiał ponieść.

Rozkazał więc stu tysięcznej armii najemników przekroczyć granicę z Nubią. Na południu zaś kolejne dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy rozpoczęło plądrowanie przygranicznych wiosek i miasteczek w Siwadzie.

Radość faraona z kolejnej, zdawałoby się decydującej ofensywy trwała jednak krótko. Kiedy bowiem dotarły do niego pierwsze raporty z pól bitewnych, wpadł we wściekłość. Okazało się, że niemal cała armia najemników została w Nubii wybita do nogi. Ci, którzy pozostali, opowiadali o czarnych mieczach nubijskich, którymi wojownicy przecinali ich pałasze, i o grubych kopiach z brązu.

Również wieści z Siwadu nie były zadowalające. Kiedy bowiem żołnierze przedarli się przez moczary pełne uciążliwego robactwa i rozwartych paszcz krwiożerczych krokodyli, napotkali opuszczone domostwa i spaloną ziemię. Lud Siwadu poszedł w ślady Kush i wymknął się z ojczyzny przygranicznym szlakiem prowadzącym w niedostępne góry.

Sklamałby jednak ten, kto twierdziłby, że oddziały najemników powróciły z pustymi rękoma. Przywieźli bowiem bagienną gorączkę i ogromną niechęć do dalszej walki. Marzyli jedynie o powrocie do swoich domów...

V

Wskreszenie Kush

Manek Thotak przybył do stepów leżących na zachód od Gilf Kebir na kilka godzin przed przyjazdem Ashtarty i Khai. Jego wojownicy, w większości mieszkańcy Siwadu, rozdzielili się na dwa skrzydła. Jedno z nich podążało od zachodu, penetrując okalające Kebir wzgórza, drugie przedzierało się przez skały.

W nocy natrafiono na dwa wrogie garnizony, każdy w sile tysiąca ludzi. Z pierwszym, który rozbił obozowisko niżej, rozprawiono się natychmiast, po cichu likwidując strażę i wycinając w pień śpiących żołnierzy. Z drugim garnizonem poszło trudniej i nie odbyło się bez strat w ludziach. Po tych udanych akcjach armia ruszyła tylko sobie znanymi szlakami do Nam-Khum. Jeszcze przed świtem wyczerpani marszem żołnierze dotarli do miejsce. Po drodze łapano dzikie konie zrodzone z klaczy wypuszczonych na wolność trzy i pół roku temu.

Generał Thotak nakazał wojownikom rozbić obozowisko na nizinach, niedaleko Nam-Khum. Gdy zakończyli pracę, słońce stało już wysoko na niebie i wiał ciepły wiatr od zachodu. Manek wciągnął powietrze do płuc i uśmiechnął się ponuro. Były to bowiem podmuchy Khamasina - wiatru piekiel, jak go nazywano, który palił niczym ogień wszystko, co napotkał na swojej drodze. Ostatnim razem był tu równe cztery lata temu.

Przed generałem rozciągały się zielone pola i łąki, a ich widok radował mu serce. Pamiętał jeszcze, jak płonęły tu pożary, wzniecone rękoma jego ludzi. Od tego czasu jednak spadło tyle życiodajnego deszczu, że nawet kamienie obrosłyby trawą.

„Ciekawe, co działo się z Naomi” - zastanawiał się. Naomi Tyrass była jego kochanką. Fakt ten wzbudzał zazdrość wśród jego rówieśników. Największym jego rywalem był Thon Emahl, syn dostojnika w osadzie, gdzie mieszkała Naomi, ale Manek w głębi serca wiedział, że

dziewczyna którego dnia będzie należała do niego.

Gdy awansował do stopnia kapitana i Melebrin zaczął mówić o tym, że uczyni go jednym ze swoich dowódców, Manek porzucił Naomi. Ona zaś, zapewne pod wpływem impulsu, wyszła za mąż za Thona, który teraz należał do najlepszych oficerów pod rozkazami generała Thotaka i dowodził własnym pułkiem. Pułk ten składał się z członków jego własnego szczepu. Po szczęśliwym powrocie do domu Thon i Naomi znów będą zapewne cieszyć się wspólnym szczęściem. Zresztą od dnia ich ślubu życzył im wszystkiego najlepszego. Nie uśmiechało mu się bowiem życie w osadzie z małą, śliczną Naomi u boku.

Do serca bowiem przypadła mu księżniczka Ashtarta, której obowiązkiem było szukać sobie męża wśród generałów. A ponieważ Melebrin wyróżniał go wśród swoich dowódców, Manek był pewny, że piękna córka władcy właśnie jego wybierze na męża. Armia, rzecz jasna, dowodzili jeszcze inni generałowie. Jednak byli oni już w sile wieku i już od dawna nie wyruszali do walki. Jedyne bitwy, jakimi dowodzili, to te z wnukami na podwórku przed domem.

Khai Ibzina nie uważał za konkurenta. W jego żyłach płynęła obca krew i jako przybysz z innego kraju, nie mógł przecież zostać królem i rządzić Kush!

Manek darzył Ashtartę miłością na równi z ojczyzną. Pragnął rządzić Kush, a po śmierci przekazać tron swoim potomkom...

Jego rozmyślania przerwał krzyk strażnika. Czym prędzej podbiegł do wzgórza, u stóp którego siedzieli żołnierze. Podobnie jak on patrzyli na zachód.

- Tam generale! - krzyknął wartownik - To zapewne zbliża się królowa Ashtarta.

- Masz rację, chłopcze - zgodził się Manek. - Kopyta jej rączych wierzchowców wzbijają te tumany kurzu. Nie zauważyłeś jednak jeszcze czegoś. Czy widzisz, że tam dalej za nią kurz układa się w długą, przypominającą węża, smugę? To zbliża się Khai Ibin, Khai z Khem.

- Mówiono mi, panie, że generał Ibin nie lubi tego przydomku.

- I cóż z tego. - Manek wzruszył lekceważąco ramionami. - Pies zawsze pozostanie psem, choćby nawet zmienił skórę.

- Sądziłem, panie, że Khai Ibin był twoim przyjacielem.

- I jest nim nadal - odparł Manek. - Mam mu jedynie za złe, że śmie uważać się za jednego z nas. Ale dość tego, chłopcze. Muszę wyruszyć królowej na spotkanie. Przyprawdź mojego wierzchowca - rozkazał, schodząc ze wzgórza.

Manek i Ashtarta zeskoczyli z wierzchowców niemal jednocześnie. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Było bowiem coś tajemniczego i zarazem wzniosłego w powrocie szczepów Kush na ojczyzny ziemie.

Ashtarta przyjrzała mu się uważnie. Manek Thotak zmienił się z wyrostka w silnego i przystojnego mężczyznę. Miał długą brodę, która dodawała mu powagi godnej generała. Stał przed nią odziany w spodnie i kurtkę z surowej skóry. Przy jego boku, za pasem, tkwił bat i długi żelazny miecz.

- Wiele dobrego słyszałam o tobie, generale - powiedziała królowa. - O tym, jak to potopiłeś wojowników faraona w Siwadzie i przypiekleś im nieźle tyłki w Tanos. Ojciec miał rację, twierdząc, że będziesz kiedyś wspaniałym generałem. Niemal się natrudziłam, aby powstrzymać moich wojowników przed przyłączeniem się do twoich oddziałów.

Manek nie odezwał się, choć było widać, że słowa Ashtarty sprawiają mu przyjemność.

- Czy przywozisz z sobą uprząż, o którą prosił Khai Ibin? - zapytała. - Ta z Hyrksos jest do niczego.

- Uprząż? - zapytał Manek - Ach tak, pani, pełne wozy siodeł i lejców. Sądzę, że to strata czasu, choć moi żołnierze bardzo sobie chwalią tę uprzęż.

- Zgadzam się z nimi, generale - odparła Ashtarta, a jej oczy płonęły jak gwiazdy. - Generał Khai Ibin wie, co robi. Chciałabym ci, generale, pokazać niektóre jego wynalazki. - Mówiąc to, klasnęła w dłonie niczym dziecko, zapominając o królewskiej powadze. - Gdzie jest generał Ibin? - zapytała, próbując naprawić błąd. - Zeszłej nocy przybył do mnie posłaniec z Nubii z wiadomością, że Khai Ibin będzie tu dzisiaj.

- To prawda, pani - odparł Manek. - Powinien już tu być. Widziałem go na wzgórzu. Kiepski jednak z niego jeździec, królowo.

- To prawda, mój generale. Skoro nie potrafi jeździć na nagim końskim grzbiecie, zobaczymy, jak będzie sobie radził w siodle. - Zasmiała się głośno i spojrzała na południe, przysłaniając dłonią oczy.

Manek przez chwilę miał okazję przyrzeć się królowej. Podziwiał jej długie, kształtne nogi, ukryte w spodniach z miękkiej zajęczej skóry, wąską talię i nieskazitelnie gładką skórę. W niczym nie przypominała tego babskiego sowizdrzała, jakim była za życia starego Melebrina.

- Widzę go! - krzyknęła - Jest tam!

To co ujrzał, wprawilo go w osłupienie. Khai siedział w otwartej lektyce, niesionej przez ośmiu Nubijczyków, którzy poruszali się w idealnej harmonii, śpiewając przy tym. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie znajdowała się Ashtarta i Manek Thotak, postawili lektykę i położyli się płasko na ziemi.

Kiedy Khai wychodził z lektyki, przyjrzała mu się badawczo i tak jak przy powitaniu z Thotakiem, zapanowała krótka cisza. Z szerokimi ramionami i masywną klatką piersiową Khai przypominał moczara. Miał też jaśniejsze włosy, a błękit oczu stał się głębszy i czystszy.

Na policzkach Ashtarty pojawił się rumieniec.

- Kim są ci czarnoskórzy mężczyźni - zapytała. - Dlaczego leżą przede mną na ziemi?

- Należą do ciebie, pani - odpowiedział Khai. - Będą tu leżeli przez cały dzień, jeżeli nie rozkażesz im powstać.

- Niech więc zaraz wstaną - poprosiła.

- Musisz im to sama powiedzieć. Oni mnie już nie słuchają, bo należą do ciebie.

Ashtarta niepewnie odwróciła się do mężczyzn i powiedziała:

- Macie natychmiast powstać! Taka jest moja wola.

Na jej komendę mężczyźni niemal natychmiast wstali, prężąc się przed nią niczym lwy.

- Spójrz na nich, generale - zwróciła się do Manek Thotaka. - Czyż nie cudowny prezent otrzymałam od generała Ibizina?

- Zgadzam się z tobą, pani. - Manek pokiwał głową, z uznaniem spoglądając na Murzynów. - Nieźli z nich strażnicy, ale kiepski środek lokomocji. Ja wolę mojego wierzchowca.

Po tych słowach cała trójka wybuchnęła śmiechem. Potem Manek dodał:

- Ja też mam prezent dla ciebie, moja królowo, od ludu Siwadu. Spójrz! - Wyjął z kieszeni garść drogocennych kamieni.

- Poza tym - rzekł po chwili milczenia - wróciłem do ciebie z moją armią cały i zdrow. Niestety, straciliśmy bezpowrotnie cztery tysiące wspaniałych żołnierzy.

- Ja także poniosłem straty - odezwał się Khai. - Ale mam dla ciebie, królowo, jeszcze jeden prezent, który - mam nadzieję - cię uraduje. Każ pani Murzynom wezwać swoich braci.

- Braci? - zapytała Ashtarta, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Potem jednak uczyniła to.

Murzyni włożyli palce do ust i zagwizdali tak głośno i przeraźliwie, że tysiące ptaków, które okupowały szczeliny skalne nad ich głowami, poderwało się w jednej chwili do lotu.

Kiedy umilkło echo ptasiego kwilenia, do uszu Ashtarty dobiegło tupanie nóg i odgłos uderzeń włóczni o tarcze plecione ze skóry. Wkrótce ten znośny jeszcze hałas przemienił się w ogłuszającą wrzawę i nad wzgórzem ukazał się cały regiment czarnoskórych wojowników. Tuż za nimi podążały w pełnym rynsztunku bojowym oddziały żołnierzy z Kush. Część armii pod wodzą Izbina urządziła paradę wojskową, jakiej nigdy nie widziała ani królowa, ani jej dowódcy. Ashtarta, niczym dziewczynka, podskakiwała i machała w stronę żołnierzy żółtą chusteczką. Kiedy w końcu odzyskała głos, zwróciła się do swoich generałów:

- Jeśli myślicie, moi zacni dowódcy, że wasza królowa przyjechała na spotkanie z wami z pustymi rękoma, to się mylicie.

Po chwili Thotak i Ibin usłyszeli okrzyki jeźdźców i suche trzaski batów. Nie ukrywając radości, generałowie spoglądali na tysiące wozów bojowych, które z ogromną szybkością wjechały na bezkresne stopy. Aby wprawić patrzących w jeszcze większe osłupienie, generał Ibin chciał wydać rozkaz, aby pokazano królowej dziesięć tysięcy żelaznych mieczy, które wykuto na jej cześć. Zrezygnował jednak z tego zamiaru, dochodząc do wniosku, że wystarczy jej wrażeń jak na jeden dzień. Najpierw zaprezentuje żelazne miecze królowej Ash-tarcie, a potem ich złowrogi błysk ujrzy sam Khasathut!

VI

Khai i królowa

Do późna w nocy trwała narada dowódców armii, której honorowym gościem była królowa i siedmiu magów, którzy na wieść o zjednoczeniu szczepów, przybyli natychmiast na dwór. Zaraz po północy, gdy zakończono obrady, opróżniono z wina ostatnie dzbany i zjedzono resztki gotowanego mięsiva, zebrani poczuli na twarzach gorący podmuch Khamasina.

Jak głosi legenda, Khamasin zrodził się na niedostępnej pustyni leżącej za Hyrksos. Burzy on krew w żyłach, niczym sztorm spokojną toń oceanu.

Magowie kiwali głowami i uśmiechali się znacząco. Zauważyła to Ashtarta i pozostawiając przy stole dowódców, wspominających z rozrzewnieniem stare dobre czasy, zbliżyła się do nich.

- Czy Khamasin to również wasza sprawka, zacni mężowie? - zapytała. - Jeżeli tak, to dlaczego nęka nas swoim gorącym oddechem niczym skorpion?

- To nie my go stworzyliśmy, pani - odpowiedział jeden z magów. Wprawdzie nosiliśmy się z podobnym zamiarem, pragnąc, by gorący wiatr osuszył bagna pod stopami twoich żołnierzy nacierających na Khem, ale ktoś nas uprzedził.

Teraz podmuchy wiatru przypominały wyziewy pieca hutniczego i odbierały grubym murom pałacu resztkę ich zbawczego chłodu. Ash-tarta rozejrzała się dookoła po pustej komnacie, z której trzy i pół roku temu rozkazała usunąć drogocenne meble.

- Kto? - zapytała. - Kto jest równie potężny jak wy?

- Czarni magowie Khasathuta, królowo - odparł mag w żółtym habicie. Bardziej niż nam Khamasin potrzebny jest faraonowi. Planuje on przecież w ciągu zaledwie czternastu dni przetrzeć do Siwadu i Nubii prawie trzy tysiące swoich najlepszych żołnierzy.

- To niemożliwe! - odparła jednym tchem królowa. - Bez generałów Ibzina i Thotaka Siwad i Nubia poniosą klęskę!

- Nie dojdzie do tego, królowo - odparł mag, - Faraon ostrzy grot strzały, której nigdy nie wypuści. Zaatakuj go twoja armia królowo, która przejdzie przez bagna i moczary i wyjdzie na spotkanie jego pułkom. Zaciężnym wojskom faraona odetną drogę twoi żołnierze i wojownicy z krajów, na podbój których wyruszył.

- Nie wspominałeś o tym wcześniej, ojcze - powiedziała z wyrzutem Ashtarta. - Nie było też o tym mowy podczas dzisiejszej narady wojennej.

- Bo nie wiedzieliśmy o tym wcześniej, królowo - odparł inny mag, - Dopiero Khamasin powiedział nam o tym.

- Wiatr? - zapytała zdziwiona.

- Tak, pani. Potrafimy w sobie tylko znany sposób porozumiewać się z żywiołami. Jeżeli zaś chodzi o dalszą strategię walki, jaką wspólnie przyjęliście podczas narady, to uważamy, że jest ona słuszna, i nie należy jej zmienić.

- Ależ Khasathut wysłał przeciwko nam trzy tysiące żołnierzy! - wykrzyknęła.

- I będzie ich jeszcze więcej, królowo, ponieważ z każdą godziną do Khem przybywają nowe kontyngenty wojowników z Therae i Arabby.

Ashtarta przez moment milczała, a po chwili zapytała niepewnie:

- Czy wygramy tę wojnę?

- Tak, pani - odpowiedzieli magowie - pod warunkiem, że wojna nie potrwa długo i Khasathutowi nie uda się nakłonić do walki potężnych mocy piekiel, bo wówczas... - Mag rozłożył ręce i zamilkł.

- Nie odpowiedzieliście jasno na moje pytanie.

- Bo nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi, pani.

Kiedy królowa odwróciła się, zamierzając odejść, mag, który z nią rozmawiał, dodał:

- Nie należy martwić się o przyszłość, pani. To co ma się zdarzyć, zdarzy się z naszym czy bez naszego udziału.

Ashtarta nie odpowiedziała, jedynie pokiwała głową i w towarzystwie nieodstępujących jej na krok Nubijczyków opuściła komnatę.

Tej nocy Ashtarta śniła o Khai. Jej zmysły były rozpalone niczym poddmuchy Khamasina. Obudziła się z krzykiem, rugając stojącą przy

łóżku służącą. Zapewne za to, że nie była obiektem jej zmysłowego snu. Nadszedł bowiem czas, aby spłacić generałowi dawno zaciągnięty dług. I teraz, kiedy przebywała w jego towarzystwie, myślenie o czymkolwiek innym przychodziło jej z trudem. Czuła, że będzie musiała powiedzieć mu o swoich uczuciach. Należało to zrobić jednak dyskretnie, aby o niczym nie dowiedział się Manek Thotak. Przynajmniej nie teraz, przed wojną z Khem. Długo kręciła się w łóżku, aż w końcu zapadła w płytki, nerwowy sen.

Khai Ibin również długo nie mógł zmrużyć oka. Leżał zły po tem. Myślami był już na polu walki.

Tylko Manek Thotak spał zdrowo niczym niemowlę.

Rano Khamasin wiał z jeszcze większą siłą. Ashtarta była zadowolona, że było jej dane pozostać w chłodnych murach pałacu. Generałowie Thotak i Ibin od wczesnych godzin rannych ćwiczyli swoich żołnierzy w jeździe nowoczesnymi wozami bojowymi.

Po południu, na szczęście, gorące poduchy Khamasina zelżały nieco i królowa wyszła z pałacu na spotkanie z Manek Thotakiem, aby przekazać mu słowa magów. Miała też nadzieję, że uda jej się zobaczyć Khai.

Znalazła Maneka w obozie za pałacem. Jego armia była niekompletna, ponieważ opuścili ją mężczyźni żonaci, którzy udali się na krótko do swoich wiosek, aby odbudować zniszczone domostwa. Nie mieli zbyt wiele czasu, jako że wkrótce będą musieli powrócić na bitewne pola.

Ashtarta rozmawiała z generałem niecałą godzinę, która jednak wydawała jej się wiecznością. Jej myśli zaprzętał jedynie Khai. Odechnęła dopiero wtedy, gdy wsiadając do lektyki niesionej przez olbrzymich Nubijczyków, tłumaczyła, że musi jeszcze odwiedzić Ibin, aby i on dowiedział się, co mówili magowie.

W obozowisku powiedziano jej, że generał zażywa kąpieli w jednym z górskich jezior. Ashtarta знаła to jezioro o czystej i chłodnej toni. Jeszcze jako księżniczka, uwielbiała kąpać się w nim. Wzięła więc z sobą najstarszego Nubijczyka i ruszyła na północ w powozie zaprzężonym w rączę konie.

Po przejechaniu kilku mil skrzyła w stronę niewysokich skał i zatrzymała powóz. Niedaleko ujrzała powóz Ibin i pasące się konie. Nakazała Murzynowi zawiadomić generała o jej przybyciu. Nubijczyk

powrócił z wiadomością, że generał Ibin jej oczekuje.

Znalazła Khai siedzącego na skalnej półce przy brzegu jeziora. Za nim rosło drzewo, przez którego koronę przeświecało słońce, rzucając promienie na jego twarz. Powstał na jej widok, ale stanowczym ruchem ręki nakazała mu siedzieć. Potem sama usiadła obok niego i powiedziała:

- Generale, przyszedłam...

- Tak, królowo?

- Przyszedłam, aby ci powiedzieć, co sądzą magowie na temat Khasasina.

- Osuszy bagna i moczary - odpowiedział niemal automatycznie. - Khasathutowi, podobnie jak nam, potrzebne są twarde drogi dla swoich rydwanów. Jednak my mamy wozy bojowe na kołach i przy pomocy żelaznych mieczy rozgromimy jego żołdaków w mgnieniu oka.

- Dokładnie powtórzyłeś ich słowa, generale - odparła zdumiona Ashtarta.

- Powinniśmy też jak najszybciej wyruszyć do granicy Nubii z Siwadem, aby odwrócić uwagę wojsk faraona, które utkną między naszymi pułkami, a wojownikami z Nubii i Siwadu.

- Mogłeś mnie uprzedzić, że rozmawiałeś z magami - powiedziała z wyrzutem królowa.

- Nie rozmawiałem z nimi. Mylisz się pani! To wszystko jest aż za bardzo oczywiste.

- Skoro jesteś taki mądry i przewidujący - powiedziała - to dlaczego nie dostrzegasz...

- Czego, pani? - spojrzał na nią pytająco.

Zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

- Kiedy byłeś wyrostkiem, więcej miałeś ikry w sobie niż teraz jako dojrzały mężczyzna! - Po tych słowach Ashtarta cofnęła się energicznie i gdyby nie mocarne ramię Khai, spadłaby ze skalnej półki nad jeziorem. W jego oczach ujrzała gniew.

- Zapominasz się, królowo - odparł. - Kiedyś byliśmy dziećmi i wolno nam było robić różne rzeczy. Teraz jesteś królową, a ja generałem i nie przystoi nam...

- Co nam nie przystoi? - przerwała mu raptownie. - Ty nic nie rozumiesz!... Puść mnie! Natychmiast!

- Przecież nie trzymam cię. - Był zdumiony jej nagłą zmianą nastroju.

Cała ta sytuacja przypominała do złudzenia jeden z jego snów. Czuł, że zna zakończenie tej słodkiej sprzeczki z królową.

- Powiniennem rozebrać się do naga - powiedział - i kochać się z tobą tu, na tej skalnej półce!

- Co takiego? - zapytała zaskoczona. - Jak śmiesz?

- Co mi dasz, Ashtarto, w zamian, jeżeli puszcę cię wolno?

- Dam ci... - słowa Khai podziały na nią niczym opary opium - ...wszystko, czego zapagniesz.

- Daj mi więc to, czego chcieli od ciebie najemnicy, wtedy, nad rzeką!

- Wiedziała, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym będzie musiała spełnić daną ci obietnicę. - To mówiąc, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta. Khai zaś przytulił ją mocno do siebie. Poczowała jego ciepły oddech na twarzy.

- Nie, mój kochany! - szepnęła, odsuwając się od niego. - Nie teraz i nie tutaj!

- Więc kiedy? - zapytał. - Zeszłej nocy nie zmrzyłem oka, myśląc o tobie. Dzisiaj też nie będę spał. Powiedz w końcu kiedy... i gdzie?

Ashtarta znowu zaczęła zbliżać się niebezpiecznie do krawędzi półki. Jej policzki płonęły, a ręce trzęsły się niczym skrzydła ptaka złapanego w sidła. Obróciła się i pobiegła w stronę stojącego za skałą powozu.

- Sh'tarro! - zawołał za nią. - Kiedy?

- Gdy rozbijemy obozowisko u podnóża Gilf Kebir - usłyszał. - W noc poprzedzającą atak na Khem zakradniesz się ukradkiem do mojego purpurowego namiotu. Będę czekała.

- Dla ciebie zakradnę się do bram samych piekieł. Słyszysz Sh'tarro?!

W odpowiedzi usłyszał tylko trzask bata i odgłos pospiesznie odjeżdżającego powozu.

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

I

Żelazne miecze

Odtąd czas dla Khai włókł się bez końca. Aż wreszcie nadszedł dzień długo oczekiwany, w którym żołnierze rozbili obozowisko na skarpach Gilf Kebir. Zaraz też poczęli szykować się do wyjazdu magowie. Zanim jednak wyruszyli do swojej samotni na nizinach, przyrzekli, że będą trzymać pieczę nad walczącymi wojskami Kush. Pojawia się też natychmiast, gdyby byli potrzebni.

W wieczór poprzedzający walkę Khai zażywał kąpieli w małym jeziorku niedaleko namiotu. Próbował zapomnieć o czekającej go krwawej bitwie, kiedy to od jego rozkazów zależeć będzie los całej armii.

Khamasin, niczym mityczny ognisty ptak, przeniósł się do Khem, pozostawiając za sobą rozgrzane, drgające powietrze. Khai próbował wmówić sobie, że to właśnie gorący oddech wiatru rozpałił krew w jego żyłach, której nie była w stanie ochłodzić nawet zimna toń jeziora.

Kiedy zapadła noc, Ibin powrócił do namiotu. Czekał tam na niego Imthra. Stary czarownik nie miał do niego żadnej pilnej sprawy. Przyszedł jedynie porozmawiać, od powrotu armii do Kush nie mieli na to czasu. Popijali więc wino i wspominali czasy, kiedy żył jeszcze Melebrin.

Gdy na atramentowym niebie pojawiły się jasno świecące gwiazdy, Imthra wyczuł zniecierpliwienie generała i opuścił jego namiot, życząc mu dobrej nocy.

Khai odczekał kilka minut i podążył w ślady Imthry, z tą tylko różnicą, że w centrum obozowiska skręcił w kierunku górującego nad horyzontem namiotu królowej. Skradał się niczym złodziej, przedzierając się przez gęste krzewy dzikiego żywopłotu. Dotarł do purpurowej kopuły z jedwabiu, uniósł jej tylną ścianę i... poczuł czyjeś mocne palce, które chwyciły go za szyję. Zaraz potem czyjaś masywna postać przygniotła go do stojącej za nim skały i przyłożyła do głowy grot ciężkiej dzidy.

- To ja, generał Ibin - wysapał. - Puść mnie, głupcze!
- To naprawdę ty, generale? - zapytał zaskoczony Murzyn.
- Świetna robota, chłopcze - odparł Khai, masując obolałą szyję. - Widzę, że nawet mysz nie prześlizgnie się do namiotu naszej królowej.

- Źle widzisz w nocy, panie. Wejście do namiotu znajduje się z drugiej strony. Zaraz ci pokażę, panie...

- Wykluczone! - syknął Khai. - Mam ochotę wczłogać się do królowej tą dziurą - wskazał na czarny otwór widniejący w miejscu, gdzie uniósł do góry ścianę namiotu.

Murzyn patrzył przez chwilę na Khai skonsternowany, po chwili jednak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Śmiejesz się ze swojego generała? - zapytał Khai, siłąc się na srogość.

- Nie, panie. - Nubijczyk przestał się uśmiechać. - Przypomniały mi się czasy, kiedy ja sam nocą przemykałem się do dziewcząt.

- W porządku - odparł Khai. - Tylko zapamiętaj, chłopcze; nigdy mnie tu nie widziałeś, bo...

- Panie, już jesteś dla mnie zjawą. Do końca życia będę przekonany, że widziałem ducha dzisiejszej nocy.

- Doskonale.

Gdy jednak Ibin pochylił się, by wślizgnąć się do namiotu, ręka czarnego olbrzyma znów zatrzymała go.

- Panie...

- Słucham?

- Co mam uczynić, jeżeli królowa zacznie krzyczeć na twój widok?

- Ty naprawdę uwierzyłeś, że jestem duchem. Zapewniam cię, nic takiego się nie wydarzy.

Po tych słowach Nubijczyk zniknął w zaroślach tak szybko, jak się przedtem pojawił.

Kiedy Khai znalazł się w środku, poczuł się tak, jakby wróciło do niego marzenie, które miał jeszcze jako młodzieniec.

Piaszczysta podłoga (namiot stał na dnie wyschniętej rzeki), szkatułka z klejnotami (które Manek Thotak przywiózł z Siwadu, a które później, gdyby zaszła taka potrzeba, miały posłużyć do wykupienia z niewoli dowódców), nawet purpurowe przegrody oddzielające komnaty były jakies znajome. Odnosił nawet wrażenie, że sen ten jest

ponadczasowy, jakby spływał na niego gdzieś z dalekiej przeszłości, a może przyszłości?

Królowa nie знаła treści snów Khai, dlatego nie rozumiała, a nawet napawały ją przerażeniem grymasy na twarzy ukochanego generała, kiedy leżeli razem w łożu spleceni w miłosnym uścisku. Po chwili Khai odetchnął z ulgą i stała się rzecz dziwna: nagle zdał sobie sprawę, że zbliżenie z Ashtartą nie jest snem, lecz słodką rzeczywistością. Czuł zapach jej ciała i widział pełne pożądania oczy. Nierealne jedynie stały się dla niego czas i przestrzeń, które wkrótce i tak przestały istnieć...

Rano, gdy gorące promienie słońca ogrzały ziemię, przemieniając kropelki rosy w mleczną mgłę, wozy bojowe ruszyły w kierunku Khem. Khai poprowadził swoje oddziały na północ. Manek Thotak zaś na południe, aby ominąć przygraniczne tereny Siwadu, które już przedtem dały mu się we znaki.

Gendhur Shebbithon, który również awansował do stopnia generała, ruszył na fort w Pethos.

W ten to sposób armia Ashtarty rozdzieliła się na trzy potężne skrzydła.

Khai po krótkiej walce zdobył forty w Kurag i Ghira, a następnie ruszył na północ, objeżdżając bagna prowadzące do Tanos.

Manek rozgromił znaczne siły wroga z terenów położonych na zachód od Peh-il i obrócił w perzynę fort Afaltah. Następnie pomaszewował do Nubii, aby wzmocnić oddziały czarnoskórych wojowników króla N'jakka. Wkrótce też wybił do nogi żołnierzy faraona, którzy po raz drugi odważyli się przepłynąć przez rzekę i wylądować na ziemi nubijskiej.

Po tygodniu armia faraona zrezygnowała z zamiaru dokonania decydującego uderzenia na Nubię i Siwad i przegrupowała się, aby stawić czoła wojskom królowej Ashtarty.

Armia Khasathuta utworzyła front, który rozciągał się od Mylaton na północy do Sabor na południu. Oprócz tego tysiące wojowników z Khem rozbiło swoje obozowiska na terenach rozpostartych na zachód od Nilu.

W tym też czasie czarni magowie z Asorbes mieli pełne ręce roboty, przygotowując niespodzianki dla nadciągającej wrogiej armii.

Kwestia nieśmiertelności zeszła na drugi plan w obliczu niebezpieczeństwa, jakie niesły z sobą żelazne miecze w rękach wojowników z Kush i ich rydwany bojowe na kołach.

Ta cudowna broń pokrzyżowała plany wielkiego boga-władcy, więc postanowił on rozprawić się z wrogiem za pomocą dość oryginalnej strategii: wykorzystać w walce czarną magię!

Minął kolejny tydzień. W tym czasie armia Ashtarty umocniła zdobyte przyczółki usytuowane między bagnami a sawanną, rozciągające się na wschód od Daraaf, Nubii i Siwadu. Kraje te odzyskały pełną kontrolę na przygranicznych terenach, były gotowe uderzyć w każdej chwili na Khem, kiedy tylko armia Kush da sygnał do ataku.

Faraon nie czekał jednak bezczynnie na ofensywę państw ościennych. Ściągnął bowiem pod mury Asorbes tysiące rekrutów, którzy wzmocnili istniejące już regimenty, w ten sposób powiększył liczebną przewagę swojej armii nad połączonymi siłami państw sprzymierzonych. Ponadto rozkazał swoim magom osłabić ducha bojowego wroga. Wkrótce też całe dorzecze Nilu zaroilo się od milionowej armii szczurów.

II

Magowie przystępują do wojny

Czarownicy faraona zabrali się z ochotą do nowego zadania. Badania nad nieśmiertelnością zbrzydły im bowiem do reszty.

- Zniszczcie Kush! - rozkazał faraon. - Zmiećcie je z powierzchni ziemi razem z Nubią i Siwadem! Rozgromcie ich armie, a dowódców rzućcie przede mną na kolana.

Gdyby faraon wydał magom ten rozkaz siedem lat wcześniej, wówczas po sąsiadujących z Khem krajach pozostałyby jedynie zgłiszcza i gruzy. To jednak pozbawiłoby władcę siły roboczej, jakiej potrzebował do budowy piramidy. Poza tym nie widział sensu w rządzeniu obszarami jałowej ziemi, na której nie byłoby ani jednej ludzkiej sadyby. Teraz jednak unicestwienie tych żyznych krain stało się koniecznością. Zagrozały bowiem jego własnej egzystencji. Po zdobyciu Tanos oddziały Khai Ibzina rozbiły obozowisko w lasach między Tanos a Mylaton, na obrzeżach osuszonych moczarów. Khamasin unosił w powietrzu tumany kurzu i swoim gorącym tchnieniem strącał liście z drzew, wysuszając je na wióry. Nawet zieleń łąk przybrała brązową barwę.

Zapadła noc. Khai spał w swoim małym wojskowym namiocie. Pragnął wypocząć przed jutrzejszą bitwą pod murami Mylaton. Nie spał jednak spokojnie, bo sen zakłócały spiekota i koszmary. W jednym z nich widział siebie stojącego na wzgórzu w Kush, razem z magiem z Daraaf, Gendhur Shebbithonem i Manek Thotakiem. Oczy wszystkich zwrócone były na wschód w kierunku Khem.

- Chciałbym cię ostrzec, panie - odezwał się mag.

- Ostrzec? - zapytał zdziwiony Khai.

- Czarni magowie faraona wysłali przeciwko tobie milionową armię gryzoni.

- Gryzoni?

- Tak panie, szczurów. Mogą tu być lada moment.

- Szczury?! - krzyknął Gendhur Shebbithon.

- Jest tak, jak myślę. Szarlatani na usługach Khasathuta wydobyli je z piekielnych otchłani. Rzucają się na ofiarę i pożerają ją w jednej sekundzie.

- Gdzie mają się pojawić? - zapytał Thotak, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

- Nadejdą od strony Nilu. Musicie jak najszybciej rozpalic ogniska, tak, by powstała z nich ściana ognia zdolna przegnać szczury z powrotem do rzeki.

- A co z wiatrem? - zapytał Khai. - Przecież wieje od Khem w naszą stronę.

- Nie obawiaj się go, generale. Zaufaj magowi władającemu siłami natury. Wywołał już silniejszy wiatr, który rozdmucha wasz ogień.

Wzgórze, na którym stali zaczęło się nagle kołysać niczym stożek wulkanu. Khai poczuł, że grunt usuwa mi się spod stóp i... Obudził się zlany potem. Błyskawicznie zerwał się z łoża i wykrzykując komendy, biegł od namiotu do namiotu, budząc dowódców. Sam też rozpalil pierwsze ognisko na obrzeżu obozowiska.

Kiedy pierwsze płomienie zaczęły leniwie lizać konary krzew, powiał wiatr od zachodu, który z minuty na minutę przeobrażał się w huragan. Sprawil on, że w ciągu kilku chwil las stanął w ogniu. Wtedy, ku swojemu przerażeniu, ujrzeli szczury, które, świecąc w ciemności oczami, skakały z wściekłością po drugiej stronie ognia, próbując przedostać się do bezbronnych ludzi. Paru gryzoniom udało się przedrzeć przez płomienie i zaatakowały stojących w pobliżu Khai żołnierzy. Po chwili skóra na ich rękach i twarzy zaczęła obchodzić od ciała i ukazały się białe, zakrwawione kości. W ciągu zaledwie minuty ludzkie ciała zamieniły się w galaretowate ścierwo.

- Zabijcie je! - ryknął Khai. - Nie pozwólcie, aby was gryzły!

O tym koszmarnym spotkaniu z gryzoniami natychmiast dowiedzieli się żołnierze pod dowództwem Gendhur Shebbithona stacjonujący pod Asorbes. Generał, podobnie jak Khai, rozkazał rozpalic ogniska. To samo uczynil też Manek Thotak, okupujący wielkie połacie sawanny na północ od nubijskich lasów. Kiedy rano wzeszło słońce, oczom wszystkich ukazała się ziemia wypalona na obszarze kilkudziesięciu mil aż po brzegi Nilu, który zatrzymał szalejący pożar.

Cudem ocalili też mieszkańcy Peh-il. Widząc nadciągający żywioł, żołnierze faraona zalali wodą otaczające warownię rowy melioracyjne, które wygasili płomienie.

W tym pierwszym starciu piekielnych mocy, którymi władali czarzni magowie faraona, z potęgą czystej magii mędrców w żółtych habitach, ci ostatni odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Nie długo jednak mieli się radować...

Nie zwlekając dłużej, generał Khai ze swoim wojskiem uderzył na fort Mylaton, który uratowały przed ogniem otaczające go mokradła. W tym czasie wojownicy z Siwadu przeprawili się przez rzekę poniżej jej delty i pomaszerowali w kierunku Syry. Dołączyli do nich mieszkańcy tamtego, nękanego przez Khasathuta, kraju, którzy chwycili za broń, by uwolnić się od tyрана i uderzyć na znieawidzoną Arabbę.

Na południu Manek Thotak zdobył Peh-il i pomaszerował na północ wzdłuż Nilu. Towarzyszyła mu armia samego króla N'jakki, ciągnąca pod mury Phenar.

Tchórzliwy lud Therae zdążył schronić się wśród wzgórz przy brzegu Wąskiego Morza. Przeczuwali bowiem, że dni faraona są policzone, i zerwali z nim groźne w skutkach przymierze.

Osiemdziesiąt mil na zachód od Asorbes przebywał ze swoimi oddziałami generał Gendhur Shebbithon, który przy każdej okazji spoglądał ciekawie na znane mu jedynie z opowiadań niedostępne moczary, rozciągające się wokół twierdzy Khasathuta. Gendhur utożsamiał Asorbes z potężną hieną, która lizała leniwie łapy w oczekiwaniu na zdobycz.

Kolejny fort - Ohath - ugiął się przed ciosami żelaznych mieczy Khai Ibzina. Żołnierze szli do niewoli już nie setkami, a tysiącami. Ci zaś, którym udało się uciec przed armią Kush powracali do stolicy Khem.

Dokładnie osiem dni po wielkim pożarze ugięła się pod naporem nubijskiej armii potężna warownia w Phemar. W ten oto sposób faraon został otoczony przez sprzymierzone armie. Mógł wprawdzie uciec na wschód, tylko dokąd? Do Wąskiego Morza? Utonąłby między wodą a ścigającymi go wojownikami Kush. Wolał więc pozostać na miejscu i bronić Asorbes. Wierzył, zresztą nie tylko on, że otaczające je mury są tak samo niezniszczalne jak góry w Gilf Kebir.

Były też znaki, które podpowiadały mu, aby pozostał w swojej stolicy. Jednym z nich była zielona poświata tuż nad linią horyzontu, która ukazała się tuż po ataku armii Kush. Jak głosiła legenda, owa poświata zwiastowała zejście bogów z niebios.

Również czarni magowie donieśli mu, że ich doświadczenia z nieśmiertelnością zaprowadziły ich do źródła wiedzy wszechświata, do siedliska złych mocy. Wkrótce więc otrzyma tak długo oczekiwaną nieśmiertelność, dzięki której rządzić będzie światem przez wieki. Stanie się to jednak za cenę zburzenia równowagi między dobrem i złem we wszechświecie. Dla Khasathuta jednak nie miało to istotnego znaczenia. Z jego błogosławieństwem magowie, poza postępującymi w zawrotnym tempie badaniami nad życiem i śmiercią, szykowali dla sprzymierzonych armii kolejną ponurą niespodziankę.

Przyszły też ciężkie czasy dla kapłana Anelupa, który między atakami furii Khasathuta biegał z jego rozkazami do dowódców na murach lub schodził do skażonej trupim jadem celi czarnych magów, aby wypytać ich o postępy w pracy.

Nie minął tydzień, jak wojska generała Izbina zdobyły Wad-Gahor, oddalony od Asorbes o niewiele więcej niż trzydzieści mil...

II

Skrzydlate legiony

Wad-Gahor. Ta nazwa wywołała w Khai dawne wspomnienia. Starzał się jednak nie rozpamiętywać ich w obliczu ważniejszych spraw. Zdobycie Wad-Gahor nie było trudne. Faraon bowiem zostawił pieczę nad fortem w rękach dziesięciu tysięcy najemników z Therae, którzy przeobrazili się z obrońców w żądnych krwi okupantów niszczących miasto.

Khai Ibin nie szczędził żelaznych mieczy, aby wytoczyć krew z ciał barbarzyńców. Pomagali mu w tym starcy i młodzież. Widząc, że nic im nie zagraża, wskazywali kryjówki, w których schronili się oficerowie. Mścili się w ten sposób za to, że w przeciwieństwie do regularnych oddziałów wojsk faraona, najemnicy z Therae w obliczu zagrożenia kradli, co popadło, i gwałcili nawet dzieci. Aby uspić ich barbarzyńskie zapędy, przez ostatnie dni starszyzna poila ich alkoholem, co zapewne sprawiło, że podczas ataku na Wad-Gahor ich pseudo-obroncy byli dezorientowani i bezbronni jak baranki. Khai dostał jednak rozkazy, aby przerwać walkę i oszczędzić mieszkańcom niepotrzebnych cierpień. Sam fort nie był też ciekawym miejscem. Okradziono go ze wszystkich bogactw.

Spacerując po forcie, Khai przyglądał się, jak wznoszono stosy grobowe. Jego uwagę przyciągnął też dom publiczny, gdzie bito i gwałcono kobiety. Wszedł do środka i znalazł tam kilkunastu śpiących najemników, których z rozkoszą pozbawił życia. Potem wyszedł na podwórze. Chłodne wieczorne powietrze przepełnione było smrodem palonych ciał. Niedaleko stosu wśród równo poukładanych ludzkich ciał zauważył kobiecą głowę, którą porastały kruczoczarne włosy. Pociemniało mu w oczach i ugięty się pod nim kolana. Nagle zrozumiał, dlaczego nazwa fortu Wad-Gahor, była mu tak bliska.

- Co się z tobą dzieje, panie? - zapytał Kindu. (Kindu i Nundi nie odstępowali go na krok, odkąd powrócił do Kush z Nubii).

- Mam wrażenie, że znam tę kobietę. - Wskazał na trupa. - Przy-
nieście ją tu, chcę się jej przyjrzeć.

Po chwili Kindu położył ciało kobiety u stóp Khai. Mhyna, bo to
było jej ciało, miała na wspólnie otwarte oczy, a z piersi wystawał jej
własny miecz, który przytrzymała za rękojęć.

Khai bez słowa ukląkł i przytulił jej głowę. Po jego policzkach po-
ciekły gorące łzy. Kindu i Nundi spuścili głowy i bezszelestnie wycofa-
li się. Gdy zapadł zmrok, Khai wziął ciało Mhyny na ręce i zaniósł do
barki stojącej niedaleko przy nabrzeżu. Położył ją na pokładzie z pa-
pirusowych belek, które następnie nasączył olejem i odpychając bar-
kę od brzegu, wrzucił do środka pochodnię. Patrzył na płonącą bar-
kę, dopóki nie zniknęła za zakrętem rzeki.

Tej nocy Khai rozkazał rozbić obozowisko poza fortem, aby na-
stępnego dnia ułatwić żołnierzom przeprawę przez rzekę. Musieli
przecież jeszcze przygotować rydwany wojenne do końcowej bitwy
pod murami Asorbes.

Minęło popołudnie, kiedy ostatnia barka dobiła do przeciwnego
brzegu, a tuż przed zapadnięciem zmroku nastąpiła niezwykła cisza.
Wraz z nią pociemniało niebo, ale nie na północy, lecz na południu -
nad Asorbes! Khai pierwszy zauważył to niezwykle zjawisko. Kiedy
obserwował horyzont, poczuł nagle drżenie nóg i, kiedy oparł się o
pień drzewa, usłyszał głos, choć nikogo nie było w pobliżu.

- Khai - powiedział głos. - Nie obawiaj się niczego, tylko mnie wy-
słuchaj. Ja jestem magiem sił umysłowych. Byłem kiedyś uczniem
starego maga z Syry i teraz pragnę wykorzystać całą swoją wiedzę,
aby ci pomóc. Przedtem jednak muszę cię ostrzec...

Khai potrząsnął głową, próbując pozbyć się natrętnego głosu. Do-
ceniał przestrogi magów, ale nie lubił, kiedy nachodzili go w ciągu
dnia. Jego trud okazał się jednak próżny.

W końcu poddał się pod naporem wciskających się w szare ko-
mórki słów maga.

- Nie tylko ty słyszysz moją przestrozę - mówił mag. - Dociera ona
również do uszu Maneka. Nie słyszy mnie jedynie Genduhr, który
przez to straci życie!

- Nie przerywaj, magu - powiedział głośno Khai, rozumiejąc, że
nie jest to przywidzenie. - Powiedz, co wiesz.

- Ptaki, nietoperze, owady, muchy i szarańcza pożrą wszystko, co się zieleni i co porusza! I my magowie nie możemy temu zapobiec, bo nie rządzą tym znane nam prawa natury, lecz nieczne sztuczki magów Khasathuta.

- Chcesz powiedzieć, ojcze, że jesteśmy skazani na zagładę? - zapytał przerażony Khai.

- Wszystko, co się zieleni i porusza! - Powtarzał mag coraz słabszym głosem i wkrótce zamilkł.

Z odrętwienia obudziły Khai krzyki jego żołnierzy, którzy nie odrywali oczu od horyzontu na południu. Niebo przypominało gruby koc, który czyjaś potężna ręka powoli kładzie na ziemię.

Ludzie wpadali w panikę i krzyczeli przerażeni. Wtórowało im rzenie koni, które co chwilę stawały dęba.

- Posłuchajcie mnie! - zagrzemiał Khai, próbując coś przekazać uciekającym w popłochu żołnierzom. - Natychmiast zakryjcie koniom oczy! Pamiętajcie, aby stać nieruchomo, kiedy dopadnie nas szarańcza! Gdybyście musieli pozostać na miejscu, nawet przez całą noc, nie wolno wam nawet mrugnąć powieką. Powtarzam wam słowa magów. Jeżeli chcecie żyć, musicie ich wysłuchać!

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie przestrogi Ibzina, kiedy przyniesiono koce, którymi okryto koniom lby. Potem ludzie się opatulili, czym tylko się dało i schronili pod rydwanami i w koszach powozów. Nastąpiła cisza. Słyszać było jedynie potworny szum skrzydeł, kiedy zgłodniała szarańcza opadła na ziemię.

- Pamiętajcie, że nie wolno się poruszyć! - Khai krzyknął po raz ostatni i przykrył się kocem. Zanim przykucnął, podbiegł do niego Nundi i wsunął pod poję jego pledu.

Wkrótce obsiadły ich miliardy brzęczących stworzeń.

- Stój spokojnie - szepnął Khai - bo szarańcza zje nas żywcem.

Po chwili do ich uszu dotarły odgłosy kłaskania, jakby oddział żołnierzy brnął przez błotniste moczary. Khai przysłuchiwał się przez chwilę dziwnym dźwiękom, aż w końcu wykrztusił:

- Na miłość boską! One jedzą!

Nagle rzenie koni przerodziło się w przerażający kwik, który ucichł wraz ze śmiercią zwierząt. W którymś momencie usłyszeli ludzki krzyk.

Nundi drżał na całym ciele. Słyszeli jak krzyk przeradza się w pełen bólu i cierpienia skowyt, usłyszeli odgłos tarzającego się w agonii ciała.

- Spróbuj krzyknąć albo się poruszyć, to cię uduszę! - szepnął Khai, kładąc dłoń na szyi czarnoskórego Nubijczyka.

Przez mniej więcej cztery godziny przyszło im słuchać rozpaczliwych jęków konających ludzi, którym towarzyszyło przeraźliwe rżenie koni. Potem ponownie usłyszeli szum małych skrzydełek, szarańcza wzbija się w niebo i odleciała. Upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim Khai zdecydował się zrzucić z siebie koc.

- Odkryjcie twarze! - krzyknął do żołnierzy. - Rozpalcie ogniska!

Nieruchome dotąd postacie zaczęły się podnosić i przemykać w mroku jak cienie. Nundi wyprostował się i zaczął rozcierać odrętwiałe kończyny. Tuż obok niego leżał koński szkielet. Nie było na nim ani grama mięsa. Obok leżał szkielet ludzki, którego upiorna biel odbijała światło księżyca.

Khai podskoczył nerwowo, kiedy jeden z żołnierzy chwycił go niepostrzeżenie za łokieć.

- Z czego mamy rozpalić ogniska, panie? - zapytał żołnierz.

- Z gałęzi, głupcze! - odparł poirytowany generał.

- Jakich gałęzi?

- Nie wiesz, jak wyglądają gałęzie...? - Khai rozejrzał się dookoła. Wokół panowała tak przerażająca pustka, jakby nagle przeniesiono ich w czarną otchłań kosmosu.

IV

Obleżenie Asorbes

Rano oczom żołnierzy ukazał się ogrom zniszczeń, jakich dokonała szarańcza.

Tereny wokół obozowiska, pełne dotąd zielonych drzew i krzewów, przemieniły się w pustynię. Drzewa były objedzone nie tylko z liści, lecz także z kory. Wściekle głodne owady ogołociły wszystko, jak okiem sięgnąć - brzegi Nilu z trzciny, sitowia i drzew papirusowych, krzewy i drzewa. Te ostatnie znikły, jakby je wyrwano z korzeniami.

Nad cmentarzyskiem wisiała szara mgła, z której wylaniały się potężne mury obronne Asorbes.

Khai spochmurniał na wspomnienie faraona, Anelupa, czarnoskórych gwardzistów i magów, zastanawiał się, czy po ataku szarańczy bardzo ucierpiał Manek Thotak i czy spełniła się przepowiednia magów o śmierci Gendhura Shebbithona.

Thotak na ostrzeżenie magów zareagował w podobny sposób jak Khai, rozkazując żołnierzom rozpalić ogniska.

Gendhur zaś sądził, że padł ofiarą złych duchów. Ten prosty człowiek, mimo że był doskonałym dowódcą, bał się jak ognia sił nadprzyrodzonych. Słyszac więc ostrzeżenie maga, biegł w tę i z powrotem, wymachując mieczem. Zginął pierwszy, a szarańcza pożarła dwadzieścia pięć tysięcy jego ludzi. Pozostały po nich jedynie białe szkielety. Około dwa tysiące koni uniknęło kaźni, ponieważ znajdowały się poza obszarem szturmującej plagi. Ocalał też jeden z żołnierzy Gendhura, który leżał pijany i opatulony kocem, a rano obudził się trzeźwy, i z przerażeniem, graniczącym z szaleństwem, siedział wśród szkieletów ludzkich, potrząsając głową...

Tego samego dnia, do syna Gendhura, Gadaha, przybyli posłańcy od generałów Thotaka i Ibzina z rozkazami, aby złożyć dowództwu raport o stratach.

W tym samym czasie Khai zbliżył się do Asorbes, rozlokowując wojska nad brzegiem rzeki. Manek ze swoimi oddziałami zajął tereny

na południu miasta, a część ocalałej armii Shebbithona, stojąc na granicy między Phemar a Asorbes, zajęła wschodni brzeg Nilu, na wypadek, gdyby żołnierze z Khem próbowali uciec z miasta. Przy oblężeniu było też czterech czarnoskórych Nubijczyków, których Khai przywiózł dla Ashtarty. Królowa wysłuchała ich prośb i wysłała pod mury Asorbes. Kazała im pozdrowić króla N'jakke i życzyć mu zwycięstwa.

Kiedy zajęci byli kolacją, natknął się na nich przypadkowo Manek Thotak.

- Generale Manek - zagadnął go najwyższy z Nubijczyków - czy teraz, kiedy jesteś w samym sercu Khem, przyłączysz się do armii Khai-mściciela?

- Tak, jeśli zaatakujemy miasto - odparł Thotak. - A dlaczego pytasz, chłopcze?

- Bo w szeregach wojsk generała Izbina mamy wielu przyjaciół, z którymi chętnie podzielilibyśmy się wrażeniami z bitwy.

- Rozumiem - odparł Manek. - My, mieszkańcy Kush także lubimy opowiadać swoje wrażenia.

- To prawda, panie - odpowiedział Nubijczyk. - Najwięcej jednak do opowiadania swoim dzieciom będzie miał nasz generał Ibin, kiedy zostanie królem Kush! - W tym momencie zniknął uśmiech z twarzy Thotaka. Chwycił Murzyna za ramię i warknął:

- Kto ci powiedział, że Ibin zostanie królem?

- Wszyscy, panie, wiedzą, że generał żywi gorące uczucia do królowej.

- Któż taki o tym wie? - zapytał Manek, siłąc się na spokój.

Murzyn przysunął się do Thotaka i szepnął tajemniczo:

- Sam widziałem, jak wchodził do namiotu królowej, bynajmniej nie frontowymi drzwiami.

- Widziałeś go? - Manek poczerwieniał na twarzy. - I pozwoliłeś mu wejść do środka?

- Panie, bronię królowej przed wrogami, a nie przed kochankami - odparł Nubijczyk, chichocząc pod nosem.

- Kochankami?! Rozumiem - odparł Thotak i zawtórował mu krótkim, nerwowym śmiechem. - Zdawało mi się, że Khai Ibin zwierza się tylko mnie. Chodź, mój przyjacielu, musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Po tych słowach zaprowadził Nubijczyk w ustronne miejsce, gdzie rozmawiali z sobą przez dłuższą chwilę.

Późnym wieczorem otwarto wszystkie bramy prowadzące do Asorbes i wypuszczono tysiące żołnierzy, którzy utworzyli coś w rodzaju żywego muru obronnego. Armia Thotaka jednak nie atakowała, zajęła jedynie wyznaczone pozycje i czekała. —

Kiedy zamknięto bramy, do pracy przystąpili czarni magowie. Tym razem magowie Ashtarty nie zdążyli ostrzec Khai o knowaniach szarlatanów faraona i złe moce zaatakowały niepostrzeżenie. Najpierw sądzono, że powrócił gorący Khamasin, którego mocne podmuchy wzbijały tumany kurzu. Potem jednak wojownicy poczuli nudności i zatykali nosy przed zwałającym z nóg fetorem. Trupi zapach unosił się nad wojskami Ashtarty aż do późnego wieczora. Później jego intensywność zmalała. Nad ranem okazało się, że dławiące powietrze powoduje więdnienie liści na drzewach i krzewach, wysusza trawę. Cały proces przebiegał tak szybko, że zwierzęta gryzły zieloną trawę, a przeżuwały siano. Nagie pnie drzew, огоłocone przez szarańczę, chwiały się i padały na ziemię. Liście drzew rozsypywały się pod dotknięciem ręki, a ściółka leśna zamieniła się piasek. Jedyna zieleń, jaka pozostała, znajdowała się za linią ofensywy wojsk faraona i w samym mieście. Jego owce nadal gryzły zieloną trawę, a żołnierze pili świeże mleko.

Wojownikom Ashtarty pozostały jedynie zapasy żywności, a gdy się one skończą - suchy piasek! Oznaczało to, że nie należy zwlekać z oblężeniem (jak uprzednio planowano) lecz natychmiast przystąpić do ataku.

Generałowie Khai Ibin, Manek Thotak i następca Gendhura Shebbithona, jego syn, Gadah, postanowili spotkać się przed północą, aby omówić nową taktykę walki.

Pierwszy do namiotu Ibin przybył Manek Thotak i po chwili wyruszył na pertraktacje z jednym z dowódców oddziałów Khem. Po powrocie Khai oschle go przywitał.

- Nie sądzisz, Manek, że pogawędka z wrogim generałem była niezwykle ryzykowna? - zapytał.

- Mylisz się. To był człowiek honoru. Ponadto był bezbronny i słabszy ode mnie.

Khai wzruszył ramionami i odrzekł:

- Zdziwiasz mnie. Nigdy nie przypuszczałem, że wielki Manek Thotak może pertraktować z oficerem Khem i do tego uważać go za człowieka honoru.

- Bo nie pretenduje do tronu w mojej ojczyźnie - powiedział Manek pod nosem i zaraz potem głośno dodał: - Uważam, że już dość przelaliśmy niewinnej krwi.

- To niewiarygodne! - krzyknął Khai. - A więc odkryłeś sposób, jak powstrzymać ów rozlew krwi!

- Tak - odpowiedział Manek i zamilkł.

- Więc na co czekasz? Mów!

Manek Thotak streścił swoją rozmowę z generałem faraona, z tą tylko różnicą, że każde jego słowo było kłamstwem.

V

Transakcja

- To nieprawdopodobna historia! - krzyknął Khai, kiedy Manek skończył. - Powiadasz, że żołnierze faraona buntują się i chcą poddać miasto?!

- To prawda, generale - odrzekł Thotak.

- A potem oddadzą w nasze ręce Khasathuta, Anelupa, gwardzystów i czarnych magów?

- Jest tak, jak powiedziałem!

- A co chcą w zamian?

- Sądzą, że będzie im się lepiej żyło pod rządami królowej Ashtarty - odparł Manek. - Chętnie pozbędą się zniechowanego tyrana i Anelupa, przez którego nieczne intrygi wielu żołnierzy straciło życie. Mają też dosyć czarnych magów, których diabelskie sztuczki sprowadziły wiele nieszczęść i zamieniły łąki i lasy sąsiednich krajów w nieurodzajną pustynię. Generalowie Khem pragną uratować życie tysiącom mieszkańców Asorbes. Lud stolicy zamierza bowiem zorganizować powstanie, a w przyszłości odzyskać potęgę, jaką szczyciło się Khem przed wiekami. Tym razem jednak pod mądrymi rządami Ashtarty.

- Sam nie wiem, co o tym sądzić - wzruszył ramionami Khai. - Jesteś pewien, że nie próbują grać na zwłokę? Może w ten sposób chcą dać więcej czasu swoim magom, aby sprowadzili na nasze głowy jeszcze gorszą zarazę?

- Sądzisz, że próbują grać na zwłokę, skoro chcą się natychmiast z tobą widzieć? Jeżeli się zgodzisz, mogę zaraz zorganizować spotkanie. Wystarczy, że dam sygnał żółtą flagą.

- Pojedziesz ze mną na to spotkanie? - zapytał niepewnie Khai.

- Oczywiście.

- I dobiorą się do nas jak koty do szczurów zamkniętych w pułapce!

Manek rozłożył ręce i westchnął. Widząc jego reakcję, Khai zastanowił się, czy czasem nie jest zbyt ostrożny.

- Przyjacielu - powiedział Manek - gdyby tak postąpili, to i tak nasza armia byłaby zdolna rozprawić się z nimi. Nasi dowódcy znają się na bitwach i ty doskonale o tym wiesz. Poza tym, aby zachęcić cię do rozmowy, zgodzili się cofnąć swoją linię obrony aż pod mury Asorbes.

Khai milczał przez dłuższą chwilę. Potem zbliżył się do wyjścia z namiotu i nadal nic nie mówiąc, spoglądał w stronę linii obronnej wroga.

Zaczynało zmierzchać.

- Jeżeli zgodzę się na tę rozmowę, to kiedy wycofają swoje wojska? - zapytał.

- Natychmiast. Na miejsce pojedziemy wozem bojowym, aby zapewnić sobie bezpieczny odwrót na wypadek podstępny. - Mówiąc to, Manek stanął obok Khai i razem z nim spoglądał na zachód słońca, którego promienie oświetlały ziemię przypominającą ciało nieboszczyka w stanie rozkładu.

- Zdaje mi się, Khai - powiedział - że nadszedł nareszcie koniec tego koszmaru.

- Zgoda - odparł Khai. - Pokaż im tę żółtą flagę. Zobaczymy, czy rzeczywiście się wycofają. Dam też znać Gadah Shebbithonowi, aby spotkał się z nami na końcu obozowiska.

Za pół godziny jechali na spotkanie z wrogiem. Manek trzymał w rękę długą włócznię z zatknietą na jej końcu żółtą flagą. Gdy przybyli na miejsce, wysiedli z rydwanu i obserwowali wycofujące się oddziały faraona.

Wkrótce też pojawił się Gadah Shebbithon. Opowiedzieli mu pokrótce o celu wizyty i nakazali, aby przejął dowództwo nad armią, gdyby nie wrócili.

Na niebie świeciły już gwiazdy, kiedy rydwan bojowy z Khai i Manek Thotakiem wjechał na tereny okupowane przez wojska Khasathuta.

Na pustej przestrzeni między obozowiskiem Ashtarty a murami Asorbes rozbito namiot na jedynym skrawku ocalałej zieleni. Z przeciwnej strony nadeszło dwóch żołnierzy w randze generałów armii Khem.

Nastąpiła oficjalna prezentacja. Ibinowi - w przeciwieństwie do Thotaka - nie przypadł do gustu widok generałów. Nie zwlekając, weszli do namiotu i usiedli przy ciężkim dębowym stole. Namiot oświetlały pochodnie umieszczone na wysokich stojakach. Khai

zaczynał nabierać zaufania do oficerów, którzy, by przełamać jego niechęć, postawili na stole dzban wina i cztery srebrne kielichy. Jeden z nich napełnił swój kielich i natychmiast go opróżnił. Następnie nalał wina do kielichów gości. Kiedy Khai podniósł swój puchar do ust, kątem oka zauważył duże krople potu na czole Maneka. Wino miało gorzki smak. Ibin nagle zrozumiał, że jest zatrute. Trucizna widocznie znajdowała się w naczyniu, zanim nalano do niego wina!

- Manek! Miej się na baczności! - krzyknął Khai, próbując wstać od stołu.

Oczy wszystkich zwrócone były na niego. Manek zwiesił głowę, starając się nie patrzeć Ibinowi w oczy. Khai zachwiał się i upadł na ziemię. Zanim jednak stracił przytomność, widział jak unoszą się duże kępy krawy, a z dziur w ziemi wychodzą żołnierze.

- Zaczekajcie, aż się zupełnie ściemni - usłyszał głos Thotaka. - Potem niech któryś z was uderzy mnie mocno w głowę, a następnie przebijcie mieczem. Rzecz jasna, chciałbym pozostać przy życiu. Pragnę, aby generał Ibin wrócił do królowej nie jako dumny kandydat do jej ręki, a nędzne zwłoki, w których ledwo tli się życie.

- A jeśli was obu zabierzemy do Asbores, generale Thotak? - zapytał jeden z dowódców.

Manek zaśmiał się ponuro.

- Pragniesz zwrócić przeciwko waszej stolicy gniew tych tysięcy żołnierzy otaczających mury? Nie utrzymacie się dłużej jak miesiąc. Obiecuję wam, że faraon nadal będzie rządził Khem, a ja... Kush.

Khai nie usłyszał dalszych słów, stracił bowiem przytomność na bardzo długo...

Wyczerpana kolejną bezsennością Ashtarta weszła do swojego namiotu, w którym krzątały się służące, i położyła na łóżku, zapadając w głęboki sen.

Minęło pięć dni, w czasie których Manek Thotak i Khai Ibin leżeli nieruchomo w śmiertelnej zapaści.

Zgodnie z zaleceniem magów mieli leżeć w ciszy i spokoju, ponieważ nic więcej nie można było dla nich uczynić. Jeżeli Thotakowi powiodą się jego poszukiwania duszy Iбина w przyszłym świecie,

który jeszcze nie powstał, wówczas powróci do obecnych czasów i nastąpi przebudzenie. Musi się jednak pośpieszyć, bo w każdej chwili mogą w obu ciałach ustać procesy życiowe. Wszyscy przestrzegali zalecenia magów i nikt nie odważył się zakłócić spokoju generałów. Nawet Imthra przezornie omijał wejście do namiotu.

Kiedy więc zaczęły mocniej bić ich serca, a blade dotąd policzki nabrały rumieńców, byli sami. Pierwszy otworzył oczy Khai. Przez chwilę patrzył nieprzytomnie na sufit namiotu. Przez moment wydało mu się, że jest zarówno Khai Ibzinem jak i Paulem Arnottem z Londynu. Po kilku minutach jednak wspomnienia z poprzedniego wcielenia zaczęły się zacierać, a te, dotyczące obecnych czasów powracać ze zdwojoną siłą. „Manek Thotak - zdrajcą.” To wspomnienie uderzyło go jak grom z jasnego nieba. Usiadł i spojrział w otwarte oczy Thotaka.

Nagle olbrzym o pływających włosach rzucił się na Maneka, chwytając go za gardło.

- Zanim zginię, powiedz, dlaczego mnie zdradziłeś?! - wycedił Khai przez zaciśnięte zęby.

- Dla dobra Kush! - wykrztusił z siebie Manek.

- Dla dobra Kush?! - Khai powtórzył zdumiony - Oszalałeś?!

- Nie oszalałem! Po prostu nie mogę dopuścić do tego, aby przybysz z Khem zasiadł na tronie Kush! Zabij mnie, na co czekasz!

- Dlaczego uważasz, że zostanę królem? - zapytał Khai.

- Przecież jesteś kochankiem Ashtarty, nieprawdaż?

- Ty jesteś po prostu zazdrosny! - Khai wzruszył ramionami.

- Mylisz się! - zaprotestował Manek. - Nie zależy mi na uczuciach Ashtarty. Jak już mówiłem, pragnę tylko, aby na tronie zasiadł syn ziemi Kush.

- Ty głupcze! - warknął Khai. - Swoimi knowaniami mogłeś zniszczyć swój kraj. Ale, gdzie my teraz jesteśmy? To chyba namiot królowej Ashtarty. Opowiedz więc lepiej, co się wydarzyło po tym, jak wydałeś mnie w ręce wroga. Ja zaś zastanowię się, co z tobą począć.

Khai wreszcie pozwolił usiąść Manekowi i cierpliwie wysłuchał jego opowieści. Kiedy ten skończył, siedzieli przez chwilę w milczeniu. Pierwszy odezwał się Khai:

- Nasi dzielni żołnierze stoją nadal pod murami Asorbes. Czekają na nas i nie możemy ich zawieść. Proponuję więc, abyśmy natychmiast wyruszyli poprowadzić ich do boju.

- Co takiego? - Zdumiony Manek potrząsnął głową. - Nie chcę twojej łaski, generale Ibin!

- Wolisz więc, aby cały kraj dowiedział się, że jesteś zdrajcą?

- Nie jestem zdrajcą! - Manek zerwał się na równe nogi. - Powtarzam raz jeszcze: nie zdradziłem swojego kraju!

- Powiedz to królowej - odparł Khai. - Tak czy owak, będziesz nim, jeżeli nie wrócisz ze mną do Khem - dodał, kierując się do wyjścia z namiotu.

- Zaczekaj, Khai! - Manek niepewnie ruszył za nim. - Czy zaufasz mi, jeżeli pójde z tobą?

- Nie mam innego wyjścia - odrzekł Khai. - Zobaczymy, czy tym razem także mnie zawiedziesz.

Manek popatrzył na piaszczystą podłogę namiotu i pokiwał głową.

- Mam ochotę dobrać się do skóry faraonowi! - odparł. - Miał na zawsze usunąć cię z mojego życia, a jesteś okazem zdrowia! Zgoda, Khai Ibinie. Jedźmy do Asorbes!

Po chwili razem wyszli z namiotu.

VI

Czerwone strzały

Ashtarta z niedowierzaniem przecierała zaspane oczy, słysząc o cudownym przebudzeniu obu generałów. Doniosły jej o tym rozradowane służące. Kiedy wybiegła z namiotu, aby z nimi porozmawiać, ujrzała jedynie majaczący na horyzoncie rydwan wojenny i mgliste sylwetki siedzących w nim mężczyzn. Za nimi galopowała dodatkowa para koni. Ludzi z eskorty Maneka poderwał na nogi jego wyjazd i teraz w pośpiechu siodłali konie, aby ruszyć za nim.

Ashtarta, patrząc na to całe zamieszanie, nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy też martwić. Podobne uczucia żywił Imthra. Był szczęśliwy, że Khai i Manek powrócili do życia, ale zakłopotany ich nagłym wyjazdem.

Ich pośpiech był jednak uzasadniony. Żołnierzom kończył się prowiant. Ponieważ ich nieobecność przeciągała się, mogło to doprowadzić do osłabienia ducha bojowego armii.

Khai w gruncie rzeczy był zadowolony, że pozostawił Thotaka przy życiu. Częściowo przecież odkupił swoją winę, sprowadzając jego duszę z zaświatów.

- Manek! - krzyknął, okładając konie batem i zmuszając je do jeszcze szybszego galopu. - Dużo pamiętasz ze świata, w którym przebywaliśmy?

- Bardzo niewiele - odparł Manek. - Tamta rzeczywistość wydaje mi się snem.

- Tylko snem? - powtórzył zdumiony Khai. - Dla mnie był to istny koszmar!

Dotarli do obozowiska wojsk dopiero po dwóch dniach. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a za nimi słychać było tętent koni eskorty, która przez cały czas bezskutecznie próbowała ich dogonić. Khai przez jakiś czas z zadowoleniem obserwował, jak Thotak czyni przygotowania do wymarszu. Potem jednak ruszył do swoich

oddziałów stacjonujących pod murami Asorbes. Po chwili przejeżdżał już obok pozycji Gadah Shebbithona.

Jego pojawienie się wywołało niemalże dziką radość żołnierzy. Takie samo przyjęcie zgotowały mu jego własne oddziały, gdy dotarł na miejsce. Ich radość była jeszcze większa, gdy dowiedzieli się, że następnego dnia ruszą do szturm na plugawe gniazdo faraona.

Po kilkugodzinnym odpoczynku Ibin zgodził się na rozmowę z kilkoma niewolnikami, którym udało się zbiec z Asorbes. Na czole mieli wypalone krzyże „ankh”, które symbolizowały ich upokorzenie, jakiego doznawali z rąk żołdaków faraona. Później, kiedy jako żołnierze walecznej armii Kush powrócą do miasta, pomalują krzyże czerwoną farbą, by pokazać żołnierzom faraona, że nie ma dla nich litości. Khai wyraził swój podziw dla ich odwagi, wypytując o szczegóły ich ucieczki. Przy okazji dowiedział się, że kiedy żołnierze faraona zabrali jego ciało do miasta, nakazano im powrócić na poprzednie przyczółki za murami. Jednak zanim nastąpił ich odwrót, musieli stłumić powstanie, które zorganizował Adonda Gomba. Kiedy powstanie upadło, król niewolników schronił się w swojej dzielnicy.

Niewolnicy, z którymi Khai właśnie rozmawiał, wykorzystali powstałe zamieszanie i zeszedli po linie przerzuconej przez mur od północnej strony miasta. Początkowo było ich więcej. Jednak żołnierze odkryli drogę ich ucieczki i odcięli liny.

- To Adonda Gomba żyje? - zapytał uradowany Khai.

W tej samej niemal chwili wspomnienie bliskiego jego sercu nazwiska podsunęło mu pewien plan. Wezwał do siebie malarza, a następnie przedarł na trzy części białe płótno, które wisiało u wejścia do jego namiotu i kazał artyście namalować na nich trzy różne symbole. Na pierwszym kawałku płótna - znak Adondy; trójkąt wpisany w koło. Na drugim - szkic miasta z wyłamanymi trzema bramami; od strony północnej, południowej i zachodniej. Na trzecim zaś młody artysta namalował słońce wschodzące nad zielonym Nilem i jego własny znak; trójkąt z małą gałązką oplatającą jeden z jego boków. Następnie każdym ze skrawków płótna Khai owinął trzy strzały i wezwał najlepszego woźnicę, z którym wyruszył do obozowiska Maneka. Właśnie po tamtej stronie za murami Asorbes

znajdowała się osada niewolników. Khai jak przez mgłę pamiętał brudne ulice, wzdłuż i wszerz przecinające dzielnicę. Miał nadzieję, że strzały dotrą do domu Gombi i, gdy tylko zjednoczone wojska uderzą na miasto-warownię, król niewolników przybędzie z pomocą.

Kiedy rydwan mijiał oddziały Maneka, Khai zauważył, że brama południowa była szeroko otwarta. Wymykały się przez nią grupki żołnierzy faraona, zajmując pozycje obronne wzdłuż potężnego muru. Oni również zauważyli zbliżający się wóz bojowy wroga i teraz stali zdezorientowani, zastanawiając się, kto go prowadzi: szaleniec, czy też niezwykle odważny człowiek. Wyglądało to tak, jakby samotnie zamierzał zdobyć twierdzę.

Wkrótce Khai znalazł się w zasięgu strzał wroga, jednak nie przestał podążać naprzód. Kiedy zbliżył się do żołnierzy na odległość kilkuset metrów, nakazał woźnicy jechać wzdłuż muru pod gradem strzał, które wypuszczono w jego stronę. W pewnym momencie wstał i naciągając raz za razem cięciwę łuku, wystrzelił trzy strzały, które poszybowały wysoko poza krawędź muru. Następnie zaś uniósł tarczę i osłaniając siebie i woźnicę, kazał zawrócić rydwan i wracać do obozowiska Thotaka. Kiedy przybyli na miejsce, opowiedział Manekowi o swoim planie; o świcie zamierza zaatakować miasto i ma nadzieję, że pomogą mu w tym niewolnicy za murami. Zostawił też instrukcje, według których Manek powinien poczynić przygotowania.

Następnie pojechał do obozowiska Gadah Shebbithona, gdzie też przekazał instrukcje, po czym powrócił do swoich oddziałów, które stacjonowały pod murami miasta, od jego północnej strony. Wysłał stamtąd dwóch Nubijczyków do króla N'jakki z prośbą o czujność na wypadek, gdyby gwardziści Khasathuta próbowali uciec wschodnią bramą. Przygotowania te zajęły Khai cały dzień do późnych godzin nocnych. W końcu jednak zdecydował się na odpoczynek. Leżał w łóżku i popijał czerwone wino. Odczuwał silny ból głowy. Czasem miewał migreny, ale ta była wyjątkowa. Po chwili przemówił do niego niewidzialny głos:

- Zaśnij, Khai Izbinnie. Miałeś wyjątkowo męczący dzień. W twoim śnie przemówi do ciebie mag-oneiromanta. Radzę ci dobrze zastosować się do jego zaleceń. W przeciwnym razie możesz nas już nigdy nie usłyszeć!

VII

Zielony ogień

Przed oczyma Khai pojawiło się usiane błyszczącymi gwiazdami niebo. Tym razem stał na szczycie Gilf Kebir z magiem w brązowym habicie i z magiem władającym siłami natury. Inni generałowie byli nieobecni. Kiedy więc pozdrowił magów, nie omieszkał zapytać o powód nieobecności Manek Thotaka i Gadah Shebbithona.

- Tym razem nie muszą uczestniczyć w naszej rozmowie - odpowiedział oneiromanta - bo to i tak niczego nie zmieni. Ich los jest w rękach bogów.

- Twoje słowa, ojcze, brzmią złowieszczo - odparł Khai.

- Bo są złowieszcze, generale. Jutro z samego rana czarni magowie faraona ześlą na was kolejną klęskę.

- A cóż to będzie tym razem? - Khai poczuł ciarki przebiegające mu po krzyżu.

- Ja odpowiem ci na twoje pytanie - odezwał się mag z Siwadu. - Podejrzewam, generale, że klęska może przybrać postać ognia, ziemi, wiatru lub wody.

- Powiedz mi przynajmniej, ojcze, jak mogę uchronić się przed siłą natury i zdobyć Asorbes?

- Nic nie możesz uczynić - odparł mag z Siwadu. - Wszystko spoczywa w moich rękach, ale nie mogę nic uczynić, póki nie wiem, której z sił natury użyją.

Sprowadziliśmy cię tu jedynie po to, aby cię ostrzec.

- A więc nic nam nie grozi? - zapytał Khai.

- Nie, generale. Możesz spać spokojnie. Którejkolwiek z sił natury użyją te czarne psy, opanują ją i użyją przeciwko faraonowi na twoją chwałę!

- Dzięki ci za to, czcigodny magu - odpowiedział Khai.

- Jest jeszcze jedna sprawa niecierpiąca zwłoki - odezwał się mag od marzeń sennych.

- Słucham, cóż to takiego?

- Kiedy znajdziesz się za murami Asorbes - kontynuował mag - musisz natychmiast odszukać czarnych magów i zabić ich. W przeciwnych razie sprowadzą na ziemię katastrofę, jakiej nie doświadczył cały wszechświat. Tak im rozkazał faraon, gdyby wasze wojska zdobyły Asorbes.

- Skąd o tym wszystkim wiecie? - zapytał Khai, nie ukrywając zdumienia.

- Mag kontrolujący siły umysłowe wsłuchał się w czarne jak wieki otchłań myśli magów faraona. My, pozostali magowie, ufamy mu. Więc ty zaufaj nam, generale. A teraz śpij spokojnie i odpoczywaj, bo jutro czeka cię najważniejszy dzień w twoim życiu. O tym, co się jutro zdarzy, opowiadać będą przyszłe pokolenia!...

Z tego snu wyrwały go czyjeś mocne ręce. Otworzył oczy i ujrzał Kindu.

- Za pół godziny wstanie słońce, panie. Wszyscy czekają na sygnał do ataku. Nawet król N'jakkko przeprawił się przez rzekę i stoi w pogotowiu.

- A co z żołnierzami faraona? - zapytał Khai.

- Przygotowują się do obrony. Bramy miasta są zamknięte i pilnie strzeżone. Faraon zgromadził dużą część wojska pod wschodnią bramą w obawie przed atakiem N'jakkki. Khasathut słusznie go się obawia. Jest mu winien tysiące niewolników, których przymusza do ciężkiej pracy przy piramidzie.

Khai w odpowiedzi pokiwał głową, uśmiechając się ponuro, i wyszedł z namiotu. Przemijając twarz zimną wodą, zauważył nagły błysk na niebie. Powiał silniejszy wiatr od północy. Khai zaciągnął się chłodnym, porannym powietrzem i spojrzął na horyzont. Panowała podejrzana cisza.

- Nadchodzi... - powiedział szeptem.

- Co nadchodzi, panie? - zapytał z trwogą Kindu.

Ibin milczeniem zbył jego pytanie, nie odrywając wzroku od kłębiących się chmur nad Asorbes. Chmury zaczęły zmieniać barwę od szarej po czern i kłębiły się coraz szybciej.

- Nie wpadajcie w panikę! - krzyknął Khai do żołnierzy. - Uspokójcie konie! Kiedy nadejdzie zagrożenie, jakkolwiek będzie miało postać, nie traćcie głowy! Magowie obronią nas!

- Magowie obronią nas! - Tę słowa powtarzano sobie z ust do ust

Gadah i Manek również dostrzegli podejrzanie czarne chmury. Mimo że nie ostrzeżono ich przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, natychmiast rozpoznali, że jest to sprawka szarlatanów Kha-sathuta.

W krótkim czasie pułap chmur obniżył się znacznie i niebo zaczęły rozświetlać błyskawice zielonego światła. Zaczynało też wschodzić słońce oświetlające horyzont. Jego złote promienie mieszały się z zielonymi zygzakami błyskawic. Widok był przepiękny i przerażający zarazem.

Khai domyślił się, że czarni magowie na swojego sprzymierzeńca wybrali ogień! Niezwykły ogień, który zionął z czeluści samych piekieł. Asorbes było otoczone licznymi zielonymi rozbłyskami ognia, który przemieszczał się w kierunku stojącej nie opodal armii Kush.

Pierwsze linie wojsk Ibzina cofnęły się z przerażeniem, widząc olbrzymie kratery w ziemi w miejscu uderzeń niezwyklej piorunów. Z głuchym trzaskiem pękały potężne drzewa dotknięte językami ognia. Potem błyskawice jeszcze bardziej rozświetliły niebo nad armią Ash-tarty i grzmocąc bezlitośnie ziemię, miażdżyły konie i ludzi.

Nagle niebo zastygło w bezruchu, a języki ognia powróciły do chmur niczym do paszczy potężnego węża. Potem powoli, z ociąganiem, czarne chmury poszybowały w przeciwnym kierunku.

- Magowie odnieśli zwycięstwo! - krzyknął Khai, a jego słowa zostały powtórzone przez tysiące gardeł.

Błyskawice uderzyły raz jeszcze, siejąc tym razem spustoszenie w szeregach Khem, stojących pod murami. Dalej, choć ze słabnącą mocą, zielone pioruny uderzały w bramy miasta, które z hukiem otwierały się na oścież.

Widząc to, Khai zwrócił twarz do nieba i krzyknął z całych sił:

- Dziękuję wam, magowie!

Potem wepchnął oszołomionego woźnicę do swojego rydwanu i ryknął:

- Jedź, na co czekasz!

Zewsząd ruszyły wozy, rydwany bojowe i tysiące żołnierzy w kierunku znienawidzonego miasta!

CZĘŚĆ DZIESIĄTA

I

Atak na piramidę

Unieśli miecze, nacierając rydwanami na broniących swoich przy-czołków żołnierzy faraona. Z tysięcy gardeł wyrwał się okrzyk, a na twarzach malowała się radość z dokonującej się krwawej zemsty. Nastąpił odwrót oddziałów Khasathuta, które w panicznym strachu schroniły się za murami miasta...

Pułki Khai, które wjechały do miasta za wycofującymi się żołnierzami faraona zaskoczone były słabą obroną murów.

Stało się to za sprawą Adondy Gomby, którego niewolnicy pozbawili życia co lepszych łuczników. Król niewolników bowiem zrozumiał wiadomość Ibizina. Nie był w stanie jednak otworzyć bram, ponieważ gwardziści w przeddzień walk nie dopuszczali niewolników w pobliże murów. Mógł jednak przyjść z pomocą generałowi Ibinowi w inny sposób. Po zlikwidowaniu łuczników kazał otruć słonie, zadając tym dotkliwy cios obrońcom miasta. Za bramami panował piekielny zgiełk i chaos. Sprawily to zarówno zielone błyskawice, jak i otulająca oddziały Kush sława.

Rydwan Khai podskakiwał na wyboistym trakcie, rozjeżdżając kołami leżące ciała. Obok jechał wóz bojowy Kindu i Nundi. Kiedy wojownicy Kush rozprawiali się z gwardzistami przy bramie, ich generał gnał w stronę oddziałów nubijskich, które wymachując potężnymi maczugami, wznosiły okrzyki:

- Jesteśmy wojownikami N'jakki! Śmierć jego wrogom! Śmierć wrogom Khai-mściciela, naszego białego brata!

Żywy mur, jaki utworzyli gwardziści, rozpadał się pod naporem ciał czarnoskórych wojowników i ciosów, jakie zadawali maczugami. Widząc, co się dzieje, niewolnicy Gomby podzielili się na małe grupki i uderzyli na żołnierzy, zabijając ich bezlitośnie. Palili również domy w swojej dzielnicy, nie przestając strącać łuczników z baszt i murów. Ulice Asorbes wkrótce pokryły się setkami trupów leżących w lepkich kałużach krwi. Zabici żołnierze Khem trzymali w dłoniach pałasze z

brązu, przecięte na pół żelaznymi mieczami najeźdźców z Kush. Cały ten dramat rozgrywał się przy wtórze ogłuszającego dudnienia werbli wojennych.

Choć przy bramach miary miejsce dantejskie sceny, w samym sercu Asorbes było spokojnie. Khai bez wielkich przeszkód dotarł do piramidy. Pamiętał o przyrzeczeniu, miał przecież rozprawić się z czarnymi magami faraona zaraz po wkroczeniu do miasta.

Obok Khai jechali jego czarnoskórzy porucznicy: Kindu i Nundi, a za nimi zaś ich bracia. U wejścia do piramidy stał pułk gwardzistów. Khai zwolnił nieco i Nubijczycy ustawili się w zwartym szeregu po obu stronach jego rydwanu. Kiedy ruszyli do ataku, łucznicy faraona unieśli łuki i napięli cięciwy. Ibin dobrze znał skuteczność ich strzał, ale wiedział też doskonale, jak uniknąć śmierci, którą z sobą niosły.

- Do góry tarcze! - krzyknął.

Spóźnił się jednak. Świadczyło o tym rzenie ugodzonych śmiertelnie koni i krzyki konających wojowników. Na szczęście jednak większość żołnierzy Khai przedarła się przez grad świszczących strzał i dopadła łuczników, zanim po raz drugi unieśli łuki. Niektórym z nich jednak udało się wypuścić strzały; jedna z nich trafiła woźnicę Khai w oko i wyszła tyłem głowy. Zanim Ibin zdążył zareagować, woźnica wypuścił lejce i wpadł pod koła pędzącego rydwanu. Po chwili jakaś ręka uzbrojona w miecz z brązu ugodziła w pierś konia, który upadł na ziemię, przewracając wóz. Khai wywinął kozła i niespodziewanie znalazł się w samym środku śmiertelnych zmagañ.

Kątem oka widział setki gwardzistów wybiegających z wejścia prowadzącego do dolnych piętér piramidy. Na ich spotkanie wyszły oddziały Kush, które zdążyły przedrzeć się przez silną jeszcze obronę. Khai musiał jednak walczyć o życie i wkrótce jego miecz, twarz i pło-we włosy zbroczone były krwią.

Widział prerażenie w oczach gwardzistów, których z satysfakcją pozbawiał życia. Słyszał też za sobą bojowe okrzyki Nubijczyków i głu-che dudnienie ich mieczy o tarcze wroga.

- Wybijemy do nogi wrogów Khai-mściciela! - Nundi i Kindu wal-czyli ramię w ramię z Ibinem i wkrótce całej trójce udało się prze-drzeć do wejścia do grobowca.

- Czekamy na twoje dalsze rozkazy, generale! - zawołał Kindu.

- Wejdzmy do wnętrza piramidy - odpowiedział Khai. - Spalmy to gniazdo os!

II

Śmierć magów

Na dolnych piętrach piramidy panował mrok, który Khai pamiętał z czasów, gdy tu przebywał.

Przechesując z pięćdziesięcioma nubijskimi wojownikami ciemne korytarze piramidy, Khai natrafił na małe grupki gwardzistów, których natychmiast bezlitośnie stracono.

- Podpalcie korytarze! - rozkazał Khai, próbując przekrzywić dobiegające z zewnątrz odgłosy walki. - Ogień i dym przepędzi to plugaństwo na górne piętra. Jest tu wydajny system wentylacji, ale udławia się gęstym dymem. Zanim jednak podłożycie ogień, sprawdźcie, czy nie kryją się tu gdzieś czarni magowie. Gdybyście spotkali kogoś z nich - zabijcie na miejscu! Taka jest moja wola! Kindu i Nundi, chodźcie za mną do celi magów. Jeżeli nam się poszczęści, zastaniemy tam ich wszystkich siedmiu.

Po tych słowach Khai wyjął pochodnię z uchwytu przy wejściu, za którym ukazały się schody biegnące niemal pionowo w dół. Już uprzednio schodził tędy z Anelupem. Wspomnienie tamtych chwil wywołało w nim nieprzyjemny skurcz żołądka. Zemsta dodawała mu jednak sił.

Magowie, których szukał, byli przecież odpowiedzialni za śmierć tysięcy jego żołnierzy. W końcu ich dopadnie i zapłacą mu za wszystko! Zginą jednak śmiercią honorową. Nie zostaną bowiem pożarci przez insekty lub inne robactwo i nie rozstrzaskają ich zielone błyskawice. Śmierć im zada chłodne żelazne ostrze...

Ich kroki odbijały się echem od spadzistych ścian. Nagle Khai poczuł znajomy odór. Były to wyziewy z gotujących się cieczy. Dotarli więc do piętra, na którym znajdowała się obszerna cela magów.

Khai przyłożył palec do ust, nakazując ciszę Kindu i Nundi. Następnie poprowadził ich korytarzami, oświetlając drogę pochodnią. Po drodze mijali tuziny glinianych dzbanów, stopy drewnianych

skrzyń i pojemniki z brązu różnej wielkości. Odór był tak wielki, że płomień pochodni zmaliał z braku świeżego powietrza.

W pewnym momencie ich uszu dobiegły śpiewne inwokacje, w których przewijało się imię: Nyarlathotep.

Nyarlathotep - wysłaniec demonów skutych łańcuchami i uwięzionych w pozaziemskiej otchłani. Był źródłem wielkiego zła. To właśnie jego wzywali na pomoc magowie Khasathuta.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał Ibsin, gdy zbliżyli się do dużego przejścia ze sklepieniami. - Pewnie cała siódemka bez wyjątku skryła się w swojej celi. - Mówiąc to, postąpił krok naprzód i wrzucił do celi pochodnię.

Wewnątrz ujrzeli oświetlone postacie magów. Twarze mieli przyślonięte kapturami. Siedzieli dookoła ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej posadzce.

Magowie unieśli głowy i spojrzeli na intruzów. Błyski w ich oczach przypominały nienawistne ślepią dzikich zwierząt...

Gdy Khai i jego nubijscy przyjaciele zdecydowali się postąpić krok naprzód, oczom ich ukazała się ściana zielonego ognia. Jego nagły wybuch odrzucił ich od wejścia. Próbowali ze wszystkich sił przedrzeć się przez ogień, ale ich wysiłek okazał się próżny. Do wściekłości doprowadzały ich monotonne głosy szarlatanów. Mogli przecież lada moment sprowadzić na ziemię Nyarlathotepa...

Jego pojawienie się poprzedziły mgliste kształty, z sekundy na sekundę coraz bardziej wyraziste. Przedstawiły postacie z piekła, które pojawić się mogą tylko w najgorszych koszmarach nocnych; upiory, zjawy, olbrzymi ludożercy! Monotonny śpiew czarnych magów wzmagał się. Wszystko wskazywało na to, że za chwilę pojawi się sługa ciemności.

W ostatnim akcie desperacji Khai rzucił się w zielony ogień.

Jednak i tym razem mimo ogromnego wysiłku niewidzialna siła zatrzymała go w miejscu. W pewnym momencie usłyszał znajomy głos maga z Syry:

- Posłuchaj mnie uważnie, generale Ibsin. Nie uda ci się przejść przez tę ścianę ognia, ponieważ tworzą ją siły mentalne. - Głos maga zabrzmiał smutno. - Niestety, my też, drogi generale, w obecnej sytuacji jesteśmy bezsilni. Musisz sam stawić czoła magom...

Nagle między językami niebieskiego ognia Khai dojrzał zjawę, która przybrała kształty ludzkie.

Był to Nyarlathotep w swoim ziemskim wcieleniu młodzieńca o twarzy nikczemnika. W jego czarnych jak węgiel oczach czaiło się zło.

- Co mam uczynić, czcigodny magu? - krzyknął rozpaczliwie Khai - Nie opuszczaj mnie teraz!

- Ten ogień jest tylko iluzją - odpowiedział mag słabym głosem. - On istnieje jedynie w twoim umyśle. Tylko coś bezrozumnego może ją bezpiecznie przejść...

Po tych słowach głos zupełnie zamilkł.

- Ależ ja muszę pokonać tę przeszkodę! - ryknął wściekle Ibin raz jeszcze napał na błękitne, ogniste języki. Kindu i Nundi próbowali go odciągnąć od ognia i wtedy wzrok Khai padł na rząd dużych kamiennych dzbanów, ustawionych pod ścianą korytarza.

- Przeszkoda z ognia jest złudzeniem - powtórzył głośno.

- Panie, co z tobą? - zapytał zatrwożony Kindu. - Musimy jak najszybciej opuścić to okropne miejsce!

- Jeszcze nie teraz! - rozkazał Ibin. - Ten ogień jest złudzeniem! - powtórzył tym razem pewniej i nagle jego twarz pojaśniała. - Dzbany z oliwą nie mają z pewnością rozumu - krzyknął.

- Panie!

- Zostaw mnie! - Khai odepchnął Kindu. - Lepiej pomóżcie mi! - zaproponował, wrzucając do celi magów dzban stojący z brzegu, a ten bez przeszkód przeleciał przez ogień. Nubijczycy poszli w jego ślady i za moment kilkanaście dzbanów oliwy roztrzaskało się o ściany celi. Na koniec Khai wrzucił pochodnię... Mroczna komora stanęła w ogniu. Żar był tak wielki, że wszyscy trzej musieli cofnąć się od wejścia. Uszu ich dobiegły straszliwe jęki magów, wtórował im obłąkańczy śmiech potwora, który przerodził się we wściekły bełkot i nagle zamilkł. Nyarlathotep powrócił na dno piekieł.

Zobaczyli poskręcane w agoni, palące się ciała szarlatanów. Dwóm z nich udało się wydostać na korytarz, gdzie próbowali ugasić habity. Nie zdążyli jednak tego uczynić, bo ich haniebne życie przerwało błyszczące ostrze miecza Khai...

Ibin rozejrzał się jeszcze raz po wnętrzu celi. Na pierwszy rzut oka widać było, że nikt nie zdołał ująć z życiem. Odwrócił się do

Nubijczyków, aby im to oznajmić, gdy nagle za ich plecami ujrzał wysoką postać w czarnym habicie i z odsłoniętą łysą głową.

- Anelup! - krzyknął i bez chwili wahania pobiegł za kapłanem, znikającym w którymś z kolejnych, mrocznych korytarzy. Zanim jednak dobiegł do tego miejsca, w jego stronę niespodziewanie wystrzeliła ognista kula, którą kapłan wypuścił z otwartych ust...

Khai zatrzymał się raptownie, w przeciwnym razie podzieliliby los magów. Ogień na szczęście rozprysnął się na ścianie. Teraz Khai razem z Nubijczykami mogli kontynuować pościg. Anelup wyprzedzał ich zaledwie o kilkanaście metrów. Za kolejnym zakretem Ibizin znowu ujrzał jego łysą głowę. Kapłan trzymał w ustach mały, złoty gwizdek...

Khai poczuł, że uginają się pod nim kolana. Gdy usłyszał wibrujący dźwięk gwizdka, zamarł z przerażenia...

III

Atak żywych trupów

Przypomniawszy sobie ciężkie, grube kraty w ścianie i celę pełną niesamowitych więźniów, których złoty gwizdek Anelupa budził w tej chwili do życia. Starając się nie okazywać strachu, ruszył powoli przed siebie, szepcząc do Nubijczyków:

- Za tamtym załomem w ścianie ujrzyjecie coś, co zmrozi wam krew w żyłach. Nie wolno wam jednak stchórzyć. Musimy dopaść Anelupa i ukarać go za jego zbrodnie.

- Dlaczego mielibyśmy stchórzyć, panie? - zapytał Kindu i nagle, jakby w odpowiedzi na te słowa, w słabym świetle pochodni ujrzeli postaci odziane w resztki łachmanów.

- Żywe trupy!

Nubijczycy popatrzyli na siebie z przerażeniem.

Korytarz w mgnieniu oka wypełnił się żywymi trupami. Ich ociekające ropą ciała z przeraźliwym chrzęstem ocierały się w marszu o ściany. Z uszu, tułowia, a nawet z pustych oczodołów wychodziły długie, białe robaki. Pojękując głucho, zbliżali się do stojących naprzeciw mężczyzn. Odór, jaki bił od nich, był porównywalny jedynie do ściernia skunksa. Zanim Khai, Kindu i Nundi zdołali poruszyć zdrętwiałymi członkami, zostali otoczeni przez trupy, które odrywały części swoich ciał i ciskały nimi w intruzów!

- To są tylko trupy! - krzyknął Khai, który ochłonął pierwszy - Ich dusze wyją teraz w piekło! Spójrzcie! - Uderzył mieczem pierwszego z brzegu, który rozsypał się na kawałki.

Widząc to, Nubijczycy wydali okrzyk i natarli na powleczone resztkami ciała szkielety. Żywych trupów było jednak wielu i minęło dobre pół godziny, zanim ich galaretowate trzewia spoczęły na kamiennej posadzce...

Zmęczeni walką, zesli czym prędzej na niższe piętro piramidy, aby uniknąć morderczych wyziewów i trupiego jadu. Przedtem jednak Khai zdjął pochodnię z wnętrza kamiennej niszy i podpalił ją

ciała, które natychmiast stanęły w płomieniach. Były bowiem nasiąknięte łatwopalnym roztworem.

Oczyszczający, niemalże święty ogień rozjaśnił korytarz prowadzący do olbrzymiej sali, w której przebywali żołnierze Khai. Z dziką satysfakcją niszczyli oni cenne meble faraona i jego znieawidzone złote bożki. Podobnie też jak ich ukochany generał wzniecali pożary. Za swoim wodzem ruszyli do wyjścia, aby kontynuować walkę na zewnątrz.

Pozostało im do pokonania zaledwie kilka krótkich korytarzy, gdy usłyszeli nad głowami głuchy pomruk przypominający odgłos nadciągającej burzy. Khai zatrzymał się i spojrział odruchowo na sufit. Gdzieś tam, w górze, zmyślne urządzenie jego ojca obracało potężny, bo ważący kilka ton, blok skalny. Wystarczyło jedno dotknięcie dłoni Anelupa, aby mała dźwignia spowodowała przemieszczenie się potężnej masy piasku tunelikami w dół aż do podstawy grobowca, zamykając na wieki jego wnętrze przed światem...!

- Naprzód! - krzyknął Khai. - Bo pozostaniemy tu na zawsze!

Khai umilkł, widząc piasek, który pojawił się w otworach w suficie. Za moment po raz drugi usłyszeli odgłos przesuwanego ciężaru i tym razem komnata i przylegające do niej korytarze w oka mgnieniu napełniły się piaskiem, sięgającym wojownikom do kolan.

Jednak nie piasek niepokoił Khai, a potężna brama, która za moment zatrzaśnie się. Czym prędzej ruszyli w jej stronę. Khai odliczał czas upływający od ostatniego przemieszczenia się głazu. Gdy doliczył do dziesięciu, ziemia znowu zadrżała i kamienne wrota zaczęły się powoli zamykać. Ibin grzązł w coraz głębszym piasku, rycząc wściekle na wojowników, aby się pospieszyli. Kolejny ruch głazu spowodował zamknięcie wrót o kolejny metr...

Nie spuszczać oczu z promieni słońca przeciskających się przez coraz węższą szczelinę wokół bramy, Khai w końcu dotarł do wyjścia. Piach sięgał mu niemal do pasa. Obejrzał się i widząc przedzierające się tuż za nim sylwetki nubijskich wojowników, krzyknął głośno:

- Dziewięć! - I wybiegł za bramę.

Poczuł za sobą silny podmuch wiatru i kamienna brama zamknęła się z hukiem, przylegając ściśle do otaczających ją gładkich bloków skalnych.

Khai, Nundi i Kindu opadli bez sił na ziemię zaledwie kilka cali od zamkniętej na wieki komory grobowej w piramidzie.

IV

W pogoni za faraonem

Po udanej ucieczce z komory grobowej Khai przyłączył się do oddziałów walczących pod wodzą Ashtarty.

Część gwardzistów faraona walczyła jeszcze na ulicach, a pozostali, którzy uszli z życiem, podążali do piramidy od strony królewskiego podium.

Pole walki z lotu ptaka przypominało napawający grozą spektakl, którego tłem był ogromny grobowiec faraona. Piramida ze ścianami pokrytymi złotem i wielobarwnymi freskami wyglądała imponująco. Stopnie prowadzące do potężnego podium były zbroczone krwią.

Kałuże krwi znajdowały się również u jej podstawy. Wszędzie wały się okrutnie zdeformowane ciała ludzkie. Nawet wielka tarcza zachodzącego słońca zdawała się być pełna krwawiących ran.

Nie trzeba było znać się na wojennym rzemiośle, aby stwierdzić, że jedna z największych bitew starożytnego świata dobiegała końca. Wojska faraona przegrały z kretelem! Całe miasto zostało otoczone przez zwycięską armię Kush. Tylko piramida wydawała się być jedynym schronieniem dla tej ocalałej resztki obrońców wiernych tyranowi, którzy postanowili walczyć do ostatniej kropli krwi.

Gwardziści, broniąc się zaciekle, pięli się kamiennymi stopniami w stronę podium. Za nimi na czele Nubijczyków podążał Khai Ibin, oblepiony piaskiem i ociekający krwią.

- Śmierć Khasathutowi! - krzyknął Khai. - Musi być gdzieś na szczycie, bo nie było go w grobowcu.

Mówiąc to, wskazał podium przy wschodniej ścianie.

- Dostępu do faraona broni mały oddział czarnoskórych gwardzistów. Nasi żołnierze natarli na nich od zachodu, więc powinni zaraz pojawić się na podium, przy którym stoimy. Nie mają bowiem gdzie się podziać, skoro Anelup odciął dostęp do grobowca.

Naraz na podeście pojawiło się najpierw kilku, a następnie więcej niż tuzin gwardzistów, a z nimi sam Khasathut!

- Spójrzcie! - krzyknął Khai, odgarniając z czoła lepkie od potu włosy. - Gwardziści niosą faraona w lektyce. Niech żaden nie waży się go tknąć. On jest mój! Podobnie jak nadworny kapłan Anelupa, który jak cień podąża za swoim panem. Jego też spotka zasłużona kara!

Mówiąc to, Khai zacisnął pięści i przeskakując po kilka stopni na raz, podążył do góry w takim tempie, że Kindu i Nundi nie mogli za nim nadążyć. Wojownicy Khai zaś przyczaili się niczym lwy gotowe na jedno skinienie ręki dopaść ofiary.

Przed wejściem na wielką kamienną platformę Khai spojrzął na miasto. Dopalające się zgliszcza ruder w dzielnicy niewolników i liczne pożary w bogatszych dzielnicach Asorbes zasnuły niebo gęstym, czarnym dymem. Gdziekolwiek słychać było zwycięskie okrzyki żołnierzy Kush nacierających na broniących się ostatkiem sił wrogów.

Khai odwrócił wzrok i w milczeniu ruszył w kierunku królewskiej lektyki. Nagle zatrzymał się.

- Co się stało, panie? - zapytał zaniepokojony Kindu. - Dlaczego stoimy?

Khai raz jeszcze spojrzął na ruiny miasta, a następnie na kłęczącego Anelupa, który rytmicznie unosił i opuszczał głowę między rozstawionymi nogami faraona. Usta kapłana doprowadzały Khasathuta do rozkoszy, gdy płonącymi oczami wpatrywał się w Asorbes. Ono właśnie podniecało go na równi z obdzieranymi ze skóry młodymi dziewczętami!

Khai potrząsnął głową z niedowierzaniem. Jeszcze moment, a cichy jęk Khasathuta przerodził się w spazmatyczny krzyk wyzwanego orgazmu. I nagle faraon zamilkł.

Cisza jednak nie trwała długo. Po kilku sekundach faraon zawył jak raniony zwierz i odepchnął od siebie Anelupa, który niespodziewanie wybuchnął śmiechem, otwierając szeroko ociekające krwią usta. Przypominał szaleńca. Jego widok wstrząsnął nawet przyzwyczajonymi do okrutnych scen gwardzistami, którzy ochłonawszy nieco, zamierzali obezwładnić kapłana.

Uprowadził ich jednak sam Khasathut; sycząc z bólu, wynurzył się z lektyki i stanął nagi przy Anelupie. W jednej ręce trzymał długi, zakrwawiony miecz, którym przerwał diaboliczny śmiech kapłana i zepchnął jego ciało prosto pod stopy Khai. Miecz niemal pod samą

rękojeść utkwiał w plecach nikkzemnika. W ostatnim agonialnym skurczu Anelup otworzył usta, a z nich wypadła szczeka z brzęku i z loskotem potoczyła się po kamiennych stopniach.

Khai oderwał wzrok od ciała Anelupa i spojrzał na Khasathuta. Faraon stał wsparty na ramionach gwardzistów i łypał oczyma dookoła. W jego obnażonym kroczu brakowało tej części ciała, która świadczyła o jego pokrewieństwie z rodzajem męskim. Nagle Khasathut dojrzał Ibizina i nakazał zanieść się do lektyki.

Khai zastąpili drogę czarnoskórzy gwardziści. Ich oczy jarzyły się jak u żywych trupów. Wyglądali tak, jakby byli pod działaniem złych mocy.

- Pozwólcie mu przejść! - zapiszczał faraon cienkim głosem. - Resztę zatrzymajcie, póki nie skończę z tym lotrem!

Khai wspiął się na podium i trzymając miecz w pogotowiu, przeszedł obok czarnych olbrzymów, którzy rozsunęli się posłusznie. Ostrożnie zbliżył się do nagiego Khasathuta, który śmiejąc się pogardliwie, schodził ze stopni.

- Kiedyś mówiono mi, że nie powrócisz do Khem, Khai Ibizinie - powiedział faraon. - Oznajmiono mi to krótko po twojej ucieczce z piramidy. Nakazałem wtedy moim magom posłać twoją duszę w przyszłość. Uczyniłem nawet więcej, na wypadek gdybyś powrócił z tej podróży cały i zdrow. Kazałem im bowiem rzucić na ciebie potężny urok. Od tej pory będziesz posłuszny mojej woli i wykonasz bez sprzeciwu każdy rozkaz swojego władcy i boga.

- Jesteś tyle samo wart jako bóg, co te kamienie, z których wykonano twój grobowiec! - odparł Khai. - Nie ma w tobie też nic ludzkiego! Jesteś potworem, faraonie! Giń więc za moją rodzinę i za cały świat, który chciałeś zniszczyć...

- Spójrz mi w oczy! - zawołał Khasathut. - I powiedz, że pragniesz pozbawić mnie życia.

Khai uniósł miecz i, zanim oddał cios, jego wzrok niczym magnes ściągnęło nienawistne spojrzenie faraona. W tej sekundzie poczuł, jak niewidzialne łańcuchy skrępowwały całe jego ciało. Nawet nie zauważył, że miecz wypada mu z dłoni. Zanim jednak faraon zdołał zamienić go w bezwolną istotę, Khai ujrzał na niebie żółtą piramidę, która bezszelestnie zbliżała się do ziemi. Oznaczało to, że do Khem powrócili przodkowie faraonów.

V

Przybysze z nieba

Khasathut wybałuszyl oczy. Przypominal wielkiego kameleona. Stał odwrócony plecami do statku kosmicznego i nie widział, że owa niezwykła latająca piramida unosi się nad murami Asorbes. Nie widzieli jej też walczący żołnierze, którzy, zabijając gwardzistów, jeden po drugim zbliżali się do platformy. Sam Kindu stracił ze stopni aż trzech otępiałych olbrzymów. Nundi, niestety, leżał wśród zakrwawionych ciał, wijąc się z bólu, który sprawiało mu przecięte ścięgno w prawej ręce.

Pierwszy do podium dotarł Manek Thotak. Szybko uporał się z potężnym gwardzistą i zadając śmiertelne ciosy mieczem na lewo i prawo, szukał wzrokiem Khai. Nagle znieruchomiał pod wrażeniem dryfującej w powietrzu piramidy.

W końcu zauważył ją też Khasathut i, podobnie ja Thotak, stał oszołomiony. Po kilku sekundach jednak odzyskał równowagę. Tak jakby ten niezwykły statek kosmiczny zesłał na niego orzeźwiająca moc.

Piramida nagle zawisła w powietrzu. Była kilka razy większa niż grobowiec.

- Widzicie, niegodziwcy! - krzyknął faraon do oszołomionych niezwykłym widokiem ludzi. - Moi przodkowie przybyli na ziemię, aby mi pomóc! I teraz wy wszyscy, którzy ośmieliliście się zbezczcić moją świątynię i mój dom, będziecie musieli za to zapłacić! - Mówiąc to, uniósł zaciśniętą pięść.

Po jego słowach nastąpiła niemal grobowa cisza. Słyszeć było jedynie szum wiatru i trzask palących się pochodni.

- Sądzicie - wskazał palcem na Khai - że wasz wspañiały generał odważy się mnie zabić?... Zbliź się, Khai Izbinnie. Pokaż swoim wojownikom, jak należy słuchać swojego władcy i boga!

Khai postąpił parę kroków naprzód, a następnie odwrócił się do stojących dookoła żołnierzy. Stał przed nimi z głową opuszczoną na piersi. Khasathut zaśmiał się głośno i powiedział:

- Czy to jest ten wasz dowódca? Przyjrzyjcie się mu uważnie. To ja zmusiłem go do posłuszeństwa. I was wszystkich czeka to samo! - Po tych słowach wskazał na krawędź podium i powiedział:

- Podejdź tam chłopcze i skocz!

Khai bez sprzeciwu wykonał rozkaz faraona i po chwili stał przy końcu platformy i uginając kolana, szykował się do skoku na kamienny chodnik, znajdujący się kilkaset jardów niżej.

- Skacz, na co czekasz? - ryknął Khasathut.

Khai zachwiał się, zrobił lekki przysiad... i wtedy do jego uszu dobiegło błagalne wołanie Thotaka:

- Nie rób tego, Ibinie!

Manek wziął do ręki leżący pod jego stopami łuk i strzałę Ibinia, świadom zagrażającego mu z góry niebezpieczeństwa. Niezwykła latająca piramida bowiem z pewnością należała do przodków faraona. Kto wie, może i teraz śledzili uważnie każdy jego krok? Manek napiął cięciwę i wycelował w Khasathuta.

- Dlaczego nie skaczesz? - Raz jeszcze ryknął faraon.

Ibin znowu naprężył mięśnie do skoku. Widząc to, Manek zaciśnął zęby i drżącymi palcami wypuścił strzałę, która poszybowała prosto do celu, przebijając na wylot ramię Khasathuta.

Faraon upadł na podium niebezpiecznie blisko krawędzi. Jego krzyk, jakby zrzucił ciężką nad miastem kłutwę.

Mieszkańcy, którzy ocaleli, zaczęli miotać się w panice. Zamieszanie, jakie wywołał ten niezwykle statek można było porównać do trzęsienia ziemi. Przez otwarte bramy ludzie uciekali w popłochu niczym mrówki z rozdeptanego mrowiska.

Korzystając z zamieszania, Manek podbiegł do Khai, odciągając go od krawędzi podium. Zdawało się, że odzyskuje świadomość, bo potrzasał głową, rozglądając się dookoła. Niedaleko, na stopniach podium, stał ostatni z czarnoskórych gwardzistów faraona. On również zdawał się budzić z koszmarnego transu. Miał liczne, broczące krwią rany i tylko resztki kłutwy faraona trzymały go przy życiu. Nagle jednak zatoczył się i upadł bez tchu.

- Wstawaj, Ibin - krzyknął Manek. - Musimy opuścić to miejsce!

Khai pokuścił za nim kilka kroków i zatrzymał się, spoglądając na uciekających w panice własnych żołnierzy.

- Dalej, dlaczego zwlekasz? - zapytał Thotak.
- Muszę tu przez chwilę zostać - odpowiedział Khai, odsuwając od siebie rękę Thotaka. - Muszę się upewnić... - dodał, zerkając na kłęzącego Khasathuta z oczami utkwionymi w wiszącej nad ich głowami złotej piramidzie.
- Co masz na myśli? - zapytał niecierpliwie Thotak.
- Odejdź, Manek - poprosił Khai. - Zaraz do ciebie przyjdę...
Thotak machnął z rezygnacją ręką i zbiegł ze schodów w ślad za uciekającymi żołnierzami. Khai zaś pozostał na podium, spoglądając to na Khasathuta, to na niezwykle latający obiekt.

VI

Zagłada miasta

- Zabijcie go! - krzyknął Khasathut w stronę wiszącej nad nimi piramidy, wskazując na Khai. - Pozabijajcie ich wszystkich, a potem zabierzcie mnie stąd, w przeciwnym razie umrę. Dlaczego zwlekacie? Jestem przecież jednym z was! Nie poznajecie mnie?

Po jego słowach podstawa trójkąta nagle rozbłysła żółtym, intensywnym światłem, które powędrowało w dół, oświetlając Ibzina i Khasathuta.

Khai widział, że usta faraona wolno się poruszają. Zapewne wypowiedział jakieś słowa, których nie mógł usłyszeć. Przeszkadzał mu w tym snop intensywnego światła, a jego cząsteczki wyczuwał niemal fizycznie. Zdawało mu się nawet, że to nie światło, a tony przezroczyściego piasku sypią mu się na głowę. Nagle usłyszał głos, który przemawiał w imieniu istot przebywających na statku. Istoty te rozpoznawały faraona, ale uważały go za błąd w pewnym ich eksperymencie. Głośno wyrażały zdumienie, a nawet oburzenie, że podobna istota mogła dojść do władzy i spowodować tyle nieszczęść. Podjęto już decyzję o jak najszybszym unicestwieniu go.

- Nie! - zawył faraon, kiedy snop światła zwięźył się, oświetlając jedynie jego postać. - Nie wolno wam tego czynić! Jestem jednym z was...

Żółte światło stało się tak intensywne, że Khai musiał zakryć oczy. Kiedy je odsłonił, po bogu-władcy pozostała jedynie garstka popiołu! Snop światła zaczął powoli słabnąć i w końcu zgasł. Piramida obróciła się kilkakrotnie wokół własnej osi i zawisła nad miastem kilkaset jardów wyżej niż poprzednio.

Manek czekał w rydwaniu u podnóża grobowca. Gdy Khai wszedł do wozu, Thotak popędził konie, które w pełnym galopie przejechały przez zachodnią bramę i wjechały w płytkie błoto prowadzące do niegdyś pełnego bujnej roślinności wzgórza. Tu Manek zatrzymał

rydwan i wraz z oczekującymi na nich dowódcami przypatrywali się miastu. Wszyscy przeczuwali, że za chwilę zdarzy się coś niezwykłego.

Wśród uciekających nie było już ani jednego niewolnika, ani też żołnierza Ashtarty. Wszyscy zdążyli bezpiecznie oddalić się od miasta. Nagle zgiełk ucichł. Oczy wszystkich przykuł widok statku krążącego nad miastem.

- Cóż to takiego? - zapytał Manek, pokazując ręką dziwny latający obiekt. Stali otoczeni żołnierzami, w oczach których czał się strach. - Co teraz nastąpi?

W odpowiedzi Khai potrząsnął głową i nagle znieruchomiał. Z podstawy złotej piramidy znowu wystrzelił snop pulsującego światła o średnicy obejmującej całe miasto. Wówczas pojazd zaczął się unosić, a razem z nim... miasto!

Pod wpływem potężnej siły od ziemi zaczęły odrywać się kawałki muru i unosić w powietrzu. Wieża, świątynie i liczne budynki zamieniły się w latające obiekty. Większość energii przybysze skoncentrowali na samym grobowcu - największej przecież budowli w Asorbes.

Przy wtórce radosnych okrzyków z tysięcy gardeł grobowiec ważący miliony ton oderwał się od podłoża i powędrował w górę niczym dziecięca zabawka.

Pod wiszącym w powietrzu miastem rozpętała się burza piaskowa. Tumany piasku i darni rozjaśniały różnokolorowe rozbłyski wyładowań elektrycznych. Nagle piramida wykonała obrót i wzbiła się w powietrze z niezwykłą szybkością, pozostawiając za sobą wiszące fragmenty miasta.

Po chwili Asorbes z porównywalnym do szumu tysięcy wodospadów hałasem zaczęło opadać na ziemię, wywołując jej trzęsienie, które zważyło z nóg patrzących. Jeszcze moment, a na gruzach majestatycznie rozsypała się niczym domek z kart - chluba potwora: jego kamienna piramida!

Kiedy łoskot ucichł, Khai otrzepał z kurzu ubranie i spojrzał na horyzont.

- Ciekawe, jak czuje się nasza królowa? - zapytał nagle Manek. - Chcę, żebyś wiedział, że nie jestem już twoim rywalem.

- Nie będziesz ty, to będą inni - odparł gorzko Khai. - Nauczyłeś mnie jednego: przybysz z Khem nie ma prawa rządzić w Kush. Lepiej

pozostaną w Khem, który stanie się zupełnie innym krajem po śmierci Khasathuta. Kush zaś pozostawiam tobie.

- Co takiego? - zapytał Manek zdziwiony. - Zrobisz to dla mnie? Przecież zdradziłem cię i chciałem zabić!

- Tylko ja jeden o tym wiem. I już wszystko ci wybaczyłem. Przecież od tamtego czasu dwa razy uratowałeś mi życie. Nie zgadzam się też z tobą, że jesteś zdrajcą. Nie zdradziłbyś przecież swojego kraju, raczej starałeś się go ochronić. Co do Ashtarty, to zostanie moją królową tu, w Khem. Minie trochę czasu, zanim uda mi się ją nakłonić do zamieszkania ze mną, ale jestem dobrej myśli. A ty, Manek, czy także masz swoją królową?

- Królową? - wyraźnie zaskoczyło go to pytanie. - A jakże! Mam. - Thotak uśmiechnął się tajemniczo. - Mieszka we wiosce Thon Emahl. Jest wdową po dzielnym Thonie. Znałem ją na długo przedtem, zanim za niego wyszła. Potem porzuciłem ją, aby zostać królem!

- Doskonale się składa - odparł Khai. - Będziesz miał żonę i koronę. W ten sposób spełnią się twoje marzenia.

Manek w odpowiedzi uśmiechnął się i uściśnął dłoń Khai. Potem rzekł:

- Pośpieszmy się, przyjacielu. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, za trzy dni będziemy w domu.

Po tych słowach wskoczyli do swoich rydwanów bojowych i śmiejąc się, ruszyli do Gilf Kebir, gdzie na ich szczęśliwy powrót czekała królowa Ashtarta.

EPILOG

Wilfred Sommers spoglądał na sterujący samolot Egipskich Linii Lotniczych. Poczekał, aż samolot zmniejszy się do rozmiarów ptaka i zniknie w kłębiastych chmurach. Potem odwrócił się do płyty lotniska, zszedł do hallu przez główne wejście i dotarł do parkingu.

W drodze powrotnej próbował cokolwiek zrozumieć z tego, co przed kilkoma godzinami wydarzyło się w gabinecie jego ojca, profesora Sommersa. Wydarzenie było tak nieprawdopodobne, że pewnie będzie je wspominał przez całe swoje życie. Po raz dziesiąty odtwarzał w pamięci przebieg spotkania Arnotta z Dassamem. Egipcjanin dał Paulowi pierścień, który ten wsunął na środkowy palec...

Ci dwaj mężczyźni wydawali się być połączeni niewidzialnymi więzami, które sięgały gdzieś daleko w przeszłość. Zarówno ojca, jak i jego samego zaskoczyło zachowanie się Arnotta.

W jednej chwili z cywilizowanego człowieka przemienił się w zwykłego rzezimieszka!

Rzucił się bowiem nagle na przybysza z Egiptu i jednym ciosem powalił go na ziemię. Dassam zaś (jak się wydawało) spodziewał się tego ataku. Po drugim ciosie stracił przytomność, a mimo to Arnott uniósł go i dosłownie wrzucił przez otwarte drzwi do sąsiedniego pokoju. Potem, slaniając się na nogach, pobiegł za nim z zamiarem - Sommers był tego pewien - zabicia Egipcjanina!

Przed walką i w jej trakcie rozmawiali z sobą językiem, który nie istniał już od tysięcy lat. Ojciec uważał, że strach Arnotta przed Egiptem, jego niezwykła wiedza o tym kraju i jego obecne zachowanie świadczą dobitnie o tym, że jest on potomkiem jakiegoś dawno wymarłego ludu, który zamieszkiwał tereny Doliny Nilu. Być może gość z Egiptu obudził w nim jakieś odległe, ukryte gdzieś w podświadomości wspomnienia, które ujawniły się tak drastycznie. Stary archeolog nie był jednak do końca przekonany o słuszności swoich wywodów.

Na szczęście Dassam z pomocą orzeźwiających soli szybko doszedł do siebie. Gorzej miały się sprawy z Arnottem, który również stracił przytomność z tą tylko różnicą, że odzyskał ją dopiero w szpitalu.

Po upływie kilku dni wyszedł stamtąd cały i zdrow, bez usztywniającego gorsetu.

W zachowaniu obu nastąpiły wyraźne zmiany. Dassam nie potrafił powiedzieć, co było powodem jego przyjazdu do Anglii.

Kiedy ujrzał złotą maskę, przeraził się nie na żarty. Nie mógł uwierzyć, że przewiózł ją przez granicę, postępując niezgodnie z prawem. Postanowił natychmiast wrócić, a profesor Sommers obiecał mu, że zachowa w tajemnicy cel jego przyjazdu.

Paul Arnott wydawał się zmienić na lepsze. Stał się spokojniejszy. Nie miał też niepokojących snów, których tłem były czasy, kiedy Syberię przemierzały stada mamutów, a szablozębne tygrysy grasowały w Anglii. Gdy stary Sommers wspomniął mu o walce z Egipcjaninem, Arnott był szczerze zdziwiony. Nie pamiętał o całym zajściu nawet wówczas, kiedy ujrzał w szpitalu posiniaczoną twarz Dassama.

Młody Sommers zaś wypytywał Egipcjanina o pierścienie, które Egipcjanin znalazł na pustyni przy złotej masce. Chciał wiedzieć, czy je też zamierza zabrać z sobą z powrotem do Egiptu. Dassam odparł wtedy, że jeden należy do niego, a drugi do Arnotta. Na pytanie, dlaczego tak uważa, Dassam odparł, że tak być musi, choć on sam nie wie, dlaczego. Był zdziwiony, że nazwał Arnotta imieniem Khai.

Sommers po cichu wszedł do gabinetu ojca. Sir George wolno przemierzał pracownię, a kiedy ujrzał syna, zatrzymał się i zapytał:

- Czy Egipcjanin już odleciał?

- Tak, ojcze - odparł Wilfred.

- Sądzisz, że Dassamowi uda się z powrotem przemyścić maskę do Egiptu?

- Chyba tak.

Przez chwilę mężczyźni spoglądali na siebie w milczeniu. Pierwszy odezwał się Sir George:

- To co zaszło między Arnottem i Dassamem, było niezwykle. Bogu dzięki, że jest już po wszystkim.

- Tak sądzisz, ojcze? - Na twarzy juniora malowało się zdziwienie.

- Chcesz mi powiedzieć, że się myłę. Jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

- Ostatnio nie widywaliśmy Paula. Jak sądzisz ojcze, gdzie on się może podziewać?

Sir George pokiwał głową, domyślając się prawdy.

- Wyjechał pewnie do Egiptu i teraz grzebie się w ziemi, gdzieś koło Gilf Kebir...? Powiedz, że się myłę.

- Nie mylisz się, ojcze.

- Sądzisz, że wykopie coś interesującego?

- Może tak, a może nie. Zdaje mi się jednak, że pojechał tam na poszukiwanie czegoś, co nie jest ukryte w ziemi...

- Sh'tarry - odparł sir George. - Dziewczyny, której twarz widnieje na masce...

- Sądzisz, ojcze, że ją znajdzie?

Sir George pominął milczeniem pytanie syna.

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA	7	
I Święte miejsce Yith-Shesh	9	
II Święte wizje	12	
III Manek Thotak	16	
IV W namiocie królowej	20	
V Choroba Khai Ibzina	24	
VI Podróż w przyszłość	28	
CZĘŚĆ DRUGA	33	
I Kochankowie	35	
II Paul Arnott	38	
III Wspomnienia z przeszłości		41
IV Wspomnienia Arnotta	45	
V Przebudzenie	48	
CZĘŚĆ TRZECIA	53	
I Świat Khai	55	
II Parada króla-boga	58	
III Postanowienia króla-boga		62
IV Uczeń architekta	67	
V Nadzieja	71	
VI Gniew faraona	76	
VII Egzekucja	82	
VIII Życie we wnętrzu piramidy		85

CZEŚĆ CZWARTA	89	
I Ślubna komnata	91	
II Nadejście faraona	94	
III Bóg-potwór	97	
IV Rozmyślenia o ucieczce		100
V Ucieczka z piramidy	103	
VI Król niewolników	105	
CZEŚĆ PIĄTA	109	
I Zemsta Adhana	111	
II Wizyta Ramanona	115	
III Ucieczka z miasta	121	
IV Barka z niewolnikami	125	
V Mhyna	130	
VI Rozstanie z Mhyną	136	
CZEŚĆ SZÓSTA	141	
I Niewolnicy	143	
II Zasadzka	148	
III Powrót do rzeki	152	
IV Najemnicy	156	
V Gwałt	159	
VI Pojawienie się Khai	162	
CZEŚĆ SIÓDMA	167	
I Klątwa śmierci	169	
II Khai mieszkańcem Kush!	175	
III Ucieczka na wzgórze	181	
IV Niebezpieczna przełęcz	185	
V Warownia w Hartaph	189	
VI Śmierć w wąwozie	195	

CZEŚĆ ÓSMA	201	
I Awans Khai Ibzina	203	
II Pojawienie się magów	208	
III Posłanie magów	213	
IV Złość faraona	216	
V Wskreszenie Kush	220	
VI Khai i królowa	225	
CZEŚĆ DZIEWIĄTA	231	
I Żelazne miecze	233	
II Magowie przystępują do wojny	237	
II Skrzydlate legiony	241	
IV Oblężenie Asorbes	245	
V Transakcja	249	
VI Czerwone strzały	254	
VII Zielony ogień	257	
CZEŚĆ DZIESIĄTA	261	
I Atak na piramidę	263	
II Śmierć magów	265	
III Atak żywych trupów	269	
IV W pogoni za faraonem	272	
V Przybysze z nieba	275	
VI Zagłada miasta	278	
EPILOG	281	